

11589

7.

BIBLIOTEKA PODRÓŻY
I MALOWNICZO-HISTORYCZNYCH OPISOW
RÓŻNYCH KRAJÓW,

WYDAWANA

2128

przez

Adama Zawadzkiego.

SERYA DZIESIĄTA. 10.

—
OBYCZAJE I PODRÓŻE
CZYLI
OPOWIADANIE O NOWYM SWIECIE.

PRZEZ

FILARETA CHASLES,

Professora w Kollegium Francuzkiem.

W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

—
1864.

Geographia

11.589

BIBLIOTEKA PODRÓŻY

I MALOWNICZO-HISTORYCZNYCH OPISOW
RÓŻNYCH KRAJÓW,

WYDAWANA

PRZEZ

Adama Zawadzkiego.

Serya dziesiąta.

OBYCZAJE I PODRÓŻE

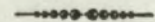
CZYLI

OPOWIADANIE O NOWYM SWIECIE.

przez

Filareta Chasles,

PROFESSORA W KOLLEGIUM FRANCUZKIEM.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1864.

lib. foed.
Acad. Pol.

<http://rcin.org.pl>

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773

Wa5150305

IBLIOTEKA PODROZY

WALOWNICZO-HISTORYCZNYCH OPISOW

ROZNYCH KRAJOW

WYDAWA

WILNO

Wydawnictwo

Za pozwoleniem Cenzury, 28 Stycznia 1864 roku.—Wilno.



OBYCHAJ

11.589

OPOWIADANIE O NOWYM SWIECIE

Przez

Przemyślnika

Pracowni w Katedrze Historyi

WILNO

Wydawnictwo

1864

11.589

**Obyczaje i nowe Plemiona
w Ameryce północnej.**

Opis krajów i nowo odkrytych
w Ameryce południowej.

I.

**Sześćset mil parą.—Alabamczyk i Mormon.—Prospekt
końca świata.—Socjaliści biblijni w Nauvoö.**

Petersburh'g (w Wirginii) 5 Maja 1849.

Drogi żelazne, parostatki, i ta żądza postrzeżeń i podróżowania, która jak wiecie zawsze we mnie panuje, zapędziły mię z głębi Turenii na krańce Karoliny północnej (w Ameryce północnej) i teraz oto gotów jestem korrespondować z wami.

Piszę do was z małego miasteczka, w niebardzo kwitnącym będącego stanie, chociaż jest to port morski, i ma zaszczyt być oblaném wodami Appomatoxu. Rozumie się, że nie będziecie żądać odemnie ani filozofii, ani metafizyki, ani poezyi, przestać musicie na opowiadaniu zupeł-

nie prostém. Nie będzie ono jednak bez pewnego interesu, bo cywilizacya w ciągłym rozwoju ma w sobie coś bardzo wzniosłego. Tu zbieram krociami wszelkie nadzwyczajności, dziwactwa, ciekawości, których tak jestem chciwy, a które i wy lubicie również jak ja je cenię. Przedstawię więc wam je takimi jak je napotykam, zostawując zdolniejszym ich przyozdobienie.

Droga żelazna, którą tu przybyłem, zaczyna się od Bostonu i idzie do Weldon; przebiega ona sto sześćdziesiąt mil (czterysta osmdziesiąt lieues), ciągnie się wzdłuż Oceanu Atlantyckiego, w kierunku z północy na południe, dochodzi nawet aż do Wilmington, gdzie się zatrzymuje przy morzu. W Wilmington wsiada się na statek, który wiezie do Charleston, blisko sześciuset mil (franc.) parą; cóż na to powiecie? tu nikogo nie obchodzi nawet przemiana miejsca w podobnym rodzaju. Nim dojeżdżasz do Wilmington, doświadczasz przyjemności przebywania mostu drewnianego, nie nader bezpiecznego, ogromnej wysokości, pozbawionego pomostu i poręczy, z którego można spostrzedz o sto stóp pod sobą skały rzeki James. Najmniejszy kaprys dyszącej maszyny wtrąciłby

cię przy najlżejszém wyjściu jój z szyn kolei w tę okropną przepaść. Tu się nie dziwią zupełnie niczemu, ani śmierci, ani niebezpieczeństwu, ani odległości, to kraina tymczasowości i ogromów. Amerykanie dziwiliby się tylko gdyby ich spotkała nuda, a rzeczywiście nie mają na to czasu.

Podróżni pędzili, uniesieni największą szybkością pary; most o którym wam mówiłem, był już za nami. W chwili, kiedyśmy przebyli te skały rzeczne, i gdyśmy się zagłębili w obszerne lasy czarne, mieszane z jodeł i kasztanów, usłyszałem blisko siebie jednego podróżnego mówiącego do swego sąsiada:

— Jest tu między nami Mormon.

Mormon! nadstawiłem ucha. Zobaczę więc jednego z tych straszliwych fanatyków o których tyle rozprawiano, a którzy tak mało są znani! Drugi podróżny odpowiedział pierwszemu zapytaniem okazującym że jego ciekawość wyrównywała moją:

— Gdzież on u licha, ten Mormon?

— Nie wiem tego!

— Ba! — zawołał trzeci, — jeden więc z tych łotrów jest w powozie?

— Tak mi powiedziano.

— Oh! — odpowiedział pierwszy mówca uderzając po worku z pieniędzmi — zobaczymy to natychmiast; chcę poznać tego hultaja! biore to na siebie, i spodziewam się że ryba się złowi; niech będę powieszonym, jeśli mój haczyk chybi, i jeśli ona nie wylezie ze swojej nory.

Pierwszy co zaczął rozmowę był to ogromnego wzrostu obywatel z Alabama, prowincyi południowej, położonej między Nowym Orleansem i Florydą, człowiek wysoki na sześć stóp i sześć cali, jak wielu z tego kraju, z twarzą brązową, wiecznie żujący tytuń, i trzymający na kolanach drogie mu pudełko blaszane podobne do kwadratowego pulpitu, w którym się zawierał jego pokarm ulubiony, tytuń ułożony według różnicy gatunków w rozmaite przedziały; drugi, sądząc przynajmniej po świeżości i kolorze jabłka leśnego, który zima kanadyjska nadał twarzom, musiał być jakimś rolnikiem z Maine, prowincyi położonej na drugim krańcu Stanów-Zjednoczonych. Alabamczyk, przestając żuć tytuń, i nibyto zwracając się do spokojnego mieszkańca północy, a rzeczywiście, jak mówią nasi dramaturgowie, jakby na stronie:

— Do licha! — zawołał — niczem się tak nie brzydzę, jak Mormonom; ja znajduję że to hań-

ba dla tego pięknego kraju, kraju wolności i najwyższej chwały, kraju który przewyższa wszystkie kraje w świecie, widzieć w nim włączających się bezkarnie rozbojników, oszustów i cudaków, takich jak Joë Smith, prorok Mormonów.

— Ale coż się z nim stało? podobno rozstrzelany, ale brat po nim nastąpił. Powiadają, że łotr hula jeszcze sobie dalej; dziewiąty raz bankrutuje, czyliż to będą czekać do stu razy, nim go powieszają?

Alabamczyk ciągnął dalej swoje obelgi przez pięć minut przeszło, a nikt nie zważał na nie, i już gotów byłem sądzić, że nie mieliśmy żadnego Mormona między sobą, kiedy obok mnie z lewej strony, dało się słyszeć głębokie westchnienie. Człowiek w średnim wieku, muskularny, silny, z długimi włosami, ukrywał twarz swoją w obu rękach. Był to Mormon bez wątpienia, wydawał ciągle głębokie westchnienia. Ja wstałem, umieściłem się na przeciw niego, i oczekiwałem końca téj sceny. Alabamczyk powstał także; wy dobył z kieszeni flaszkę opłatana łożą i zbliżył się do Mormona.

— Panu nie dobrze, — rzekł do człowieka wzdychającego — możeby się zdało parę kropel? he?

— Precz odemnie, szatanie! — odpowiedział Mormon, który powstał teraz i wyciągnął wściekle rękę do Alabamczyka — Bądźcie wyklęci, bądźcie potępieni, wy którzy nie uznajecie proroków Bożych! Zasłепieni dobrowolnie! niech gromy w was uderzą! niech zaraza was wytępi! przekłęstwa niech się mnożą, i niech spadają z pokolenia w pokolenie na synów waszych przez wieki i wieki! Oby ognie piekielne pożerały was w tém życiu i prześladowały w przyszłym! Potępięcy! potępięcy! potępięcy!

Tak złorzeczył ciągle, ku wielkiemu przerażeniu innych Amerykanów, których ta profanacya Biblii i świętych wspomnień gorszyła bardzo. Alabamczyk sam zdawał się nawet przejęty strachem, któremu się oprzeć nie był w stanie.

— Słuchajmy go, — powiedział dość spokojnie mieszkaniec z Maine — sprawiedliwość wymaga żebyśmy go wysłuchali; bo zresztą on ma prawo bronić się!

— Słuchajmy go aż do końca (hear him out) — zakrzyczeli inni.

Wtedy to mogłem przypatrzeć się swobodnie prorokowi mormońskiemu, który zmuszony przemawiać i objaśniać się, stanął oparty o

ścianę pojazdu. Była to postać odpychająca i odrażająca. Czoło jego ukryte, oko było zamglone, wargę niższą bardzo grubą, zwieszoną z tém wyrazem bydlęcej gburowatości, który cechuje większą część ludzi oddanych zwierzęcemu egoizmowi. Liczne zmarszczki pokrywały kąty oczu, jak u oszustów; skóra była pomarszczona i pofałdowana a usta straszliwe. Ramiona okrągłe, pierś szeroka, postać przysadzysta czyniły tę osobę istotą odrażającą jako Cyklopa ogłupiałego lecz zarazem chytrego. Mowa jego odpowiadała tym oznakom. Wszędzie się przebijał oszust, prorok nigdzie. Rodzaj kręcielskiej przebiegłości zastępował miejsce natchnienia, którego nie było. Sprowadzony do roli publicznego oszusta, patentowanego i jawnego, pod tym ostatnim tylko względem był on we właściwej roli. Widać było spekulacją i chytrą zaledwie ukrytą pod płaszczykiem proactwa.

Nazywał się Hyde, i posiadał niemałe zaufanie wielkiego proroka Joë czyli Józefa Smith'a, założyciela Mormonizmu. Hyde opowiadał nam sposobem najzawikłańszym, i z tym rodzajem biegłości i sztuki jaką posiadają oszusty, podróże swe w celach propagandy, swoje objawienia, wi-

dzenia, zachwycenia; jak sam Bóg raczył przyjść do niego pewnego dnia, kiedy znużony i zmęczony, w trzewikach i pończochach krwią prześiękłych, usnął wśród niezmiernych stepów Zachodu. Otrzymałszy szczegółowe polecenie nawrócenia świata do Mormonizmu, wykonywał on scisle ten rozkaz boski.

— I jakże się to Panu udaje? — zapytał go obywatel z Maine.

— Jak się podoba Bogu, — odpowiedział podróżujący agent tego religijnego oszukaństwa. — W niektórych częściach Kanady, zwłaszcza na zachodzie, pracuję dość szczęśliwie. Ale przywiązanie do rzeczy ziemskich przeważa w teraźniejszym pokoleniu nad staraniem o rzeczy boskie i o prawdę. Niestety! Niestety! niewiara głęboko jest wkorzenioną. Zginą ludzie! biada im! biada kuli na której mieszkają! godzina straszliwa się zbliża! Za dziesięć miesięcy, ni mniej ni więcej, Bóg zniszczy zbrodniczą ziemię. Czytajcie, panowie, czytajcie prorocstwo drukowane, które kosztuje tylko dwa centy.

I mówiąc to, rozwinął spory pakiet prospektów proroczych, w których zapowiedzenie nędzy i klęsk jakich ziemia ma doświadczyć przed zniszczeniem swoim, było wyszczególnione jakby

ogłoszenie jakiego widowiska. Prospekt drukowany przechodził z rąk do rąk i doznał dobrego przyjęcia; Mormon zbył bardzo dobrze swój towar. Wszyscy w powozie wzięli go, ja także uczyniłem jak drudzy. Co za szalona mięszanina! co za niesłychana osoba, prorok i handlarz, szarlatan rynkowy i apostoł! Biedna ludzkość, według tego co prospekt zapewniał, miała być zjedzoną przez robaki, jak Herod, w Styczniu i Lutym następnego roku. Prócz tego Mormon miał polecenie przyjmować podpisy na Dziennik Mormonów z Nauvoû (Nauvoo) pod tytułem »Nowa Jerozolima,« dziennik który *miał* wychodzić; Szarlatan starał się uzyskiwać opłatę abonamentu za rok cały z góry.

— A tak, — zawołał Alabamczyk głosem piorunującym. — Powiedz przyjacielu, czy sobie z nas żartujesz? Świat ma się skończyć; na cóż więc ma służyć twój dziennik? Dajesz nam tylko dziesięć miesięcy czasu; dla czegoż więc abonować się na rok?

— Oni nam przedłużą termin, — rzekł inny.

— Ci panowie pozwolą światu iść swoim trybem przez dwa miesiące więcej, — odpowiedział obywatel z Maine.

— Pieniądze będą zwrócone przy wyjściu, jak

w teatrze,—rzekł jakiś głos jowialny z kąta powozu, i to sprawiło powszechny wybuch śmiechu.

Mormon rozgniewany usiadł jak wprzódy i skrył głowę w dłonie. Jednakże, sprzedał ośmnaście czy dwadzieścia exemplarzy prospektu; i dzień ten, odrzuciwszy wstyd na bok, był dla niego niezły.

Postać tego łotra pozostała mi w pamięci. Nie mogłem pojąć jak można było narobić tyle hałasu z powodu tak bezczelnych kłamstw i tak nikczemnej szarlataneryi. Przybywszy do Petersburgh'a, udałem się do jednego inżyniera bardzo sławnego i bardzo bogatego, rodem Szkota, którego znałem w Londynie, i który dwa razy zbogacił się wydobywając mineralne bogactwa Stanów, i tyleż razy strwonił zebrany fundusz, jak to tu we zwyczaju. Pytałem go o Mormonizmie, którego doktryny bynajmniej mię nie objaśnił śmieszny ich kaznodzieja Hyde.

— Nie pogardzaj nimi,—rzekł— są oni bardzo groźni. Są to po prostu socjaliści biblijni, a w dodatku oszuści. Gruntując się na pewnych ustępach ksiąg świętych, głoszą wspólność majątku, a z innych znowu oznajmują raj

na ziemi. W raj łatwo uwierzyć; tylko współnictwo własności jest kamieniem obrażenia ich doktryny. Dopóki mówią jako zwolennicy sekty, idzie to bardzo dobrze; ale kiedy jest rzecz o oddanie dla wspólności mormońskiej dóbr nabytych, wtedy nie mały opór napotyka. Zupełnie co innego było w gruncie wyobrażeń założyciela, którego, nawiasem mówiąc, znałem bardzo dobrze, a który się nazywał Józef Smith: celem jego było zniszczenie demokracji amerykańskiej. Smith i jego poufniejsi zwolennicy mieli zamiar uzbroić resztki wszystkich jeszcze dzikich tubylców, i cisnąć to fanatyczne i odważne plemię na handlową społeczność Stanów-Zjednoczonych. Ja uważam Smith'a jako człowieka niepospolitego i straszliwego łotra, ale nigdy jako człowieka zwyczajnego. Rozmowa, jaką z nim miałem, i którą ci opowiem, przekona cię o tém.

Wiesz, że byłem w roku 1845 na czele ważnego przedsięwzięcia wyrabiania min przy małym miasteczku Cleveland, nad brzegami wspaniałego jeziora Erie. Przedsięwzięcie powodziło się, i jak zwykle tu się zdarza, pomysłość ta była początkiem nowego miasta. Nabywcy cząstek ziemi, znęceni mojem powodzeniem, zjawili się w znacznej liczbie. Po-

większyliśmy z 50 na 100 wartość przedaźną ziemi. Mieszkałem, podług zwyczaju tu przyjętego, w małym domku z gliny i wrzosu, zaimprovizowanym chwilowo, do którego chronilem się wieczorem znużony wycieczkami, przedaźą, kupowaniem i tysiącem spekulacyj dodatkowych, które się przywiązują do podobnych przedsięwzięciom.

Pewnego wieczora, około godziny dziewiętej kiedy się przybierałem do spoczynku usłyszałem stukanie do moich drzwi z białego drzewa, które natychmiast otworzyłem. Człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą wypogodzoną, barczysty, z czołem szerokim, oczami zapadłymi kryjącymi się pod obszernym łukiem powiek, ubrany zresztą na wzór kaznodziejów koczujących, co kraj ten przebiegają, stanął przedemną.

— Jestem Joë (Józef) Smith,—rzecze do mnie — i prosiłbym o kilka chwil rozmowy z panem.

Zadziwiły mię te niespodziane odwiedziny. Prosiłem go usiąść, i sam siadłem naprzeciw, uderzony bystrością, ogniem i przenikliwością jego wzroku, równie jak godnością postawy.

— Panie! — rzekł on — wpływ pański jest teraz wielki w téj prowincyi, i powodzenie twego przedsięwzięcia musi wzrastać. To dobra myśl,

Panie, przybyć na Zachod, wydobywać z ziemi minerały, a nawzajem przynieść cywilizacją. Chciój mię wysłuchać; jestem przekonany że zamiary o których mam ci powiedzieć zajmą twą uwagę. Odkładam na stronę wszelki rodzaj podejścia i wykrętów. Nie lubią mię, Panie, niektórzy mną pogardzają; mało mnie to obchodzi: gdy skutek uwieńczy moje zamiary, uwielbienie samo się znajdzie. Nie jestem ani hypokrytą ani głupim, bądź o tém przekonany. W Ameryce są dwie sprężyny: chciwość i fanatyzm; przywiązanie do pieniędzy i wspomnienia purytanów; ja sądziłem że można połączyć te dwa sposoby, i obiecywać ludziom bogactwa w imieniu Biblii; a co więcej, dać je im. Tak stałem się królem massy ludzi doskonale wyćwiczonych i gotowych na wszystko. Poświęciliby swoje życie dla moich widoków. Jedni życzą królestwa Bożego, drudzy fortuny, największa część chce jednego i drugiego. Ja używam téj podwójnej nadziei przeciw demokracji stanów. Czy sądzisz że demokracja amerykańska trwać może? ja tak nie sądzę; to tylko forma czasowa; za nadto jest w niej żywiołów walki i zniszczenia. Żadnej karności, żadnego porządku, żadnego kierunku stałego. Mormo-

więc do mojego stowarzyszenia. Ja zwołam tutaj z Joway, Indiany, Michigan, i z Ohio tysiące moich wiernych, a te ptaki drapieżne prędko przyjdą; jeziora północne nam ulegną; ludzie moi pójdą pod memi sztandarami jak wojownicy Izraelscy pod chorągwiami świętymi Mojżesza i Jozuego; a nawet kolonie angielskie, które tak są słabe, pewno przyłączą się do nas. Zbliżemy się do *Skór-Czerwonych* z zachodu. Ci biedni ludzie niczego więcej nie pragną jak zemsty. Jeżelibyśmy kiedy potrafili zgromadzić *Lisów, Dahkotosów, Krików, Chaktasów, Cherokeeesów, Commanchów*, wszystkie nakoniec szczątki starych pokoleń miejscowych, byłibyśmy bardzo silni. Brakowało im tylko skupienia się w jeden punkt, my im to ułatwimy. Patrz, dodał, oto książka w której przypominam świetność starożytną i władzę od niepamiętnych czasów tych pokoleń przygniecionych przez przywłascicieli, gdzie ich namawiam do odzyskania utraconej władzy i wielkości ujętej, gdzie ich ogłaszam jako dzieci pokoleń zatraconych Izraela. Poleciałem przetłómaczyć to dzieło na ich narzecze, a już duma pochlebiona odpowiedziała memu wezwaniu. Nie jedno powstanie *Skór-Czerwonych* jest mojem dziełem; bądź

przekonanym że w dniu w którym rozpoczniem walkę, okrzyki wojenne *Skór-Czerwonych* będą się rozlegać na naszą korzyść od gór Allegańskich do *Skalistych*. Jeżeli nie chcesz przystąpić do tak wielkich i tak niebezpiecznych zamysłów, sprzedaj przynajmniej swoją kopalnię, a oddaj nam tę prowincję.

Odmówiłem, jak o tém nie wątpisz, i pożegnałem proroka. Nie znalazł on kapitału o który się starał; założył bank, który się nie udał, i Mormoni cofnęli się przed swymi wierzycielami. Fanatycy opanowali miejscowości opustoszałe lub dzikie, łatwiejsze do obrony, które podtrzymywali z bronią w ręku. Przyparciu jak dzik ginący, zrzucili oni wszelkie pozory karności sekty religijnej, i utworzyli szajkę straszliwych rozbojników, przeciw którym potrzeba było wysłać wojenne siły. Nowi prorocy kradli bydło i konie, zamieszkiwali w lasach, i utrzymywali się jak mogli z rabunku. Smith nie tracił odwagi; zrobił on odezwę do swoich wiernych, i oświadczył, że każdy Mormon, który nie zjawi się wraz z swymi spółbraćmi na umówioną schadzkę nad brzegami Mississipi, w Illinois, będzie pozbawiony swego tytułu. Wszyscy bracia stawili się, a liczba przywróciła im siłę;

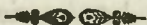
wszyscy mieli prawo głosowania, a że te głosy były rządzone jedyną wolą Józefa Smith, wszystkie więc interessa w Illinois około niego się skupiły. Wtedyto wzniosła się stolica Nauvoù (Nauvoo) której imie jest indyjskie, stolica Mormonów, rodzaj fortecy zawieszonéj na wierzchołku skały i otoczonéj miastem pysznie zbudowaném (*).

Skoro Smith zamieszkał Nauvoù, oddał się rozpuście, otoczył się haremem, wprowadził w użycie najwyuzdańsze wyobraźnie staréj rozwiązłości europejskiéj, i Amerykanie w końcu rozstrzelali go, nie mogąc zabić przez to ani jego wyobrażeń, ani jego sekty.

Wiǳcie jaki był cel stały tego człowieka. Ostatnie słowo jego nauki nie jest jeszcze wiadome. Pod pozorem fanatyzmu biblijnego, ci sektarze mają nadzieję jedność woli i zamiarów stawić naprzeciw rozproszeniu sił właściwemu demokracji, i przyjsć do władzy. Są to prawdziwi nieprzyjaciele *Unii*; bandy ich będą się tworzyły z tych wszystkich, których Unia nie przyjmie. Przepędzono ich ku góróm Skalistym; lecz znajdują się znowu, a nie są to

(*) Tam właśnie P. Cabet schronił się ze szczątkami Ikarii.

nieprzyjaciele do pogardzenia. Mają za sobą dwie wielkie dźwignie: chciwość i obłudę. Jeżeli się ich tam wystrzegać nie będą, założą oni *Contre-Unią* i za kilka dziesiątków lat można będzie widzieć zagorzałe samowładztwo wznoszące się naprzeciw federalizmu republikańskiego.



II.

Nowe miasta.— Skutki kredytu.— Żegluga po Missisipi.— Życie dzikie w życiu oświeconém.— Jaki jest stan duszy twojej?

Nowy Orlean. 20 Czerwca 1849.

Między Charleston i Nowym Orleanem, przejeżdżając przez Georgią i Alabamą, zwiedziłem więcej dwudziestu miast, z których jedne kwitnące, inne chylące się do upadku przed rozwinięciem się, wszystkie są owocem kredytu.

Kredyt sprawcą jest pomyślności Ameryki. Obszerny ten przestwor ziemi jest ogromną giełdą, gdzie bezustannie spekulują na podwyższenie i spadanie papierów; bez systematu pożycz-

kowego, nie byłby on nigdy się użyznił, ani nawet zaludnił. Postęp olbrzymi Stanów-Zjednoczonych nie ma innego powodu. Dla braku nieco kapitałów, wszyscy koloniści, rolnicy, karczownicy, dzierżawcy, pozostawaliby w największej nędzy; z kapitałem, nic im nie było niepodobnego. Widziano naprzykład Wisconsin, które przed piętnastą laty zawierało dwie wsi za ledwo, pokrywające się nietylko folwarkami i miasteczkami, ale nawet ważniejszymi miastami: dzisiaj złoto i srebro krąży w obfitości w téj prowincyi, gdzie bankocetle są prawie nieznanne. Wszystko to się odbywa przez pożyczki, bo Amerykanie mają ufność w sobie samych, w swojej działalności, w ziemi i w rządzie swoim. Nie miano ani jednego penny, nie zabrakło jednak odwagi, również jak gruntów: drogi, parostatki, gisernie, zjawiły się jakby cudem. Grunt był dość bogatym, aby pokryć pożyczki; dłużnicy byli dość uczciwymi, aby je opłacić. Wszystkie zobowiązania się zostały uiszczone, bogactwo kraju we czwornasób się powiększyło. Ach, Panie, jakież to smutne rodzą się uwagi! Widziano jak blisko jeziora Michigan nagle powstało zachwycające miasto. To Milwaukie było zbudowane bez szeląga kapitału; ale interes był

bardzo dobrze obliczony, i wszystko się udało. Ruda dobywana w Mineral-Point wymagała wprzód ogromnych kosztów transportu; teraz, dwanaście parostatków wypływa latem z Milwaukee, i przepływając następnie przez kilka jezior, przebiegając przestrzeń więcej ośmiuset mil, wiozą z razu do Buffalo, a stamtąd do Nowego-Yorku, rudę z Mineral-Point. Oszczędność którą potrafiono tém zaprowadzić, wydała takie zyski, że jeden rok wystarczył na pokrycie wszystkich pożyczek. W przeciągu lat dziesięciu, więcej pięćdziesięciu tysięcy osób zamieszkało w Milwaukee, i tam oddaje się wszelkim spekulacyom, jakim tylko sprzyja ten kraj dziewiczy.

Ta łatwość kredytu sprawia wznoszenia się i wytrąśnienia funduszów, często mało sprzyjające uczciwości. Odważają się tam jak wojskowi, na wiele rzeczy; każdy zabor nie jest bez wypadków, każde przedsięwzięcie ma swoją złą stronę. Oszustwo praktykuje się tu na wielką skalę; grają na miasta, i debankują. Tacy kawalerowie przemysłowi, jak Joë Smith Mormon, nie dążą do niczego jak tylko by zostać cesarzami lub sułtanami. Skala wszystkiego jest kolosalna; nie bankrutują tu magazyny, ale całe

provincyje. Nie wiem czyście słyszeli co o Kairze, nie o tym wielkim Kairze w Egipcie, ale o małym Kairze w tych stronach. Jest to miasto na żart, które już miało zakwitnąć przy zbiegu Ohio i Mississipi, kiedy mu trzeba było złożyć bilans. Ono jest jeszcze nie wzniesione, nie zabudowane; ale ma największą żądzę do wzniesienia się, i posiada więzienie, bank i kościół, jako gmachy przygotowawcze. Mieszkańca ani jednego, i nigdy ich nie miało; byli to tylko przedsiębiorcy. Miliony dollarów przeznaczone na jego ulice zakreślone, ale nie zabudowane, pochodziły w części z kassy bankierów Londyńskich, których złudziła ta spekulacya, i którzy byliby dzisiaj bardzo szczęśliwi, żeby odzyskali połowę procentu od kapitałów zakopanych w smutném bagnisku otaczającym wielki Kair. Spodziewane kopuły, minarety o których się marzyło, wszystko to zniknęło; Ohio mruczy jeszcze około kamieni, do których się ma coś przymurować; a podróżnik mija obojętnie te ruiny miasta które nigdy nie istniało.

Nie opłakujcie jednak zbyt gorzko, złych następstw przedsiębiorczego amerykańskiego umysłu; bez tego *going a head* (chodząc na głowie), któ-

rego tu znajduję bezprzestannie dowody bardzo nadzwyczajne, czyliżby można było utrzymywać tę wielką walkę z przyrodzeniem? czyliżby tak znikały pustynie, jak to się codziennie przytrafia? Wyobraźcie, że to jest świat rodzący się; tak wielki utwor nie może się stać bez gwałtowności i bez ruin. Bolesć rodzenia stosunkowa jest do swęj wielkości.

Przebyłem prawie ośmą część obszernęj doliny Mississipi, gdzie mogłoby się pomieścić wybornie trzydzieści milionów ludzi, a która liczy zaledwo dziewięć milionów mieszkańców. Nie możecie wyobrazić, jak piorunującej czynności symbolem jest ten olbrzym rzek, toczący z mułem wód swoich ogromne dęby, szczątki pierwotnych lasów, statków, fregat, szalup, magazynów, tratw, sklepów, pracowni, nawet teatrów. Wszystko to się spycha w nieładzie tak straszliwym o jakim nie możecie mieć wyobrażenia; wszystko to podskakuje w natłoku z pewnym rodzajem młodzieńczej radości Tytana, który tylko co się narodził. Już dachy kilku miast świecą się na brzegach; już kościoły i rękodzielnie pokazały się z tęg ziemi, od wczoraj zamieszkałęg; cóż to więc będzie, kiedy cała przestrzeń się napełni, kiedy ta massa

wód, szersza dziesięć razy od Tamizy pod Londynie, a więcej pięćdziesięciu razy od Sekwany pod Paryżem, będzie obmywać stopy tysiąca siedlisk zamożnych, z czynnemi fabrykami, folwarkami i ogrodami! Od Wisconsin aż do Nowego-Orleanu będzie to tylko jedna wielka ulica na mil trzysta, na której miasta będą w miejscu domów; ale wówczas nie znajdziemy tego cudnego widoku, który dziś żeglugę po Mississipi czyni tak ciekawą, zwłaszcza w nocy. W każdej chwili parostatki olbrzymie, malowane na czarno i na biało, z kominami białemi i czarnemi a rurami nadzwyczajnych wymiarów, płyną blisko ciebie wyrzucając potoki iskier sionych, które błyszcząc wpadają w czarne łożysko rzeki; pożerają one niesłychaną ilość palnego materyału. Są to statki nadzwyczaj lekkie, zbudowane z desek źle z sobą spojonych, i trwać mające najwięcej kilka miesięcy; one latają po wodach pożerając całe lasy, z chyżością strzał zapalonych; giną niekiedy od ognia, czasami od wody, albo i od obu tych żywiołów. Niemasz nic pospolitszego, jak dowiedzieć się, że Mississipi pochłoneło dwa albo trzy takie statki z całym ich ładunkiem.

Ta żegluga po Mississipi jest prawdziwem go-

dłem amerykańskiej oświaty. Obszerna rozciągłość rzeki, aż do zejścia się z Ohio, okryta jest statkami tak rozmaitemi, że prawie niepodobna oznaczyć je lub przeliczyć: najwięcej jest parostatków, których pokład przepelniony podróżnymi; jedne z nich toną sami przez się, inne uderzywszy się o drugi statek, giną pospołu. Tu nie uważają bardzo na to; w krajach nowych gdzie człowiek jest tak małą rzeczą, życie ludzkie także się nie wiele ceni.

Postrzegasz pewien rodzaj gór białych, podobnych do stogów siana, które płyną wspaniale na strugach. Są to paki wełną nałożone na dzieśnię albo piętnaście metrów długie, a dwa albo trzy szerokie. Dalej statki płaskie, ścięte po obu końcach, ozdobione niekiedy czémś nakształt skrzydła i kierowane przez dwa wiosła umieszczone na przodzie, przerzynają wodę albo raczej z nią pośpieszają; budowa ich jest lekka; statki te, przeznaczone płynąć z rzeką, nie mogłyby iść w górę. Kiedy te improwizowane okręty dójdą swego przeznaczenia, rozbijają je i użytkują z materiałów. Taki tu jest przemysł ludu, którego głównie zajmuje szybkość działalności i zysk obecny. Tu i ówdzie pojedyncze barki, zbudowane w kształcie namiotów z de-

sek zaledwie ociosanych, unoszą całe rodziny emigrujące z pościelą, meblami, ze zwierzętami domowymi, a które skoro tylko przybędą do nowój osady, natychmiast rozbijają w kawałki swą małą arkę Noego. Niekiedy, są to domy pływające, zawczasu przygotowane, które skoro tylko raz spuszczone na rzekę zostaną, przybędą aż do miejsca gdzie zamieszkać postanowiono. Można widzieć sklepy pływające z sztyldami, modami, towarami kolonialnemi, fajansowemi, wełnianemi; zamiast użycia konia i dwóch kół, jak nasi handlarze, i kupcy jeżdżący z towarami, właściciel uzbrojony jest parą wioseł które poruszają sklep jego. Są także teatra, marjonetki, kuglarze, cienie chińskie, a nawet i wielkie przedstawienia, gdzie grają Szekspira między niebem i wodą; a kiedy Makbeth chce się pozbyć starego króla, rzuca go do Mississipi zamiast przeszycia sztyletem. Potem nadchodzą długie tratwy z ogromnych drzew, wyciętych w oddalonych lasach przez tego który je spławia aby sprzedać o kilka set mil od ustronia w którym rosły. Wszystko to jest olbrzymie, niekształtne, dziwaczne, pełne ruchu, życia i czynu. Jest to siła przyrodzenia i siła człowieka, które się przepełniają i walczą razem.

Sceny, które się dzieją na pokładzie tych statków nie mniej są zadziwiające. Na te to szalupy wsiadają kupami ci kawalerowie przemysłowi o których mówiłem, a którzy w ogóle przepędzają czas na graniu w hazardowne gry na pomoście. Większa część tych szanownych panów uzbrojona jest rewolwerami (revolving-pistols) to jest pistoletami, z których można wystrzelić siedm do dziesięciu razy bez przerwy. Inni przekładają lepiej nóż—*bowie*, z którego robią użytek nader straszny. Wydarza im się niekiedy zrabować całe miasto, cò wykonywają spokojnie, zręcznie, bez najmniejszego hałasu. O ile są oni silni, o tyle miasto wystawione na rabunek im się poddaje; ale częstokroć można zobaczyć tuzin ciał wiszących na latarni: są to nasi przywłaszczyciele których ukarano i powieszono bez innéj formy processu.

Kraj, który przebyłem prędko, jest jeszcze rządzony tą dziką sprawiedliwością, której dawniejsze Stany-Zjednoczone, już nie znają. W kierunku Karoliny południowéj, Luiziany, i Nowego-Oreanu, a bardziej jeszcze w Texas mięszanina dzikości pierwotnego życia i zepsutego życia cywilizowanego, uderza podróżującego nie mało. Przed miesiącem, secina jakichś

awanturników opanowała małe miasteczko Viksburg, traktując mieszkańców jak zwyciężonych; kazano dawać sobie dobre obiady, używano koni, porywano niewiasty, nakładano okup na właścicieli; wszystko szło jak najlepiej. Narreszcie, cierpliwość Viksburczyków wyczerpała się; panowie zwycięzcy zostali jednej nocy skrepowani, a rano zaprowadzono ich do bram miasta, gdzie powieszono dwónastu od razu; potem wygnano pozostałych, rozkazując im przechodzić pod nogami powieszonych. To prawo latarni ma wielu stronników na południu. Oczywiście że pustynia, którą się starają owoładnąć z taką wytrwałością, oddziaływa na swoich zwycięzców i czyni ich dzikimi jak wilki. Nikt nie życzyłby tutaj oczekiwać powolnego wykonywania prawa pisanego, jakie jest znane i szanowane a przynajmniej jakie było szanowane między narodami Europejskimi. Cóżby robił officer policyi, konstabl albo sierżant miasta, z osobami tak strasznymi i tak uzuchwalonymi, jak np. ten, którego spotkałem, a który ścigany na naszym parostatku przez oficera policyi, chwycił go w pół, rzucił się do wody i z nim utonął? Im się bardziej oddala ku krajom środkowym, tém straszniejszém staje się

to okrucieństwo dzikiego życia. Często miesza się do tego jakieś wspomnienie poważne i pobożne purytańskiego kalwinizmu, i ta mieszanina wydaje najdziwaczniejszy skutek w świecie.

Było nas dwanaście osób, Kanadyjczyków, Amerykanów i Anglików, na pokładzie parostatku, który płynął po wielkiej rzece i przewoził nas do Nowego-Orleanu. Jeden oficer kanadyjski będący na połowie żołądu rozmawiał z oficerem angielskim znacznie młodszym od siebie. Oparty o bęben zasłaniający koła, Amerykanin północny słuchał ich z uwagą; był to człowiek trzydziestoletni, suchy, siwy, srogi, milczący, z szyją zagłębioną w biały halsztuch nakrochmalony jak ściana. Nie był to Mormon, ale po prostu anabaptysta. Zobaczywszy mnie, przyszedł i rzekł mi po grubijańsku:

—Słuchajno! w jakim stanie jest dusza twoja? Potém położył mi poufale rękę na ramieniu.

—W bardzo dobrym, a twoja?—odpowiedziałem.

— Niech będzie Bóg błogosławiony!

— Amen, — odrzekłem.

Zmierzył mię wzrokiem.

— Widzę, że jesteś synem potępienia i dzieckiem ognia piekielnego.

— I to zdaje się cię bardzo cieszyć.... Mi-
strzu! — odpowiedziałem.

Odpowiedź moja zmięszała go, a w tém przekleństwo bardzo wyraźnie wymówione wymknęło się z ust jednego z dwóch rozmawiających o których wspomniałem.

— To są Moabici! — zawołał anabaptysta.

Rozmowa tych panów była bardzo wolna, i przyznać należy że imię Boga było nader często używane bez wielkiego uszanowania. Nos czerwony mojego purytanina zaognił się, włosy grube powstały mu na głowie, potem zbliżając się poważnie do rozmawiających, i udając się do starszego z nich:

— Nieznośny przekleśniku!... zapowiadam ci, rzecze, wszystkie pioruny i gniew świętego świętych. Co za wstyd! co za szkaradna obrzydliwość! potępienie bezdenne! Człowieku broni, człowieku z białymi włosami, jesteś wyklęty za twoje bluźnierstwa!

Kanadyjczycy są jeszcze grzeczni i dobrze wychowani, jak ich przodkowie Francuzi. Zamiast wyrzucenia tego człowieka za breg statku, jakbym ja to uczynił, oficer spojrział na purytanina z uśmiechem, i rzekł:

— Jestem prawdziwie w rospaczy, Panie, że

słowa moje mogły Cię zranić.— I obracając się tyłem do niego, zaczął znowu spokojnie prowadzić rozmowę ze swoim sąsiadem.

Surowy anabaptysta, zapewne dla uspokojenia wzruszenia sprawionego podwójną zaczepką, którą nam uczynił, zawołał szafarza i prosił o szklanę mięty zamrożonej, rodzaj likieru podbudzającego, który lubią bardzo Amerykanie, i który mu przyniesiono. Podczas całej téj sceny, gruby handlarz z Bostonu, z twarzą otwartą i wesołą, żując tytoń, słuchał rozmowy, nie biorąc w nią udziału. Mogłem tylko zauważać, po ściąganiu powiek, że był bardzo oburzony niegrzecznościami anabaptysty. Ten ostatni przybliżał powoli szklanę do ust swoich nie niepokojąc się już o stan duszy mojej, kiedy Bostończyk, uderzył go lewą ręką w prawe ramię z taką gwałtownością, że szklanka z likierem wypadła i w druzgi się rozleciała. Potém siadł przeciw tego człowieka, a starając się naśladować ton nosowy biblijnych kaznodziei, i przewracając ogromne oczy, jak ci fanatycy, rzekł mu poważnie:

—Zmysłowość! zmysłowość! Filistynie! Moabito! żarłoku! bądź potępiony na zawsze!

— Jakiem prawem?—skrzyknął anabaptysta

rozdąsany — Wiedz, że jestem Samuel Jonasz Penruder, minister Jehovah i opowiadacz słowa...

Ale Bostończyk podniósłszy ogromny kij, spuścił go gwałtownie na grzbiet kaznodziei, i wymówił słowa, które szczególnie uspokoiły Samuela:

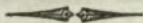
— Tyś William Briscoombe, zbieg z domu poprawy w Sing-Sing, osądzony za złodziejstwo i za porwanie, czy słyszysz człowieku dobroczynny! strzeż się! albo cię wydam pierwszemu magistratowi sąsiedniego miasta.—

To tylko tutaj podobne mieszczaniny mogą się znaleźć. Widzicie więc że Ameryka jest olbrzymem jeszcze w dzieciństwie; trzeba wiele czasu nim jój kolosalne siły będą użyte. Emigracya europejska i ogromna płodność małżeństw zaludniają zaledwo niektóre pustynie; nie ma jeszcze odpowiedniego stosunku między ludnością a przestrzenią. Dla tego człowiek zdaje się mniejszym a przyrodzenie większym, co właśnie podnieca jego działalność. Przygnębiony tém co go otacza i gniecie, czując jednak siłę nieodbitą tryumfującą rozumu swego, jest w położeniu tych młodych ludzi biednych, z zapalem, pracowitych, których nadzieja zapewnienia losu zachęca do usiłowań nadprzyrodzonych;

stąd tworzy się dramat wspaniały i nieustanny. Ten zapał do pracy, ta gorączka do przedsięwzięcia, sprawiają mu przyjemność w samym niepowodzeniu. Ma wiele do zwalczania, i ta walka jest jego szczęściem. Amerykanin jest czynnym aby być czynnym, jak to dziecię które żyje, aby żyć: bankructwo nie sprawia mu wielkiego przestachu; jezdziec zrzucony, wsiądzie znowu najpiękniej na siodło. Poskromi on wkrótce, bądźcie tego pewni, konia który go zrzucił. Często biedny, staje się bogatym, a potem znowu biednym. Handlują, spekulują, lekają się, spodziewają się; są to wzruszenia stołu gry. Amerykanin czuje że istnieje, nie jako człowiek dawniejszej oświaty, nie jako starzec w którego kościach, podług prześlicznego wyrażenia Chuschilla, ryczy żądza bezsilna (and in his wither'd bones groan impotent desires) ale jak młodzieniec, który rozprasza z rozkoszą zbytek swojego zapału i życia, i rzuca się w gwałtowne niebezpieczeństwa, które są jego najdroższą żądzą.

Spodziewam się za dni kilka udać się do Texas, gdzie ta walka przyrodzenia z człowiekiem jest jeszcze więcej dziką, aniżeli w dolinie Mississippi; będę opisywał to co zoboczę,

jeśli nie zostaną łupem jakiego Kommansza uzbrojonego zatrutą włócznią, lub Texeńczyka uzbrojonego *riflem*.



III.

Texas — Wnętrze oberży. — Generał Antiochus i Sędzia Peters — Gościnność don José Morrellas'a — Hotel pod czerwonym orłem. — Jeszcze Sędzia Peters — Jak się podróżuje w Texas.

Saint-Louis, 12 Sierpnia 1849.

Przejechałem przez Texas, i żyję jeszcze, rzecz cudowna. Ale to nie jest winą mieszkańców kraju tego.

Zresztą słowo *mieszkańcy* źle się stosuje do ludności dziwacznej, mieszananej, koczującej, różnorodnej, niesłychanej, złożonej ze zbiegów, z dzikich, Amerykanów, Hiszpanów, Portugalczyków, metysów, Francuzów, Niemców, a nawet Indyan i Negrów, którzy niejednokrotnie mieli jakieś małe zajścia ze sprawiedliwością. Takim to jest Texas, z którego się wymykam. Szczególny kraj,

którego stolica Galveston, jest także szczególném miastem. W Galveston każdy jest albo sędzią albo Generałem; generałowie bez wojska, a sędziowie bez spraw. Prawie wszystkie domy, są to kawiarnie, szynkownie lub knajpy, gdzie sędziowie i generałowie schodzą się pić i palić tytoń w najlepsze. Ci sędziowie którzy nigdy nie wymierzają sprawiedliwości, ci generałowie którzy nigdy nie wojują jak tylko na wielkich drogach, składają ludność, któraby się bardzo podobiała Salvatorowi Rosa albo Callotowi, która nosi wszelkie kostiumy, mówi wszystkimi językami, i posiada mięszaninę wszystkich wad.

Stany Zjednoczone odrzucają takim sposobem nad granice swoje wrzącą pianę występku, nędzy, albo awanturnictwa, której nie mogą czy nie chcą utrzymywać u siebie. I właśnie to ku Texas i Stepom odpływa i rozszerza się ta dziwna ludność, zmieszana często z pokoleniami Indyjskimi, awanturnikami z Ameryki południowej i z niedobitkami wszystkich krain. Nie wiem czy te dziwne okolice staną się tém czém był Rzym, ale to pewna że obie kolebki są do siebie podobne.

Stolica Texas, Galveston, jest miejscem schadzki tych godnych ludzi, których obraz wam przedstawiłem. Kiedym wszedł wczoraj do

głównego traktyeru, który się nazywa Dom-Tremont (Tremont-hause) około olbrzymiego pieca siedziało dziesięciu generałów texyjskich i dziesięciu sędziów tegoż rodzaju, grających w karty, klnących jak potępiący, palących jak kominy, i przybierających ważne miny wśród gęstych obłoków napełniających salę. Rzekłbyś że to obraz Bamboche'a. Każdy mówił szwargocząc o swoich zmiennych losach. Tam obdarto przechodnia, odcięto walizę podróżnemu, okradziono karawanę, zwyciężono i prześcignięto *yankesa* w przebiegłości handlowej, tu nałożono okup na jaką wielką wieś hiszpańską, albo podpalono jakie koczowisko dzikich. Umieściłem się skromnie w kącie sali, którą ci zacni mówcy zajmowali. Przybycie cudzoziemca wzbudziło ogólną ciekawość.

Usiadłem więc spokojnie za stołem z drzewa białego bardzo dwuznacznej czystości. Chłopiec który nie mniej był ciekawy jak i inni goście w sali, zapytując mnie co każę sobie podać, przyniósł listę podróźnych abym i ja tam wpisał swoje nazwisko. Był to rodzaj Figara ogorzałego, z okiem sroki, z czołem zaokrąglonem, z włosami kędzierzawemi.

— Panie *Kommisancie!* — krzyknął na niego

człowiek chudy i długi, twarzy łotrowskiej, który się nazywał sędzia Brondley,— jak się nazywa ten cudzoziemiec?

Ach, powiedziałem do siebie pocichu, tu jak uważam chłopcy w kawiarni są kommissantami; jakże się będą tytułować kommissanci? To postrzeżenie wewnętrzne mocno mię bawiło, kiedy inny biesiadnik, obracając się do tegoż chłopca-komisanta, i ciągnąc go za rękaw:

— Generale! — rzekł — prędjéj: prosiłem cię od godziny o szklanę groku z miętą pieprzową; generale, czy dasz mi ją nareście?

— Tak generale, — odpowiedział chłopiec — nie bądź tak niecierpliwym, generale; służę panu.

I generał-chłopiec podał generałowi-sędziemu szklanę groku z miętą pieprzową.

Zbyt lubię komedye ludzką, aby unikać pociesznych spotkań i mieszanin dziwacznych, któremi życie jest usiane w kraju takim jak Texas. Ciągnąłem więc dalej, śmiejąc się w duszy wewnętrznie, ten kurs postrzeżeń galwestońskich, z bogaciwszy wprzódy nazwiskiem mojem: »Kapitan J. Tolmer udający się do Saint-Louis« rejestr który mi podano. Za ledwo oddałem go chłopcowi-generałowi-kom-

— Jestem sędzia Peters,—rzekł — i Pan będziesz miał ze mną do czynienia.

W tejże samej chwili Mulat Antiochus (było to imię jego) generał-kommissant-chłopiec z oberży, wszedł do stajni, i przybliżając się do mnie ze śmiechem:

— Wygrzmoć trochę sędziego, — rzekł do mnie — on tego potrzebuje; nic z nim nie skutkuje bez téj małej nauczki, którą on codzień otrzymuje.

A kiedy wsunąłem dollara w rękę Antiocha, grożąc biczem sędziemu, który umknął rozsądnie, mulat mi powiedział:

— Doprawdy, Panie, zrobiłeś bardzo dobrze, żeś przyszedł tutaj zobaczyć co się dzieje; pilnuj się dobrze. Ostrzegam Pana, że mają cię na oku. Pański koń i mantelzak ściągnęły uwagę naszych mistrzów. Pan wiesz, w jakim jesteś kraju, a człowiek ostrzeżony wart dwóch. Jeśli wierzysz mi, zmień miejsce pobytu co najrychlej. Tutaj cenią tyle życie człowieka, co życie muchy, a sędziów jest tyle, że sprawiedliwość nigdy nie jest wymierzona.

Drugi dollar wynagrodził to ostrzeżenie liściowe, i spiesząc się osiodłać mego konia, prosiłem Antiochusa, aby mi wskazał dro-

gę, którą się udać powinienem do jednego Hiszpana, don José Morell'a, do którego miałem list rekomendacyjny, a który mieszkał w małej willi wiejskiej o dwa strzały karabinowe od miasta. Antiochus dał mi potrzebne objaśnienia, i ja pojechałem.

Przejeżdżając przez Galveston, zadziwiony byłem hałasem, który napełniał miasto; były to kłótnie, zwady gwałtowne, sprzeczki bez końca, wrzawa, krzyk rozmaitego rodzaju. Wkrótce stanąłem u drzwi Hiszpana, którego spostrzegłem siedzącego na balkonie z białego drzewa, z cygarem w ustach, w ogromnym słomianym kreolskim kapeluszu. Zszedł, przyjął mię jak najlepiej w świecie, a uprzejmość i serdeczna grzeczność z jaką mi gościnność ofiarował, zatarły z pamięci mojej nieprzyjemności, nudy i obawy, od których podróż w Texas nie jest nigdy wolną.

— Zamyślasz więc, — rzekł do mnie — przebyć stepy i wrócić do Wiscousin przez rzekę Czerwoną i Świętego Antoniego de Békar i Świętego Ludwika? Na moją duszę, *caballero*, to jest projekt niebezpieczny. Czy wiesz, że w naszych okolicach polują na ludzi tak jak w lasach polują na zwierzęta?

— Ja lubię przygody.

— Będziesz miał ich dość, wyjdiesz stosownie do życzenia; i bardzo szczęśliwie, jeśli z nich cało Oto, czy widzisz tego łotra, który wałęsa się koło domu mojego: on poznał twego konia przywiązanego do słupa u wejścia, i chce teraz dowiedzieć się jaką drogą pojedziesz. Jest to po prostu szpieg. Znajdziesz tyle zasadzek, ile jest drzew w lesie.

— A więc, będziemy się bronili.

— Wprowadźmy naprzód twego konia, i zostań tutaj, jeśli chcesz mi zaufać, kilka dni dla nabrania sił; potem ułożemy dla Pana małą eskortę, a jeśli mi wierzysz, to posługuj się krajowcami, a najmniej jak tylko możesz Teksyjczykami. Indyjanie, nadewszystko Komansze, mają słuch szczególnie delikatny. Są to ludzie posłuszni, którzy będą oddani tobie duszą i ciałem, za sprzączkę do strzelby myśliwskiej i funt prochu. Podczas wojny, utarczek i zasadzek, są oni nieporównani. Zobaczysz zresztą....

Poszedłem za radą don José Morella, u którego przebyłem tydzień bardzo przyjemnie, i który dostarczył mi sposobności udać się bez niebezpieczeństwa i bez wystrzału, co niemniej przyjemne, do małego miasteczka Nacogdoché.

Są miasta w Ameryce, wprawdzie w niewielkiej liczbie, które nie wyrzekły się swego pierwotnego narodowego nazwiska; nazwisko to niekiedy przykre i barbarzyńskie dla ucha, ma dla mnie więcej charakteru i przyjemności, aniżeli te Kartaginy mieszane, te Rzymy przemycane, Neapole i Persepolis składające się z kilku drewnianych domów zabłąkanych w tych obszernych i smutnych pustyniach. Nacogochés jest jednym z tych miast. W epoce Hiszpanów, nie było nic weselszego, przyjemniejszego i bardziej pasterskiego, jak ta mała osada wiejska, zagrzebana wśród drzew zielonych, zaludniona obojętnymi kreolczykami, dzikimi z okiem dumnym i łagodnym, i potomkami zdobywców Meksyku. Nie pozostało żadnego śladu z tej wiejskiej pomyślności. Jak tylko się doń zbliżyłem, krzyki pijaków kłucących się w szynkach dochodziły aż do mnie. Nieczystość ulic, opustoszenie budowli, mina sceptycznego próżnowania i ironicznej oziębłości rozlana na wszystkich twarzach któreśmy spotykali, przekonały mię dostatecznie, że przyłączenie Texas do Stanów-Zjednoczonych nie przyniosło szczęścia temu ludowi tak niegdyś wesołemu, ujmującemu, i tak kwitjącemu.

Przybycie nasze do hotelu Orła-Czerwonego, zrobiło wrażenie. Byliśmy przedstawieni przez Don José Morella gospodarzowi domu, prawdziwemu Hiszpanowi rasy oberżystów Cervantesa, tegiej fizyonomji brunatnej, okrągłej i ogorzalej, której wszystkie rysy znamionowały do wci p i bystrość, dobry humor i przenikliwość.

— Witaj! — rzekł do mnie — wszyscy ci których mi poleca szanowny don José są mymi przyjaciółmi. A czy pan ma zamiar długo u mnie pozostać?

— Nie, — odpowiedziałem — te okolice nie są pewne. Tego wieczora udamy się ku Saint-Louis; po drodze będziemy zapewne mieli nieraz doczynienia z włóczęgami, ale damy sobie radę.

— Mojem zdaniem pan masz słusność, na Boga! — odpowiedział poważnie Hiszpan — Niech Bóg ma cię w swęj opiece! Tłomok w tym kraju jest zdobyczą, na którą stu myśliwców czyha. Mówiąc między nami, senor caballero, sledzą w ślad za panem. Od trzech dni przychodziło więcej dziesięciu osób pytając się czy nie widziano pana przejeżdżającego. Pańskie dublony, dollary, i piękny koń, poruszyły wszystkich złoczyńców. Czy znasz sędziego Peters?

— Miałem zaszczyt zaznajomić się z nim ude-

rzenia biczem, pewnego dnia kiedy chciał mi ukraść konia.

— Czytaj ten list który mi oddał w tej chwili jeden z moich zwykłych wysłańców, człowiek uczciwy, i bardzo dla mnie pożyteczny. Tu jest wieczna wojna; ciągłe wykręty, zasadzki, wyprawy, włóczęstwa, złodziejstwa, a często i zabójstwa. Niekiedy Indyanie, niekiedy Teksyjczycy zbierają się w bandy, które plądrują po stepach, albo oblegają nasze wsie i miasta; i to jest mój panie wolność, którą się cieszymy. Jestem zmuszony wywiadywać się o wszelkich niebezpieczeństwach, na które dóm mój narażonym być może, i o spiskach, które mniemani sędziowie i mniemani generałowie, którymi kraj ten przeklęty jest zaludniony, ciągle knują. Mój wysłaniec jest to dawny robotnik francuzki doświadczonej poczciwości i niepospolitej przenikliwości. Wysyłam go na zwiady, i jego wiadomości są zawsze dziwnie dokładne. Czytaj więc.

Tu oddał mi list następnym, który czytałem z tém większym zajęciem, że się mnie tyczył:

»Generał Peters zwerbował dwudziestu generałów podobnego sobie gatunku, i zapewne zatrzyma się czas jakiś u pana. Sledzi on teraz



pewnego kapitana Tolmera, który jak się zdaje ma z sobą pieniądze, i który przebywając stepy aż do Nacogdochès zdołał szczęściem lub trafem uniknąć dwóch czy trzech zasadzek. Uprzedź tego cudzoziemca że może zwieść Petersa i zniweczyć jego zamiary, udając się inną drogą wprzód nim szanowny generał będzie o tém zawiadomiony.

— Rada jest dobra, rzekł Hiszpan, którego twarz figlarna i sposób mówienia krotofilny bawiły mię niezmiernie. Na oszusta, półtora oszusta; czy chcesz mi zawierzyć? Przepędź kilka godzin w wielkim salonie oberży, mów głośno o swem zamiarze powrócenia do Galveston, wydaj stosowne do tego polecenia, wskaż fałszywą godzinę odjazdu na jutro o świcie; a możesz być pewnym, że waleczny generał Peters ze swoją świtą uszykują się na drodze, którą wskażesz. Ale sam jedź tego wieczora bez bębna i bez trąbki drogą którą ja ci wskażę.

Wszystko to zostało dokładnie wypełnione. Gospoda przez cały dzień była napełnioną ludźmi, najgorszego pozorów w świecie, którzy widziałem, jak jedni po drugich znikali aby mię czekać, bez wątpienia, po za obrębem miasta. Była dziewiąta godzina, kiedy poszedłem zoba-



czyć mego konia, którego zastałem osiodłanym; nasz gospodarz, oparty łokciem o kulę od siodła, rzekł mi:

— Teraz właśnie czas; trzeba wymykać się nic nie mówiąc, pieszo. Idź pan przez wielką ulicę, nie przechodź mostu, a zwróć się na prawo i idź z biegiem rzeki pół mili aż do tego miejsca gdzie zobaczysz gęsto zarosłe sitowie. Pańska straż, bagaże, które ja sam przeprowadzę, będąc tam o samą dziesiątą. Tylko śpiesz pan bo niema czasu do stracenia; trzeba żeby się niczego nie domyślano. Grajmy ostrożnie.

Tu Hiszpan zacierał ręce z miną tryumfującą.

— *Vaya! vaya!* powtarzał. Oddawna oczekiwałem tej chwili. Sędzia Peters będzie więc miał za swoje! Pan będziesz powodem wymierzenia sprawiedliwości, i zajdą tu rzeczy, które Pana zabawią. Mam mały dług do zapłacenia temu łotrowi, i cieszę się z tej egzekucyi, w której i Pan będziesz miał udział. Będzie to śliczny taniec, zobaczysz! Ah, łotry! nie stracą nic na tém że czekali! *vaya! vaya!* śpieszmy!

Człowiek ten zdawał mi się tak dzielnym, tak dowcipnym i szczerym, że nie wątpiłem ani na chwilę o prawdzie tego co mi mówił. Zostawiłem więc całą moją ruchomość w jego rę-

kach i usłuchałem go we wszystkim punktualnie. Jakoż zastałem go na miejscu schadzki, w towarzystwie przewodnika metysa, syna dziękowego Komansza i kobiety hiszpanki.

— Oto twój przewodnik, powiedział mi, wędźmy do tej gęstwiny gdzie Teksyjczycy nie śmieją przedrzeć się, ponieważ sądzą że tu zawsze przybywają jaguary bardzo zamiłowane w ciele ludzkim kiedy są głodne. Szczęściem jesteśmy w porze roku kiedy te zwierzęta znajdują inny żer aniżeli człowieka. Idź więc Pan za mną. Postępujemy bez obawy po tej drodze, a strzeż się żeby nie wpaść w małe jeziorko po prawej stronie, które jest przepełnione *alligatorami*.

Łódź, ukryta w gęstwinie sitowia, przewiozła nas na drugą stronę, i trzymając się ścieżki utorowanej przez Indyan, uszliśmy pieszo około mili; po czém na odgłos piszczałki naszego gospodarza, któremu odpowiedział inny oddalony odgłos piszczałki, zobaczyliśmy przybywającą straż naszą, w towarzystwie dwóch psów ogromnych, prawie tak wysokiego wzrostu jak małe konie korsykańskie, któreby wystarczyły do zmagania do ucieczki całe wojsko generała-sędziego Petersa. Te dwoje zwierząt pełzając

zaczęły lizać ręce metysa, a nasz gospodarz ściskając mię za rękę; rzekł:

— Nadeszła chwila rozstania się naszego. Ten dzielny chłopak zaprowadzi Pana do mojego synowca don Ramona de Vigueyra, a tam zobaczysz szczególniejsze tragedye, upewniam cię; albo może i komedye trochę niezwyuczajne które się odegrają u niego dla Pańskiej i mojej rozrywki. Synowiec mój równie pragnie przybycia generała Peters, i sądzę że będziecie mieli do wytrzymania obłęzenie prawidłowe. Powiedz mu Pan tylko żeby nie zapomniął przedstawić cię *markizowi* i *księżnie*; to są znakomite i szanowne osoby. Księżna jest zalotna, markiz dobrze tańczy; zobaczysz. Sądzę także że i generał będzie zadowolony.

I zacierał sobie ręce ze zwykłą radośną miną.

— Co to za księżna? spytałem go.

— Sliczne stworzenie i najlepszego tonu! *Salada!* senor, *salada!* Tyle ci tylko powiem. Straszliwa to amazonka; chciałbym ją widzieć walczącą z twoim sędzią. Ruszaj z Bogiem, senor, i życzę szczęścia!

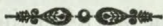
Scisnął mię za rękę mówiąc te słowa, których dobrze nie rozumiałem. Podziękowałem mu, i udaliśmy się w drogę.

Metys szedł pieszo, dwa psy podskakiwały przy nim. Kiedyśmy przechodzili około kłębów drzew dość zgęszczonych:

»*Anda, perro!*« skrzyknął, i dwa psy rzuciły się w silnych podskokach w różne strony. W kilka chwil, dzikie rzenie rozległo się w głębi krzaków, i wkrótce zobaczyliśmy zwierze nadzwyczajne, z grzywą rozrzuconą w nieładzie, przedzierające się przez gęstwinę zarośli i zatrzymujące się na środku drogi. Był to koń dziki albo *mastings* którego te dwa psy osoczyły, wypędziły, i zmusiły do wyjścia z kryjówki. Metys wskoczył nań a uchwyciwszy się za grzywę, zmusił go do prędkiego galopu, gdy tymczasem psy galopowały tuż obok niego. Z trudnością mogliśmy go dopędzić. Nakoniec po takiej podróży co tchu stało, i po wyprawieniu tak szalonych wyścigów (*steeple-chase*) prawie we dwie godziny, postrzegliśmy przy świetle księżyca, w małej trzebieży lasu, dóm kwadratowy, skromnych wymiarów, o jednem piętrze, ale daleko gruntowniej zbudowany aniżeli większa część zabudowań w tych okolicach. Drzwi były żelazne, a okienice okute blachą na zewnątrz broniły okien.

— Dobrze, dobrze, zawołał głos człowieka

w średnim wieku, który otworzył jedną okienicę, z latarnią w ręku. Uprzedzony jestem o waszém przybyciu. *Księżna i markiz* oczekują was, i zobaczymy śliczną zabawkę.



IV.

Przygoda w Texas. — obleżenie domu w lesie. — Don Ramon de Vigueyra. — Markiz i księżna. — Śmierć sędziego Petersa.

Saint-Louis, 27 Sierpnia 1849.

Zabawne okoliczności o których wyżej mówiłem, zakończyły się w sposób tak smutny i tak nadzwyczajny, że potrzebuję zupełnej wiary w słowa moje i w moją szczerłość, abym śmiał dalej ciągnąć opowiadanie które zacząłem. *Ła-two zmyślać temu kto zdaleka przybywa*, mówi przysłowie. Ci przynajmniej, co znają dalekie kraje które ja zwiedziłem, nie zadziwią się okrótnymi szczegółami które przytoczę, bez wszelkich upiększeń i dodatków.

Około dziesiątej godziny wieczorem przybyliśmy z przewodnikiem moim metysem pędzą-

cym na *mastingu* do odosobnionego domu don Ramona, synowca oberżysty z Nacogdochès. Murzynka otworzyła nam drzwi; drzwi te żelazne skrzypiały na zawiasach nader żałośnym głosem, który się zdawał nam zapowiadać dziwaczne wydarzenia jakich mieliśmy być świadkami. *Mastingo* wypuszczony na wolność przez metysa, rżąc, z nozdrzami zaognionemi, z niepowstrzymanym pędem i szaloną radością odzyskiwał swą niezależność, której na chwilę był pozbawiony. Co do mojego konia który był czystej krwi, jak to mówiłem, i który tak szlachetnie podobał szalonemu biegowi *mastinga*, ten pozostał przy drzwiach wchodowych mocno zziębnięty i zdyszany. Murzynka podawszy nam światło, wzięła go za cugle, i oprowadziwszy na około domu, zaprowadziła potem do stajni malutkiej przybudowanej do samego domu.

— Doglądaj go pilnie, powiedziałem do murzynki.

— O, nie lękaj się pan, my wiemy co do nas należy; koniom tu bardzo dobrze, odpowiedział jakiś człowiek ukazujący się w oknie, który postawiwszy latarnię, wprowadził nas do małej izdebki kwadratowej dość nędznej powierzchowności, wybitej matami bardzo pięknej roboty,

podobnemi do tych, które Peruwianie i Meksykanie tką zwykle. Starożytna mandolina, kształtu hiszpańskiego, wisiała na murze; tu zauważyłem także sieci, wędkę rybackie, zbiór biczów i batogów, pistoletów, strzał, ułożonych z wielką sztuką, *arkan* ogromnego rozmiaru, i kilka cugli i lejców rozmaitych kształtów. Metys zostawił nas, a sam poszedł opatrzyć konia; kiedy zaś zamykał drzwi, a ja na zaproszenie gospodarza usiadłem na macie w rogu pokoju, rzekł mu ten ostatni:

— Idź, uprzedź *Venus* że potrzebuję *Jowisza*.

Venus, była to murzynka, a *Jowisz* przedstawił się wkrótce pod postacią człowieka najogromniejszego jakiego kiedykolwiek widziałem. Przeciw zwyczajowi Afrykańskiemu, włosy jego nie były kędzierzawe, a chociaż nos był zupełnie płaski, i usta bardzo obwisłe, linia prosta którą opisywała twarz jego od wysokości czoła do końca podbrodka, uczyniłaby zaszczyt kątowi twarzy najpojętniejszej rasy kaukazkiej.

— *Jowiszu*, czyś zadowolony? jak się tam mają wszyscy twoi? zapytał go *Ramon*. *Księżna* czy w dobrym stanie? *markiz* czy w dobrym humorze?

— W bardzo dobrym.

— Czy już po wieczerzy?

— Nie jeszcze.

— Daj cóśkolwiek; ale nie psuj ich tego wieczora, Jowiszu; przygotowuję dla nich inną ucztę; niech zamkną dobrze stajnię; drzwi od ogrodu warzywnego niech też będą zamknięte i niech je pilnują: będziemy mieli popłoch téj nocy. Czy powiedziałaś Johnowi i Pepito aby zrobili zasadzkę?

— Są oni obaj na swoim stanowisku, odpowiedział Jowisz, którego tłuste wargi ożywiły się uśmiechem pojętnym i prawie żartobliwym. Mamy więc bal tego wieczora?

— Tak się zdaje. A czy wszystko dobrze zamknięte?

— Djabeł by nie wszedł do domu, i wszystkie kule tych łotrów nie napoczną ani jednej okiennicy ani jednej ściany naszej.

— A więc, mój chłopcze! miej ucho na straży i uważaj na gwizdnięcie Pepita. Niech ci hultaje nie zejdą nas niespodzianie.

— Jeśli się nam wymkną, odpowiedział Jowisz trzymając drzwi przemknięte, łotry te będą bardzo zrzęzni.

— Gdzie jest markiz?

— Na małym dziedzińcu.

— Bardzo dobrze.

Jowisz zamknął drzwi.

Don Ramon di Vigueyra, któremu się przy-
patrywałem do woli, kiedy nalewał mi wybor-
ne wino Maderę, zawarte w butelce oplecionej
łozą, nie podobny był w niczem do swojego
stryja, żartobliwego oberżysty, który mi usłu-
żył tak grzecznie za przewodnika. Byłto czło-
wiek około czterdziestu lat, blady, z okiem
czarnem łagodnym i smutnym, którego zwykła
melancholia zdawała się być pomieszaną z czemś
dzikiem a nawet drapieżnym; nos cienki i pro-
sty, brwi delikatne i nakreślające linią niezwy-
czajnie prostą i cienką nad powiekami, małe
wąsy zaostrome na końcu, uzupełniały tę fizyo-
nomię surową, dzielną, niepospolitą i namię-
tną pomimo pozorniej spokojności, — któraby
pewnie nie oszpeciła dworu Karola V, ani Fili-
pa II. Usta szczupłe i zmarszczki na czole
zdradzały wytrwałe postanowienie umysłu sta-
łego i wyraz niezatarty duszy, która długo za-
chowuje pamięć i krzywdy i dobrodziejstwa.
Po pierwszych słowach grzeczności i dowiedze-
niu się o zdrowiu stryja, rzekł mi:

— Zyjemy tu jak wilki, mości *caballero*.

— Niemam żony; nigdy nie byłem żonaty, i nigdy nie będę się żenił. Widzisz tam w górze, dodał pokazując mi narzędzia myśliwskie i rybne zawieszane na ścianie, wszystkie zabawy moje i wszystkie zatrudnienia. Wyjawszy Jowisza, Venus, Pepita, John'a, *markiza* i *księżnę*, nie widzę prawie nikogo przez rok cały, jak tylko dzikie zwierzęta; a według praw assymilacyi o których mówią wasi filozofowie, powinienem stać się dzikiem zwierzęciem żyjąc tu od lat sześciu. Jesteś Francuz, mówił dalej, i zapewne nie lękasz się byle czego.

Za odpowiedź uśmiechnąłem się tylko.

— A więc, przygotuj się! Nerwy trochę silniejsze będą potrzebne tej nocy.

Kiedy to mówił, usłyszałem wrzaski pomieszane, które przeze drzwi i korytarze doszły aż do nas. Były to jakby głucho wycia, skomlenia, jęczenia, i stapania szczególniejsze.

— Miejsce gdzie jesteś, i gdzie proszę abyś się uważał za bardzo pożądanego gościa, senor, rzekł mi, nie pozwala mi ugościć cię rozrywkami wymyślnemi; i jeśli gościnność moja jest trochę barbarzyńska, jak te okolice, nie dziw się temu. Jesteśmy, jak widzisz, daleko, od towarzystw oświeconych.

— Jednakże, powiedziałem mu uśmiechając się, senor don Ramon, zdaje mi się żem sły-
szał mówiących o *markizie* i o ładnej *księżnej*;
to więc są twoi goście, jak widać?

— Zapewne. Czy chcesz widzieć *markiza*?
Księżna teraz u stołu, zobaczemy ją później.

— Bardzo chętnie.

Gospodarz mój wziął świecznik ze stołu, i poszliśmy obaj na korytarz znajdujący się na przeciw drzwi wchodowych; z tego przeszliśmy do pewnego rodzaju dziedzińca wewnętrznego kwadratowego, na którym lampa Ramona wydawała niepewne tylko światło. Zaledwośmy próg przestąpili, kiedy ogromne zwierze, przebiegłszy cały dziedziniec z ociężałą szybkością, oparło dwie łapy przednie na ramionach don Ramona; był to niedźwiedź.

Koło niego skakały dwa psy z naszej straży, te dwa psy o których mówiłem, harcowały z radości, kasał go za uszy i swawoląc z nim na różny sposób, a wyborny markiz ani się za to gniewał ani niecierpliwił.

— To markiz, powiedział mi don Ramon, dając swemu niedźwiedziowi niewiem jakieś przysmaczki, któremi jego kieszenie były napełnione i z których zwierzę natychmiast skorzystało.

— Bardzo jest dobrze wychowany, jak widzisz, trochę tylko łakomy.

W téjże chwili tuzin psów téjże rassy straszliwej, z którą kiedyś polowano na Indyan, rzuciło się z głębi dziedzińca z przeraźliwém szczełaniem, które mię nieprzyjemnie uderzyło domagając się od gospodarza udziału w jego wzglęдах, których on im też nie odmówił.

— Mój dóm, to menażerja, rzekł mi:— Oto są moi poddani, i zapewniam że są bardzo wierni.

Na znak i na głos pana, każdy z tych dzikich mieszkańców pobiegł nazad do swojego pomieszczenia, i wszystko do porządku wróciło. Przewodnik mój zamknął znowu drzwi od dziedzińca, i powróciliśmy do pokoju na dole.

— Senor, rzekł do mnie, w tych obrzydłych pustyniach niema lepszéj obrony jak takie zwierzęta. Z taką przyboczną strażą nie lękam się ani Indyan, którzy podkładają ogień pod domy nasze, ani rozbojników texyjskich, którzy bezustannie nas rabują, obdzierają, i wyrzynają. Nauczyłem się od mojego murzyna Jowisza i od Indyan Lepanów, którzy tę sztukę posunęli do wysokiego stopnia doskonałości, sposobów nieznaných w Europie poskramiania i przyswa-

jania tych zwierząt. Sławny Carter i Van-Am-burgh, którzy tyle hałasu u was narobili, i pobierali tak znaczne daniny za gapiowatą ciekawość waszych wielkich miast, nie w innéj byli szkole. A jeszcze to są dzieci w téj sztuce, obok naszych dzikich i tego wielkiego Jowisza, którego tylko co widziałeś. Prawda, że trzeba bardzo wczesnie dostawać te zwierzęta, i wychować je samemu, aby być pewnym ich posłuszeństwa. Co do mnie, już doprowadziłem je do tego stopnia że się zadziwisz kiedy zobaczysz dowody; to mi pozwala żyć tutaj otoczonym rozbojnikami i niebezpieczeństwami wszelkiego rodzaju, nie lękając się nikogo. Ale, czy nie chcesz jeść wieczerzy? oto ucza dość skromna oczekuje na tym małym stoliku. Na wojnie, wiadomo jak na wojnie, nieprawdaż?

Uczyniłem zaszczyt wieczerzy, która była wyborna, a don Ramon zaczął mówić:

— *Bien ha dicho mi tio; hombre prevenido vale dos.* Mój stryj ma słuszość; człowiek ostrzeżony wart dwóch. A ja jestem ostrzeżony. Dobry ten stryj! Jak to on wszystko dobrze urządza! Ze swoją miną dobroduszną, jest to głowa! Będziemy mieli, bądź tego pewnym, odwiedziny tego podłego łotra, sędziego Peters.

Vaya, vaya, jak mówi stryj mój: niech przybywa, złoczyńca, oto wszystko czego proszę u *sanctissima madre de Dios!*

Oko jego się zaiskrzyło; po chwili zaczął z większą spokojnością:

— Bez wątpienia, stryj mój który ma oddawna z nim rachunek do załatwienia, również jak i ja, uwiadomił go od niechcenia o drodze, którą się udałeś i o przytułku, który tu znajdujesz. On się niespodziewa aby dawny dług był spłacony. Nie zna załogi która mu gotuje dobre przyjęcie. Ah! *calla! hombre!*.. Czy nie chcesz tych oliwek, *caballero!* są to *sevillany*. Ale słyszę Jowisza który ci przyprowadza markiza. Uczynisz gościńca temu markizowi z kawałka oto chleba, na który on jest bardzo łakomy; i będziecie w wielkiej przyjaźni! W samej rzeczy towarzysz naszej uczyty czworonożny wszedł poprzedzony przez Jowisza, stanął ociężale przedemną na dwóch tylnych łapach, i powitał mię grzecznie.

— Cóż mówisz o jego dworskości? Niema mieszkańca w Texas który by wart go był. *Senor marquese*, mówił dalej, twoja piękna tam cię oczekuje. Idź otwórz drzwi, będzie jeszcze dobra porcja chleba i dla ciebie.

Zwierze pchnęło bardzo zręcznie rygiel, lewą łapą, i natychmiast jakaś masa czarna, podskakując jak na sprężynach, przebyła całą przestrzeń która oddzielała drzwi otwarte od ściany przeciwległej i przeskoczyła przez stół przy którym siedzieliśmy. Był to piękny jaguar samica, która zaczęła wyciągać swoje członki tak jak koty kiedy chcą przekonać się czy posiadają jeszcze całą swą giętką sprężystość im właściwą. Jaguar położył dwie łapy axamitne na stole, i wlepiwszy swe wielkie błyszczące oczy w pana, z najspokojniejszą miną w świecie, czekał cierpliwie pieścot do których był przyzwyczajony.

— Mam zaszczyt przedstawić ci *księżnę* która nie jest bez wdzięków, jak to widzisz, i której warto abyś choć trochę pochlebił; to się zawsze tej płci podoba. Uczyniłem to co mi don Ramon polecił; i kiedy pogładziłem ręką po błyszczącej sukni tego pięknego i straszliwego zwierzęcia, jaguar, jednym rzutem, umieścił się na mych kolanach, z minami najfiluterniejszemi w świecie, wówczas kiedy jego towarzysz, trochę zazdrośny, upominał się od pana łask i pieścot zwyczajnych.

— Dobrze! rzekł Don Ramon, umiesz wiaść

się do rzeczy, i księżna zupełnie jest podbita.

Kiedy kończył te słowa, psy zaczęły ogromnie ujadać zewnątrz, i Jowisz wprowadził natychmiast jedno z tych zwierząt zdyszane i zaledwo mogące się utrzymać. Miał na szyi małą skrzynkę cynową którą don Ramon otworzył, a która zawierała depeszę przysłaną od jego stryja. Straszliwy Peters i trzydziestu bandytów rzuciło się naszym śladem, i wkrótce ich zobaczymy. Don Ramon, na którego delikatnych ustach widziałem malujący się uśmiech który mi się wydawał trochę szatańskim, zanurzył w szklance *wiskey* kawał flaneli którą mu podał Jowisz, i wytarł nią całe ciało psa posłańca który nie tracąc czasu odbył tę drogę w przeciągu mniej niż godziny.

— Widzisz, rzekł do mnie, że jestem dobrym królem dla moich poddanych, i że wiadomo jest mi prawie wszystko czego im potrzeba. Będę ich potrzebował téj nocy. Jowiszu, pilnuj markiza, ja będę miał staranie o senorze; uważaj na uderzenie piszczałki; a ciebie senorze (rzekł do mnie dając światło) zaprowadzę, jeśli pozwolisz, do twego mieszkania na pierwszym i jedyném piętrze domu mojego albo mojej for-

tecy, jak chcesz. Okiennica przedziurawiona jest małą strzelnicą, skąd możesz widzieć wszystko, jeśli to cię zabawi; ale nie odmykaj jój, kule tych łotrów nie będą cię szanować więcej niż nas. Oto, aby ci pomódz do zabicia czasu, paczek bardzo dobrych *Havanna. Buenas noches!*

Pokój, do któregośmy weszli, bardzo ładnie umebrowany, zawierał stary szpinet (rodzaj klawikordu) hiszpański z wieku XVII i małą bibliotekę, pełną wybornych książek hiszpańskich, świadczących o odznaczającym się wychowaniu i dobrym smaku ich właściciela. Zaledwo postawił on lichtarz na małym stolyczku hebanowym inkrustowanym z XVI wieku, dwa uderzenia w świstawkę przyleciały jedno za drugim z głębi lasu. Don Ramon zbladł i zdmuchnął natychmiast świecę. Twarz jego była zmarszczona, i tonem więcej ponurym i cichszym jak zwykle:

— Otóż oni, zawołał, gra wkrótce się rozpocznie.

I nie mówiąc mi ani słowa więcej, zamknął drzwi i zszedł nagle ze wschodów.

Ciemność była tak wielka, że zaledwie mógł dostrzedz okiem otworu będącego w okienicy; nareszcie po usilném poszukiwaniu zdołałem go

odkryć, i postrzegłem jak przez mgłę, oddział jeźdźców galopujących ku samotnemu domowi. Zatrzymali się o jaki dziesiątek kroków od zabudowań, a głos który poznałem że był sędziego Peters, zawołał:

— Hola, otwórzcie prędko władzom Texyjskim! Ramonie! obudź się! W imieniu prawa, ja cię wzywam, abys wydał nam szpiega, który się schronił u ciebie! Czyliż mię nie znasz, łotrze! Jestem Peters, generał Peters.

— Waleczny generale (odpowiedział Don Ramon głosem prawie unizonym przeze drzwi) doprawdy, niepodobna mi otworzyć. Las napęczniony jest wilkami i jaguarami. Nie chciałbym aby mię te zwierzęta pożarły, mój zacny przyjacielu! Ja i moi ludzie obeszlibyśmy się bez tego, a i pan także, generale! Czy słyszysz jak moje psy szczekają?

— Czy ty mnie masz za idiotę? odpowiedział generał; ja ci mówię otwórz, albo podłożę ogień pod twoją chałupę. Czy ty znasz Petersa? Wiesz kto ja jestem?

— Peters jest łotr, odpowiedział spokojnie don Ramon; jest to niegodziwiec, i jeżeli psy moje nie rozerwą go w kawałki, to ja go powieszę na tém oto drzewie własnymi rękami.

— Ah! To tak! baczność, towarzysze, strzelajcie do okien, ognia!

Tuzin kul uderzyło bezskutecznie o metal którym okienice były obite, i natychmiast upadek jakiegoś ciężkiego przedmiotu dał się słyszeć zewnątrz. Niepodobna dać wam wyobrażenia reszty téj sceny. Krzyki i złorzeczenia oblegających, rżenia straszliwe koni i przyspieszony galop tych którzy się wymykali, objawiały nam tylko szczegóły dziwnego drammatu który się odbywał, a którego okropność ukrywały przed nami głębokie cienie. Rzuciwszy się nagle z okna niedźwiedz i jaguar, wpadli na tych panów. Prawie równocześnie przez drzwi główne, które się otworzyły, puszczoną została na nich zgłodniała psiarnia don Ramona; straszliwi ci przeciwnicy ścigali po całym lesie, we wszystkich kierunkach, ludzi i konie. Walka przerażająca, albo raczej wytepienie, jakie tylko Salvator Rosa, Rubens, albo Caravaggio mogliby odmalować lub wyobrazić sobie, miały za widownię gęstwinę drzew odwiecznych, skąd dochodziły aż do nas w przerażającej mieszaniu krzyki konania bandytów rozszarpanych i dzikich zwierząt które ich rozdzierały na szczątki. Niepodobna nam było wiedzieć, czy

którykolwiek z żołnierzy potrafił ocalić sobie życie; ale dowiedzieliśmy się po jakimś czasie, że szlachetny generał Peters znikł zupełnie z Galveston i Honston, dwóch miast które się sprzecyzają o tytuł stolicy Texas.

Straszliwy ten dramat, w którym braliśmy tylko udział zdaleka i biernie, trwał najwięcej przez kwadrans. Zeszedłem, i zastałem don Ramona, z twarzą poważną i smutną, z okiem zaiskrzonym, jak dawał rozkazy aby skassowano ślady kul, i aby uprzątniono naokoło domu wszystkie ślady krwawej tragedyi, która przyznam się przejęła mnie dreszczem nieprzecięzonego przerażenia, i wrażeniem niewytłumaczonej trwogi. Don Ramon, który uważał dobrze co się we mnie działo, przybierając znowu minę poważną i melancholiczną, która tak przystaje ludziom jego rasy i jego narodu, rzekł mi:

— Poważam, senor, uczucia twoje i drażliwość twoją; odgaduję je z łatwością. To jest straszne, zgadzam się, ale sprawiedliwe. Bóg tak chciał. Oto sześć lat jak oczekuję na tę zemstę. Będziesz wiedział... będziesz wiedział... Widzisz, senor, to nie jest złodziej, któregośmy ukarali, to jest człowiek (dodał głosem cich-

szym) który zabił moją siostrę i spalił żywcem ojca mego, to on zabił całą rodzinę moją. Ci ustawiczni goście szynkowi zjedliby swego ojca za konewkę wina, albo za wygraną w karty. Tak, zemsta jest sprawiedliwa... dowiesz się później. Idźmy teraz na spoczynek, potrzebujemy go wszyscy. Jutro opowiem ci szczegóły straszliwego zdarzenia, w którym przed sześcią laty ten nędznik grał główną rolę, które pozbawiło mnie wszystkich moich, i które zmusiło mnie do zagrzebania mojej boleści w tej smutnej samotni, wśród dzikich zwierząt mniej nieprzyjaznych i mniej okrutnych od drapieżnych zwierząt wół oświeconych. Opowiem ci to jutro, przy śniadaniu. Jestto opowiadanie ciekawe, pełne wypadków nieznanych w Europie, o których podróżujący, którzy nie żyją w ścisłych stosunkach z tutejszemi pokoleniami i rodzinami, nie mogą ani wiedzieć ani ich rozumieć.

V.

Czarnoksiężnik z Hufeisen-Bucht.— Van Patten z Amsterdamu.— Drugi Robinson.— Obyczaje domowe Nowej-Szkocyi.— Jak żyją w Lunenbourg.

Saint-Louis, 10 Września 1849.

Widzę jak się zżymać będziecie odtąd przeciw excentryczności opowiadań moich. Macie słuszość. Pozory nie są za mną bynajmniej. Jeślibym wymyślił te zdarzenia, jeżeliby to nie były prawdziwe obrazy obyczajów, które możecie wyczytać, skoro się tylko wam podoba w *Picayune* dzienniku Nowego-Orleanu, w gazetach New-Yorku i Bostonu, równie jak i w podróżach Sharp'a, Halliburton'a, pani Trollope, i Mackay, mielibyście słuszość niecierpliwić się mojami melodrammatycznymi opisaniami. Ale wiecie, że niemam żadnej podobnej pretensyi. To po prostu sam ten świat, który tak jest stworzony. Te straszliwe sceny, których tyle przykładów przedstawiają wam dzienniki amerykańskie, ja ich ani ubarwiłem ani przesadziłem; rzeczy dziwne są tak często prawdzi-

wemi, a prawdopodobnie tak mało rzetelnemi! Niechże kto zaprobuje opisać jeśli można, co się teraz dzieje u Lapończyków, którzy tłumaczą Georges Sand'a, i u walecznego króla Honolulu, który nosi czerwone majtki i atłasowe trzewiki bez pończoch. Jestem więc tylko prostym opowiadaczem, i będę opuszczał, o ile można, co tylko jest romantycznego i malowniczego w następujących opowiadaniach. Wiecie że don Ramon de Vigueyra przyrzekł mi wytłumaczyć tę nocną wyprawę, w której sędzia Peters pozbawiony został życia, prawie tak jak męczennicy chrześcijańscy, pod zębem dzikich zwierząt. Dotrzymał słowa, i nazajutrz przy śniadaniu, pokazawszy mi swoją gospodarkę w najdrobniejszych szczegółach:

— Widziałeś na drugim dziedzińcu, rzekł mi, dwa piękne psy z Nowej-Ziemi, które kazałem zatrzymać wczoraj, kiedy wypuściłem moje wojsko na tych łotrów, co czyhali na naszą zgubę? Są to pyszne zwierzęta, użyteczne nadewszystko w wycieczkach moich myśliwskich i przy rybołostwie, a które ja utrzymuję z tém większą troskliwością, że pochodzą z samej Nowej-Ziemi i że mój ojciec je wychował. Mieszkał on z moją matką i dwóma sługami czar-

nemi, właśnie na drugim krańcu Ameryki, który się nazywa Nową Szkocyą, w kraju zapadłym dokąd go pchnęły okoliczności jego życia. Szczególniejsza to osada! bardzo biedna, mało znana, zaniedbana nadewszystko zupełnie przez rząd zwierzchniczy, a zamieszкана przez ludzi dzielnych, naszych współczesnych, a którzy jednak zdają się raczej należeć do wieku XV lub XVI. Jak mój ojciec przyszedł do tego że się tam osiedlił, byłoby to długo ci opowiadać, jak się zamierza żyć, a jak to życie obiega rzeczywiście?

Służył on jako oficer marynarki i bił się podczas wojny o niepodległość meksykańską. W epoce kiedy zaczynałem otwierać moje oczy dziecinne, był to człowiek około lat czterdziestu, młodszy aniżeli ja dziś jestem, cery daleko bielszej, z włosami prawie jasnemi, i zadziwiającej zręczności we wszystkich ćwiczeniach ciała. Posiadał kilka języków, i mnie się zdaje że zajmował jakąś znaczniejszą posadę między tymi śmiałymi korsarzami z czasów Napoleona, którzy osłonięni skałami otaczającemi wyspę Kuba i Filippiny, stali się panami, na złość Amerykanóm, zatoki Meksykańskiej i mórz sąsiednich. Skoro tylko dał się słyszeć odgłos wojny o niepodległość, porzucił rzemiosło kor-

sarskie, a ofiarował swoje ramię współbraciom. Przyjęto go, i jak zwykle, doznał niewdzięczności. Po ukończeniu wojny, ożenił się z córką konsula Duńskiego, Johanną Süwern, która obudziła w nim żywą namiętność. Nie mogę opisywać, nie chcąc być ani romansopisarzem ani poetą, szczególniejszej piękności matki mojej, która wkrótce stała się przedmiotem zabiegów tych oficerów i generałów Peruwiańskich, którzy walczyli między sobą o władzę. To dało powód mojemu ojcu do jednego czy dwóch pojedynków, z których wyszedł jak zwykle, z honorem dla siebie; ale zniechęcenie do tych karykatur republiki wkrótce go opanowało, i przepędziwszy czas jakiś w małej własności którą nabył w Tampico, gdzie miał zręczność widzieć i poznać tuziemców, spieniężył swój fundusz, i udał się do Stanów Zjednoczonych, a potem do Nowej Szkocji. Tam wypadek nastęrczył mu nabytek nader szacowny: tysiąc akrów gruntu żyznego, lasy, ziemie zdolne do uprawy, wody podostatkiem, zabudowania, wszystko to za sumę bardzo małą i częściami wypłacać się mającą. To miejsce zachwycające blisko rzeki Haive, nad brzegiem Atlantyku, dawało mu schronienie daleko bardziej malownicze aniżeli

to w którym daję ci dziś tak dziwną gościnność. Matka moja zwłaszcza życzyła tego kupna, pomimo tego że najdziwaczniejsze powieści krążyły po okolicy o tym miejscu gdzie nikt nie chciał zamieszkać. Tysiące fantastycznych opowiadań nadały Hufeisen-Bucht (zatoka podkowy) pewien rodzaj sławy mało pożądanę, która tak dalece od tego miejsca wszystkich odstręczyła, że nikt nie śmiał stąpić tam nogą. Kontrabandziści tylko i złodzieje mniej przesądni od innych, ukrywali swoje łupy w jaskiniach i załomach skał. Było to więc miejsce przekłete, ten rokoszny Hufeisen-Bucht zarosły jodłami, cedrami Amerykańskimi, modrzewiami i klonami, na łagodnej pochyłości, tworzącej nad brzegiem morza przestrzeń półkolistą, usianą cieniutkim piaskiem, błyszczącym mika, i zakończoną trawnikiem najpiękniejszej zieloności.

Ludność sąsiednia, pracowita i biedna, nadzwyczaj jest zabobonna. Są to szczątki kolonij wychodźców, Holenderskich i Niemieckich, przybyłych w rozmaitych czasach, którzy się pomieszali z ludnością francuzką i anglo-saxońską pierwszych osadników. Ich cichość, wytrwałość, stałe przywiązanie do tradycyi przodków, ich tryb życia przeniesiony przez nich z Hollan-

dyi do tych pustyń pierwotnych, ich ubiór starych Frisonów i Burmistrzów z Bredy, zachowany ze czcią religijną w tych osadach Nowej Szkocyi, dostarczyły miłych i wiernych obrazów romansopisarzowi ostatnich czasów, Washington'owi Irving, z którym nie myślę iść w zawody. Mają wprawdzie i ci ludzie pewien niewinny egoizm, który jakkolwiek nie zbyt wyrachowany za cnotę uchodzić nie może. Miasta są małe i w małej liczbie. Niemasz wsi, ani sioł, ani zaścianków; zaledwo kilka familij rozproszonych po kraju. Indywidualizm w całej mocy swojej i w najwyższej piękności panuje nad tą okolicą. Żadnych związków, żadnej wzajemnej zależności; każdy myśli o sobie, i na tém koniec. Niemasz tu najmniejszego otarcia się o rozum drugich; nikt się niczego nie lęka, ani się spodziewa; niczego się nie uczą, pozostają więc otoczeni skorupą swoją od kolebki aż do śmierci.

Ciekawém jest znaleźć obyczaje tak dzikie i tak starożytne w okolicach gdzie oświata jest tak świeżą. Halifax został zbudowany w 1749. W 1753, dwa tysiące Niemców i Hollendrów założyło i zamieszkało Lunenburg; większa połowa zginęła z głodu i nędzy; reszta tych

biedaków utrzymała się jak mogła i żyją dziś tam, tak, jak żyli około 1400 roku we Frankonii i w Grenindze. To co mam opowiedzieć, przedstawi kilka rysów szczególniejszego życia w tych samotniach, i usprawiedliwi zupełnie straszliwą exekucję téj nocy.

Pewne wydarzenia świeżo zaszły w Hufeisen-Bucht tłumaczą przestרח, jaki wywiera samo to imię na mieszkańcach Lunenburga. Ostatni dziedzic, Hollender z Amsterdamu, nazwiskiem Van-Putten, zginął tam krwawą śmiercią z całą rodziną swoją. Jak mój ojciec, tak i Van-Putten znalazł rokosznym widok mnóstwa małych wysp zieleniejących rozrzuconych przy ujściu rzeki, i jak on, pośpieszył stać się tanim kosztem królem téj zachwycającej osady; żona i dwie dorosłe córki udały się tam za nim. Z jakąż to dumą uważał się on za pana samowładnego Hufeisen-Bucht i przemienił to nazwisko nadto pospolite na daleko dźwięczniejsze Van-Putten-Schloss (zamek Van-Putten). Mówią że ten dobry Van-Putten był wyborny ze swoją powagą urzędową, i mieszkańcy Shelburn'a i Lunenburg'a zachowali w pamięci jego wielkie poły hollenderskie które były mu po nogach, owe błyszczące mosiężne guziki, jego

wspaniałe milczenie, jego nieskończone fajki, i nieskończoną rozkosz jakiej mu one dostarczały, ale nadewszystko wspominają ową katastrofę która obróciła w dym całe to szczęście, i zakończyła jego żywot.

To są właśnie szczegóły nad którymi się zastanawiam jedynie tylko dla tego aby zbić i zniszczyć w przekonaniu pańskim, jako ciekawego podróżującego, to niedorzeczne wyobrażenie, które wam zawsze przedstawia Amerykę, jako kraj jednorodny. Jest dwadzieścia Ameryk; można nie myląc się sądzić o tym kraju dwudziestą różnemi poglądami. »Mieszkańcy Stanów-Zjednoczonych posuwają (mówi Pani Trollope) swoją niegrzeczność do najwyższego stopnia,» i ma słuszność. »Ich grzeczność dla kobiet (mówi P. Forster w swojej świeżej podróży) stawia ich wyżej nad najoświecześnie narody Europy» i to prawda. W Bostonie, niewolno palić tytoniu na ulicach. W Nowym-Orleanie pozwalają sobie rzeczy daleko gorszych. Nasz Texas zaludniony jest sędziami nakształt Peters'a i generałami na wzór Mandrina; Nowa Szkocya, pozbawiona tych wielkich wypadków i tych sławnych zbójców, jest za to ojczyzną upiorów, mar i strachów. W kraju tym, obfi-

cie mglistym, jeśli się żyje w pokoju z istotami ludzkimi, nie ma pokoju od umarłych. Są tam ludzie trochę więcej ograniczeni ale nie przeto moralniejsi.

Wracam do Van-Putten'a który zamieszkiwał i gospodarzył w Hufeisen-Bucht przed moim ojcem. Było mu tam bardzo dobrze. To ustronie żyźne, bogate, spokojne, zachwycało jego hollenderskie serce. Puszczął on kłęby dymu z fajki których by mu pozazdrościli wszyscy Van Ostade w świecie, i jego cera rumiana rozkwitała widocznie. Pewien stary mieszkaniec opowiadał mi że ta duma i to upojenie dziedzica, pomieszane z jego nawykami germańskimi, uczyniły z niego szczególną figurę; nigdy nie odszedł od swojej żony, bez odania jej głębokiego ukłonu, z trzcina w ręku. W samotności godnej Robinsona, on przyswoił etykietę radcy dworu z Frankfurtu nad Menem. Znajdziesz jeszcze takich oryginałów, zwiedzając Halifax, Nową Ziemię i tę starą Akadyą, którą założyli wasi Normandowie. Skutkiem tych usposobień mocno feudalnych, tak dziwnie przeniesionych do głębi lasów, prowadził on za sobą podczas swoich rannych przechadzek, małego chłopaka folwarcznego który

niósł ogromny dzban z piwem, rzeźbiony niegdyś w Norymberdze. Ogromna ta przestrzeń ziemi, lasów, łąk, a nawet te bałwany morskie; które zdawało mu się że się stały jego niewolnikami, przynosiły mu nieopisaną rozkosz; której używał długiemi haustami, smakując powoli napój wywarzony z jego własnego zboża. Żadna rassa (niech o tém wiedzą niemieccy komuniści) nie jest tak zarażoną duchem własności, jak rassa teutońska; nasz dziedzic siadywał po całych dniach na *swoim* przyładku, ze *swoim* dzbanem w ręku, i spoglądając na *swój* widnokrąg z czułością, wtedy kiedy ptak drapieżny szybował nad jego głową, i kiedy tysiące błyszczących owadów rozsianych na czele lasów, wskazywały mu obszar jego państwa.

Wszakże jednego wieczora, kiedy zatopiony w rozważaniu téj powagi dziedzictwa, nie postrzegł że słońce zaszło już za fale; zdawało mu się jakby szczyty różnych przyładków któremi wybrzeże było okolone ożywiły się widokiem nowym i niepojętym. Były to ognie czerwone, na których się rysowały cienie czarne prędko rospraszające się; światła te rozlewały się jakby jakie hasła fosforyczne, w jednostajnych przerwach.

— *Gut Gott!* co by to być mogło! zawołał. Zrazu sądził tak jak prawdziwy Niemiec, że to są czary. Byli to po prostu tubylcy z zatoki Miamis, którzy odwiedzali swoich zmarłych spoczywających na tych wybrzeżach. Byli wtenczas w pokoju z Anglią, i zagrzebali *Tomahawk* (maczugę) z wielkim uroczystym obrzędem. Ale to był pokój bardzo niepewny; pamiętali oni zawsze o wojnie wytepienia jaką przeciw nim prowadzono, i że Anglia dla wstrzymania ich łupieztwa lepszemu nie mogła, wynaleść sposobu, jak nałożyć cenę na ich głowy: trzydzieści funtów szterlingów za dzikiego żywcem wziętego, a dwadzieścia pięć funtów za czuprynę wojownika: wyborny sposób, jak widzisz, zjednania sobie przyjaciół. Wreszcie wasi Francuzi wytłómaczyli im że Anglicy, Niemcy i Hollendrzy, są to najpewniej żydzi ci sami co ukrzyżowali Zbawiciela. Tacy byli ci straszni sąsiedzi, którzy w przerwach peryodycznych przybywali oddać cześć zwłokom swoich przodków, i zwiedzić przylądki gdzie spoczywają dziś jeszcze popioły ich plemion.

Cienie tańczące i latające które postrzegł nasz Hollender, spełniały właśnie tę żałobną powinność; natchnęły go one pewnym powątpie-

waniem o użytku i przyjemności podobnego sąsiedztwa. Rozum jego nie był nader bystry, ale miał dobre serce. Zapalił on na tém właśnie miejscu na którém stał, ogień, jako odpowiedź na hasła dzikich, którzy nie zaniedbali wydać szalonych okrzyków aby zawdzięczyć jego wezwanie, a nazajutrz oddali mu w Hu-feisen-Bucht uroczyste odwiedziny. *Sachem*, przewodniczący deputacyi, był to poważny starzec, z białą brodą i długimi włosami związanymi w węzeł na wierzchu głowy. Zaczął on taniec zbrojny, poczem nastąpiła piękna mowa, której Hollender wcale nie rozumiał. Van-Putten odpowiedział mu niemniej piękną przemową w narzeczu *platt-deutsch*, która trwała godzinę, i której *Sachem* również nie rozumiał, słuchał także z powagą. Najjaśniejszem z téj sprawy było to, że w ręku Van-Putten'a zabłysnął ogromny pistolet olstrowy, sposobem dość groźnym i że tomahawk *Sachema* opisał także kilka kręgów nad głową Hollendra. Pozdrowiono się ceremonialnie, i na tém się wszystko skończyło.

Było to nieszczęście że Van-Putten nie rozumiał mowy tych dzikich plemion północnych. Dowiedziałby się bowiem, że *Sachem* swoją

mową tańczącą i wypowiedaną, zobowiązywał go nadewszystko aby świętokradzko nie nadwężył spokoju kości ich przodków. Wiedziałyby że część tych drogich szczątków spoczywała na jego nawet ziemi pod cieniem pewnych drzew rozłożystych które Sachem wskazywał mu palcem, ale Van-Putten nie wiedział, co on chciał przez to powiedzieć.

Ten ostatni, dla pomnożenia majątku, prowadził dość znaczny handel drzewem opałowem handel łatwy z powodu nadzwyczajnej obfitości lasów sąsiednich, i bardzo korzystny z przyczyny taniości kosztów przewozowych. Van-Putten zbudował na ten cel statek i kierował nim bardzo zręcznie. Na nieszczęście, w kilka tygodni później, wpadł na myśl wyciąć drzewa poświęcone, i zaraz nazajutrz, wracając z swojej wielkiej przechadzki, zastał drzewa swoje spalone, plantacye zniszczone, żonę i dwie córki zamordowane; dóm tylko jeden poszanowano, ponieważ zbudowany był przez Francuzów sprzymierzonych Miamisów.

Van-Putten stracił głowę: i zapewne było czego. Biedak powiesił się. Przez dziesięć lat Miamisy byli panami swoich cmentarzy, a łososie i pstrągi, daniele, niedźwiedzie, lisy i wil-

ki rozmnażały się jak najswobodniej w wodach i lasach, których rybaki i strzelce nie śmieli zwiedzać. Mieszkańcy folwarków i okolic sąsiednich byli tak przerażeni, że szkielet wisielca miotał się zawieszony u serca wielkiego dzwona, które ten nieszczęśliwy wybrał sobie na własną exekucyą, a nikt go nie odważył się zdjąć nawet. Indyjanie nic nie zrabowali. Kontrabandziści amerykańscy, a między innymi ten zbrodniarz Peters, złupili dóm. Nie mogli znaleźć miejsca bardziej odpowiedniego dla swego handlu nad tę małą zatokę, do której nie można było inaczej przeniknąć, jak tylko przeciskając się pod gęstymi liściastymi drzewami, zasłaniającemi przystęp kręty i ciemny przez który się przybywało do urwistego nadbrzeża, wprost na przeciw samego domu.

Ojciec mój nie uląkł się ani rozbojników ani upiorów, a jeszcze mniej dzikich, których znał język i obyczaje. Straszna reputacya Hufejsen-Bucht'u zdawała mu się wyborną rękojmią przeciw *trapperóm* i łotróm okolicznym. Następnie pośpieszył z wyrobieniem sobie przywileju na tę własność, i zrobił z tego domu i posiadłości, ustronie najroskoszniejsze w świecie. Szczegółność mojego umeblowania dziwiły cię bez wąt-

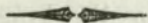
pienia, lecz to jest niczém w porównaniu z dziwaczniemi sprzecznościami domu mojego ojca. Był to pałacyk o dwóch piętrach, który koloniści francuzcy wybudowali w kształcie litery T.; ramię dłuższe tworzyło salę podłużną, salę jadalną i bawialną; a linia równoległa tworzyła drugą część mieszkania przeznaczoną na kuchnię, stajnie i inne potrzeby gospodarskie. Mały przysionek wiejski umieszczony na przodzie w bardzo dobrym guście, przedstawiał przekreślenie niższe litery T. i prowadził do wielkiej sali o trzech oknach wychodzących na południe. Imię Stefana Latour było wyryte na stole kamiennym, naprzeciw przysionka. On to pierwszy otrzymał od króla Francuzkiego przywilój na te 1,000 akrów żyźnej ziemi po obu stronach rzeki Haive. Nikt nie napastował nas w tém schronieniu. Mieszkańcy Lunenburg'a i Shelburn'a mało mają pociągu do zaborców; a ojciec mój przedstawił się im pod tą postacią.

Przyjemność jego układu, i grzeczna jakaś powaga które się łączyły z ujmującym wdziękiem téj postaci, powiększyły jeszcze uczucia nieufności którém i ich natchnął. Poczciwi dzierżawcy i drwale z okolic nie napotkali dotąd nikogo coby mu był podobny. Jego dublony hiszpań-

skie, nazywające się tam *spanish Joës*, które rozrzucił dość hojną ręką, przekonywały że nie potrzebował nikogo. Gdzie on je nabył? jak przyszedł do ich posiadania? nikt tego nie mógł powiedzieć. Jego sąsiedzi nie przestawali z nim. Przeciwnie zaś pokolenia indyjskie, o dziesięć mil na około, zachowywały najwyższy szacunek dla „ojca z zielonej zatoki” jak go nazywali. Mały statek który zbudował, żeglował wzdłuż niebezpiecznych brzegów tych okolic z szybkością i pewnością, której wszyscy się dziwili. Przepowiedzieć niepogodę zwiastować powrót pomysłnych wiatrów, ująć i zniewolić Indyan, stać się ich przyjacielem i prawie ich panem, wystarczyć sobie, i obejść się bez wszystkich, to były przymioty i zalety które zabobonni Teutonowie przypisywali chętnie tajemniczemu związkowi z niewidzialnymi mocami i kiedy wielki dzwon zawieszony przez Van-Putten'a na sklepieniu głównej sali dzwonił donośnie i przenikał swoim odległym drżeniem liście samotnych lasów, gotowi byli do uwierzenia że nowy właściciel Hufeisen-Bucht zwoływał swoich sprzymierzeńców, z niewidzialnego świata. Nie bardzo go lubiono; lękano się szczególnie, i szanowano wielce. Wiesz, dodał don Ramon ze smę-

tnym uśmiechem, że jeżeli ludzkość podnosi niekiedy to co lubi, szanuje daleko więcej to czego się lęka. Co zaś najwięcej się przyłożyło do przesądnych postrachów któremi Hufeisen-Bucht był otoczony, to obecność u nas dwóch istot różnej płci, niezwykłych w tych okolicach. Katon (było to imię mężczyzny, murzyna małego wzrostu, już starego, z białymi włosami, z długimi ramionami muskularnymi) ubierał się w kaftan zrobiony ze skóry konia morskiego, ściśnięty pasem czerwonym, na którym wisiała torba myśliwska futrzanna, i wielki nóż amerykański. Jego włosy kędzierzawe kręciły się w białych kosmykach nad głową hebanową, i spadały z tyłu i na czoło w małych kędziarach twardych podobnych de sopli lodu. Ogromne kolczyki mosiężne zdobiły jego uszy, a otwór dość szeroki, zrobiony w nozdrzach, przypominał że niegdyś trzeci kolczyk zajmował to miejsce. Talisman zawieszony na szyi i zielonawe pomalowanie ciała uzupełniały ten ubior okropny. Żaden Niemiec z Lunenburg'a nie chciał przemówić słowa do Katona ani do jego żony, matki mojej murzynki Venus, która nam posługuje przy śniadaniu. Naprózno mędracy i purytanie z Lunenburg'a mówili swoim

sąsiadom to co powtarzają codzień koloniści z Florydy, że ci Afrykanie są ludzie z pokolenia Kaina, skazani być czarnymi aby służyć za niewolników pokoleniom Sema i Jafeta. To tłumaczenie nikogo nie zaspakajało a co było rzeczą pewną to to, że nigdy nic takiego nie widziano w Schelm ani w Zutphen; a z tąd niezbite dowody że ojciec mój był czarnoksiężnikiem.



VI.

Koniec opowiadania don Ramona Vigueyra.— Kramarz zamordowany.— Odjazd.— Podróż po Stepach.— Komansze.— Saint-Louis.— Step spalony.— Stan teraźniejszy, ludność, przemysł i przyszłość Saint-Louis.

Saint-Louis, 20 Września 1849.

Don Ramon tak dalej mówił: »Młodość moja ubiegła spokojnie w odludnej pustyni o której wspomniałem. Żyłem tam bardzo szczęśliwy, i stałem się dość dobrym myśliwym, zręcznym

strzelcem, biegłym sternikiem w kierowaniu batem, umiałem zabić daniela a nawet niedźwiedzia, i oto wszystko. Było to najlepsze wychowanie jakie mogłem otrzymać w kraju gdzie miałem spędzać moje życie. Siostra moja Terresa rosła i stawała się piękną; nasi dobrzy przyjaciele dzicy przynosili nam od czasu do czasu ładne podarunki, i żyliśmy jak ów dobry ojciec Evander o którym mówi wasz Wirgiliusz. Przywilój dany memu ojcu mieszał plany *Smugglerów* dla których skały i jaskinie tego wybrzeża były oddawna wygodnym schronieniem. Peters był między nimi jednym z najmłodszych, najleniwszych, i najprzebieglejszych. Ten hultaj któremu moje psy myśliwskie dały dobry paszport na drogę do opuszczenia nas ostatecznie, nie nazywał się Peters; prawdziwe jego imie było Daniel Doyle. Godny syn Irlandczyka zesłanego do Botany-Bay za złodziejstwo, *burglary*, nie wiem jak przybył bardzo młody do New-Jorku, gdzie został aplikantem jednego prawnika, co go upoważniło widocznie do tytułowania się sędzią. Skończył na tém, że się znalazł w towarzystwie flibustyerów drugiego rzędu, którzy plondrowali granice Kanady i Maine, wyprzedając w jednym

miejscu co skradli w drugim, i starając się wprowadzać przemyca niem do osad angielskich towary zakazane. Przyzwyczaili się, od śmierci Van-Puttena, korzystać w swoich występnych wyprawach z licznych i wybornych środków, jakie im przedstawiała zatoka Hufeisen. Nam samym wypowiedzieć im wojnę, byłoby szaleństwem; Indyanie nam dopomogli. Chaty ich rozsypane w pobliżu naszej osady tworzyły około nas niejako wał obronny; skoro tylko małe szalupy *Smugglerów* pokazały się na horyzoncie, natychmiast słyszano krzyki dzikich rozlegające się wzdłuż brzegów, a rożek amerykański mego ojca im odpowiadał. Na odgłos tego rożka, którego dźwięki smutne i piskliwe dają się słyszeć w tak wielkich odległościach, widziano jak z pośród śniegu w głębokiej zimie, albo z gęszczarów drzew zieleniejących podczas lata, zjawiało się dwieście lub trzysta ludzi uzbrojonych, od którychby nie uszedł ani jeden z towarzyszków Petersa.

Zniknęli więc oni, i zostawili nas w pokoju; nie myślelibyśmy nawet o nich, gdyby ten Peters nie powracał od czasu do czasu polować na nasze jelenie i wycinać drzewa z naszego lasu. Szczególniejsza namiętność opanowała tego

hultaja: upodobał sobie moją siostrę Teresę, i próbował ją po prostu porwać przy pomocy dwóch zacnych towarzyszków. Przybiegliśmy z ojcem na krzyki, a murzyn Katon, o którym ci mówiłem, uraczył tego łotra tak dobrymi rękami bijąc go ułamaną zieloną gałęzią, że dziwić się wypadało jak istota ludzka coś podobnego wytrzymać mogła. Następnie rzucił go w morze, gdzie ten nurkiem z biedą wielką dobił się jakkolwiek do swego statku.

Po niejakiem czasie, ponieważ Katon i jego żona nie wystarczali na nasze usługi, staraliśmy się o jakiego młodego służącego im do pomocy.

Ojciec mój kazał się opytywać w Lunenburgu i w Shelburne. Nikt przysię nie chciał. Po dwóch miesiącach starań i poszukiwań, dostaliśmy nareszcie małego chłopaka, prawie idiotę, syna jakiegoś żołnierza angielskiego który się udał do Indyj Wschodnich. Wiele było trudności nim się odważył William, tak się lękał nas i naszych czarów; ponieważ był zupełnie przekonany żeśmy byli czarownikami. Nareszcie przybył zająć swoją posadę. Dwa czy trzy razy próbował uciekać, i wsiąść na którykolwiek ze statków które przybijały do brzegu. Nikt nie śmiał

przyjąć go na pokład, ani lekceważyć gniewu i zemsty czarnoksiężnika z Hufeisen-Bucht. Wszakże jednego poranku rzucił się wpław do rzeki Haive, przepłynął na drugi brzeg, pobiegł przez las, i nareszcie przybył do miasta. Zaledwie o nim dowiedzieliśmy się w piętnaście dni później. Zobaczyliśmy go wtedy gdy wylądował w małej zatoce Hufeisen, w towarzystwie kilku urzędników sprawiedliwości i trzydziestu żołnierzy. Chłopiec ten oskarżał o zabójstwo mego ojca, którego też zaaresztowano. Właśnie w przeddzień ucieczki Williama, jeden z tych kramników którzy przebiegają, sprzedając wstążki i płótno, wszystkie ścieżki opuszczone tych pustyni, przyszedł z oficerem morskim prosić o przytułek do mego ojca. Przepędził noc pod naszym dachem, a zrana udał się dalej. Od tego czasu już go nie widziano. Opowiadanie zaś Williama służące za podstawę oskarżenia było następane: »Ojciec mój wrócił z polowania, mówił on, trochę po ósmiej godzinie wieczorem; odesłano kramnika na spoczynek około godziny dziewiątej do pokoiku przyległego oborze. Oficer morski z moim ojcem pozostali w wielkiej sali, gdzie zajęci byli prawie aż do północy paleniem tytoniu i pi-

ciem, podczas kiedy William, siedział skulony przy kominie. Słyszał on, mówił dalej, jak opowiadali mnóstwo krwawych wydarzeń powieści korsarskich oblężeń i bitew, a mianowicie smutną śmierć Van-Puttena, uprzedniego właściciela domu naszego. Wszystko to przerażało go tak, że przepędził noc w marzeniach przerażających, które go zbudziły znowu gwałtownie. Około trzeciej godziny zrana, kiedy jeszcze drzemał, zawsze przy kominie rzucającym światło niepewne, oczy jego się otworzyły, i przez drzwi wchodowe przemknięte widział wyraźnie jak wychodziło dwóch ludzi unosząc trupa kramnika odznaczającego się atletyczną postawą. Nogi związane były sznurem; płaszcz okrywał barki i ramiona. Światło drżące wychodzące z ogniska oświecało skórę białą i włosy czarne długie kramnika, którego jednakże, dodał, nie mógł rozpoznać rysów twarzy. Był najpewniejszym że człowiek który trzymał za nogi zmarłego, był to mój ojciec; drugi, którego nigdy nie widział, miał ruchy i nosił ubior majtka. Oniemiały z przestachu, słyszał on śnieg skrzypiący pod nogami dwóch morderców i głuchy świst sań unoszących ich daleko od domu. Pozostał jak skamieniały na miejscu i

przyszedł do siebie dopiero, wtenczas kiedy jego pan, uderzając po ramieniu, obudził go zalecając mu dorzucić drzewa do ognia i poprosić oficera morskiego z jego pokoju.

Po jakimś czasie, murzyn i murzynka przyszli przygotować śniadanie. Ojciec mój i oficer pospieszali wyjechać na polowanie.” „Co się stało z naszym handlarzem od wczoraj wieczorem?” zapytał ostatni mojego ojca. „Odjechał bardzo rano, wtedy kiedy William spał jak leniwiec.” Kiedy dwaj myśliwi odeszli, William wyszedł też z domu znalazł ślady śnaka, szedł tym śladem wyciśniętym przez nie aż do brzegu morza; a tam, odcisk świeży ciała złożonego na śniegu, liczne stopy wydeptane, i szeroki otwór zrobiony toporem w lodzie, uderzyły jego oczy. Nie wątpił bynajmniej że ciało nieszczęśliwego zostało wrzucone w ten otwór.” Takie było oskarżenie zanesione przeciw ojcu mojemu, który był odprowadzony do Lunenburg’a pod dobrą strażą, i któremu tam towarzyszyłem. Proces nie był długi. Wszyscy ci waleczni dzierżawcy i drwale holenderscy i niemieccy znajdowali że to była właśnie wyborna zręczność do pomszczenia się nad hiszpańskim czarownikiem. Ten przesąd szalony, który prze-

mienił dóm patryarchalny ojca mojego na ja-
skinię czarowników był przyczyną że lud mia-
sta Lunenburg'a przyprowadzenie jego obcho-
dził jakby jaki tryumf dla siebie. Nienawiść i
i bojaźń którą żywiono ku niemu, zostały szcze-
gólniej rozjątrzone, kiedy ten hultaj, który się
kazał nazywać kapitanem Peters, dodał, że te-
goż samego rana kiedy zabójstwo to nastąpiło,
zajęty łowieniem łososia na sposób Indyjski,
przez otwór wyrąbany w lodzie, rozpoznał dwóch
zabójców. Porównywając teraz opowiadanie
William'a, sądził on że widział z brzegu dwóch
ludzi rzucających trupa w morze. Świadectwo
murzyna Katona czarownika takiego jak my,
za nic się liczyło. Sąd przysięgłych kiedy się
składa z ludzi nieoświeconych i uprzedzonych,
jest sądem najstraszniejszym. Ojciec mój, po-
mimo przychylnego sprawozdania sędziego, uzna-
ny został za *winnego* jednomyślnie; zaprowa-
dzono go do więzienia, nędznego odwachu zbu-
dowanego z jodeł. Podłoga była z drzewa, a
dach składał się z trzech czy czterech desek
dość zle spojonych, tak że się rozprysnął od
jednego uderzenia pięścią mego ojca. Ja wie-
działem to hasło, i kiedy on zeskakiwał z da-
chu na ziemię, ja wyróciłem szyldwacha, bie-

dnego dzierzawcę z okolicy, którego bagnet wbiłem w ziemię, a jego zostawiłem jak nieżywego zaplątanego i obwiniętego w fałdy jego płaszcza.

To się wydaje dziwném, nieprawdaż, żeby sprawiedliwość tak była wymierzana, a żeby jej wyroki tak mały miały skutek. Jakże chcieć aby inaczej było? Anglia mało się zajmuje oddaloną osadą nieprzynoszącą wielkich korzyści. Zostawuje ją na własną wolę. Nikt nie powątpiewał że czarownik użył swojej strasznej sztuki, aby uciec od oprawców; a kiedy mój ojciec starał się o schronienie u Indyan swoich przyjaciół, pobiegłem oznajmić o tém matce. Przechybiał biedny idiota Williama nie był pozabawiony prawdopodobnych pozorów. Pak futer skręcony w sposób przedstawiający mniej więcej kształt ciała, był tego poranku wyniesiony przez kapitana statku, któremu ojciec mój polecił dostawić go według przeznaczenia. Futra były przewrócone sierścią do środka, i upakowane w płaszcz którym ojciec mój po odniesieniu paku do barki, miał się otulić i dla tego przedstawiały pewne podobieństwo czarnej czupryny i skóry ludzkiej. Postępowano cicho aby nie obudzić oficera. Nareszcie otwór wyrażany w lodzie służył do pewnego rodzaju ry-

bołóstwa zimowego którego nauczyli nas przyjaciele nasi dzicy i które zawsze ma powodzenie ze skutkiem. Chłopiec ten, przełknięty tem co widział i wyobraził sobie, zaczął uciekać; potem napotkał w lesie Peters'a, któremu opowiedział ranne wydarzenie, i który go zniewolił przebyć rzekę i udać się do Lunenburga, aby podać doniesienie o tej zbrodni.

Co stało się z kramarzem. On się już więcej nie pokazał. Rzeczywiście było tak, że ten człowiek opuścił przededniem dom nasz, ukradłszy kubek srebrny, i że ten łotr Peters, spotkawszy go o dwie mile stamtąd, obdarłszy zamordował własną ręką. Trupa znaleziono pod śniegiem we dwa miesiące później.

Matka moja pozostała ze mną w domu. Skoro się tylko dowiedziałem od jednego Indyanina że kramarza znaleziono, pośpieszyłem do tego miejsca, które mi wskazał. Niestety! w chwili kiedyśmy przenosili zwłoki kramarza, widok naszego domu w płomieniach, uderzył oczy nasze. Peters na czele swojej bandy naszedł go, i zachwyił moją matkę i siostrę. Nie będę opowiadał strasznych scen które się tam odbyły, ani rozpustnych biesiad których się Peters dopuszczał. Po tych bezceństwach podłożyli

ogień pod dóm nasz, i wsiadłszy napowrót do swego statku, popłynęli ku Maine. Ostatni wystrzał pistoletu tych rozbojników zabił ojca mojego w moich oczach. Co do mnie, spieniężywszy wszystko co mogłem zebrać, uciekłem od tych obrzydłych pobrzeży, i przeszedłszy prawie na przeciwną stronę Ameryki, osiadłem w tém miejscu opuszczoném, gdzie sobie wybudowałem dom stryj mój, właściciel oberży w Nacogdoches. Ponieważ miałem przywilej na posiadanie Hufeisen-Bucht; ustąpiłem go *squatter'om*, którzy się zajmują jęj cywilizacyą to jest, że ją przeprowadzają przez próby tych smutnych ulepszeń od których zaczyna cywilizacya. Niema już wielkich dębów, niemasz przyjemnych ustroni, widzisz na wybrzeżu morza przestrzeń nagą, z jedną czy dwiema chatami, i oto wszystko. Hufeisen-Bucht już nie istnieje.

Od przyłączenia Texas do Stanów-Zjednoczonych i przybycia tych wszystkich samozwańców, sędziów-generałów i generałów-sędziów których już mogłeś zauważyć, stryj mój nie śmiał mieszkać tutaj; ale dla mnie tu była nadzieja, i ta się spełniła.

Niepodobna było, aby ten nędzny zbrodzień,

jak i wszyscy jemu podobni, nie mieli się schronić do Texas.

Peters został ukarany. Przyznasz zapewne, że pomsta moja była sprawiedliwa...”

Opowiadanie Don Ramona natchnęło mnie żądzą widzenia tego krańca osad angielskich, i pojechałem w kierunku północnym. Przedsiębiorcą wycieczkę przez pustynie, pod strażą metysa i murzyna Jowisza którego im dał don Ramon, miałem z sobą żywności na dni piętnaście. Nasze wydarzenia myśliwskie i obozowanie pod gołym niebem nie zajmowałyby was zgoła. Przebywaliśmy przez kraj piękny i dziki, przetrzymany licznymi wodami, które się rozciągają jakby szeroki wachlarz wśród trawników zachwycających świeżością i żyznością.

— Patrz pan tam, powiedział mi Jowisz trzeciego dnia zrana, po dwóch czy trzech godzinach drogi przez las!... Tam oto, blisko tego wielkiego dębu.

— Widzę pył, konie... wojsko!

— Są to Indyanie uzbrojeni jak na wojnę. Spostrzegli nas. Nie mamy nic innego do czynienia, jak ich oczekiwać albo iść na ich spotkanie.

— Naprzód! we wszystkich niebezpieczeństwach to najpewniej.

Kiedyśmy wypuścili konie nasze truchtem przeciwko nim, dwieście albo trzysta jeźdźców galopowało ku nam, w porządku bojowym, w kształcie regularnego półksiężyca. Spostrzegłszy że w prostej linii do nich dążymy, zatrzymali się. Uderzenie ostrogą przyśpieszyło bieg koni naszych, i w kilka chwil byliśmy wśród nich.

— *De donde vien usted hombre?* spytał w dobrym hiszpańskim języku stary naczelnik, który się posunął ku mnie.

— *Amigo*, powiedziałem naczelnikowi Komanszów, Europejczyk przybyły z Francyi.

— Co tu masz do czynienia? rzekł znowu naczelnik najlepszym akcentem hiszpańskim patrząc na mego towarzysza. Czyś sprzedał swoją ziemię, aby zabrać naszą? Metys, oswojony z obyczajami Komanszów, odpowiedział poważnie:

— Nie chcemy się osiedlać tutaj; brat mój jest podróżnym, który się udaje do Saint-Louis. Ja odwiedzałem stepy Saint-Louis przed piętnastą laty. Zostawiłem tam przyjaciół; kocha-

łem ich, tych Francuzów. Życzę sobie zobaczyć ich jeszcze przed śmiercią.

— Jakże się ci przyjaciele nazywają?

— Jeden nazywał się O’Gorman; on przyjmował mię niegdyś i dał mi chleba soli i wina.

— Poczciwy człowiek! zawołał Komansz, dobry wojownik O’Gorman. Ja go dobrze znałem. Dzięki jego pamięci, możecie przejść. Półksiężyc rozwarł się z wielką ceremonią, a my przeszliśmy. Pokolenia te, prawie nieznanne, są liczne, i jeśliby nie wojowały między sobą, stałyby się bardzo groźnemi. Kiedy kradzieże, zabójstwa, obławy Texeńczyków nużą ich nadto, cofają się ku pustyniom Arkansas i ku źródłom Missuri. Komanszowie Lepany, Karankroësy, Konzatty, Kajugasy, Kadoësy, Porini-Pikty unikają również zetknięcia, z tą śmiertelną cywilizacją, któraby ich pochłoneła i pożarła zamiast ich upłodnić, podnieść. Ale wierzcie mi, nie powiedzieli oni jeszcze ostatniego słowa; a słowa naczelnika Mormonów mogą się jeszcze kiedyś sprawdzić. Po ośmiu dniach podróży, weszliśmy w Stepę Saint-Louis. Błędem jest sądzić, że te objawy pierwotnych sił przyrodzenia znajdują się tylko nad brzegami Rio-Roxo lub Arkansas. Alabama, Mississipi, Lui-

ziana, i obszary najdziksze Indyan, Missouri, Illinois, Jowa, Kentucky i Tennessee, przedstawiają doskonale wzory tej szalonej wegetacji. Kilka bukietów drzew przerywały tylko jednostajną wspaniałość krajobrazu. Aż do granic widnokregu chwieje się olbrzymia masa koron kwiatowych purpurowych i żółtych, fioletowych i błękitnych, prawie wszystkie bez zapachu, ale lśniących i świetnych kolorów; rzekłbyś, że to są fale oceanu kwiatów. Wśród tych nadzwyczajnych wspaniałości postrzega się że czegoś braknie amerykańskiemu lądowi. Ptaki jaśniejące piórami pozbawione są głosu, a kwiaty pomalowane najżywszemi barwami bez zapachu. Postępowaliśmy wśród tych fal okrywających grzbiety koni naszych, kiedy przy zapadającym zmierzchu, postrzegliśmy jasność czerwonawą która się powiększała jak ruchoma kolumna i do nas przybliżała się. Step się palił, wypadek częsty w lecie i niebezpieczny dla podróżnych.

— Senor, powiedział mi Metys, zatrzymajmy się; trzeba tu coś przedsięwziąć; nie ruszaj się wcale.

Zlął z konia, którego oddał mi cugle, wydobyl nóż zakrzywiony w kształcie sierpca ze swój

torby, i zaczął wespół z Jowiszem, kosić wielkie trawy około nas, wtedy gdy pożar który się pokazał na końcu widnokregu biegł albo raczej galopował w kierunku przeciwnym gwałtownemu wiatrowi który dał na płomienie, i który zginając wysokie łodygi kwiatów i traw, dostarczał materiału zwiększającego działania pożaru; ta walka wiatru przeciw ognia, powiewając na ciemnym tle nieba snopami czerwonych iskier, wspaniała przedstawiała widok. Tnąc na prawo i na lewo, dwaj moi towarzysze wycięli nareszcie przestrzeń w kształcie półkola na kilka sążni średnicy, którego środek ja zajmowałem trzymając cugle koni drżących na wszystkich członkach. Ogień który się posuwał z szybkością nie do uwierzenia na całej przestrzeni którą mogliśmy odkryć, dosięgnął wkrótce krańców tego obwodu, i złączył się nareszcie rysując około nas zygzak błękitnawy a sam poszedł dalej swoją drogą z większą jeszcze wściekłością. Postępowaliśmy dalej po popiołach jeszcze gorących, oświeconych od czasu do czasu iskrami nieco przysutemi, które się podnosiły z pod stop naszych koni.

Około jedenastej godziny przybyliśmy zdrowi i cali do Saint-Louis, wielkiej forpoczty tej

amerykańskiej oświaty, która postępuje gwałtowniej nawet aniżeli pożar, którego tylko co uniknęliśmy. Oberża, z której piszę ten list do was, *Planter's hotel*, nie ustępuje przynajmniej najlepszym hotelom Paryżkim. Co do miasta, które codziennie wzrasta, jest ono jednym z najbardziej interesujących na tym obszernym przestworze.

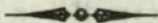
Jeśli spojrzycie na mapę Ameryki, przekonacie się że od jeziora *Wyższego* do Saint-Louis, i od Saint-Louis do Nowego Orleanu z jednej strony, a z drugiej od Washingtonu do Saint-Louis i od Saint-Louis do Sante-Fé, odległość jest prawie takąż sama. To miasto więc znajduje się w samym środku ogromnej przestrzeni, której wszystkie wielkie arterye stykają się właśnie w tym punkcie jaki ono zajmuje. Położone na zachodnim brzegu Mississipi, o dwadzieścia mil od miejsca gdzie Missouri do niego wpada, o dwadzieścia mil także od ujścia Ohio które wpada doń znowu ze strony wschodniej, łączy się ono z *Górami Skalistemi* przez pierwszą z tych rzek, z *Alleganami* przez drugą, z wielkiem zaś jeziorem Kanadyjskiem i z Oceanem, korytem górnem i dolnem Mississipi. Będzie to kiedyś największy skład towarów, jaki

kiedykolwiek był dotąd na kuli ziemskiej. W ostatnim roku, Saint-Louis liczyło w swoim porcie 1,500 parostatków, a postęp ciągle wzrastający wyraźnie daje się uczuwać. Ludność, która w 1830 wynosiła tylko 5,000 mieszkańców, liczyła ich 34,000 w 1846, a dziś już liczy 42,000 jest to powiększenie więcej niż ośmiokrotne nad pierwotną ilość.

Jeżeliby kiedy Waszyngton utracił swoje prawa jako główne siedlisko rządu Stanów Zjednoczonych, albo jeśliby, co nie jest dziś prawdopodobnem, dolina Mississipi odłączyła się od innych Stanów, Saint-Louis stałoby się bez wątpienia stolicą Związku zachodniego. Wszędzie około mnie rusza się i szumi przemysł czynny, przedsiębiorczy, niezmordowany. Wybrzeża napełnione są statkami wszelkiego rodzaju, a nadewszystko parostatkami, przychodzącymi z Ohio i z Illinois. Cały ten ruch i postawa mieszkańców zdradzająca zajęcie spekulacyami, są w wielkiej sprzeczności z posępną pięknnością krajobrazu i Konturnami gór zarosłych lasem. Miasto, całe prawie murowane, zstępuje w łagodnej pochyłości aż do brzegu morza, a główna linia prosta, która przewodniczyła wszystkim rozporządzeniom archite-

ktonicznym tego nowego świata, wywiera nadzwyczajne wrażenie wśród rozmaitych załomów dzikiego przyrodzenia, które je otacza. Przychodzisz ze stepu, stajesz w hotelu gdzie się znajdują najwyszukańsze wymysły cywilizacji, i znowu potem wracasz do życia leśnego i *trapper'skiego*.

Jutro jadę bardzo rano do Louisville; opowiem wam wkrótce nowe moje doświadczenia w tym szczególnym kraju, tym obszernym warstacie wszelkich doświadczeń.



VII.

Podróż po Ohio.— Osoby. — Typy. — Olbrzym Zachodni.— Niecywilizowany.— Pięciu zbiegów Francuzów.— Majtkowie ministrami.— Jak się rozszerza oświata

Louisville, 25 Września 1849.

Niedawno pisałem z Saint-Lonis; teraz jestem w Louisville: zawsze te stare francuzkie nazwiska!

Niestety, to jest wszystko co pozostało tu z Francyi; cóż tu robi Louis, Ludovic, Hludwig w tym kraju nowym, między Illinois, Kentucky i Tenesse. Jeśli przywodzi mi on na pamięć ojczyznę, przypomina również że Francuzi mieli także kiedyś królestwa w Ameryce a dziś nie mają tam ani piędzi ziemi.

Przybywszy do Saint-Louis, odesłałem don Ramonowi Jowisza i metysa, i wsiadłem znowu na parostatek, zbudowany témczasowie i nietrwały, jak wszystko co się tu robi; szybki przytém jak wiatr i płynący po rzece z gwałtownością kuli wypadłej z lufy karabinowej. Opuściwszy Saint-Louis, Mississipi którą Missuri jej hołdownik powiększa ogromną masą wód mętnych i błotnistych, unosi cię na pochyłość bardzo nagłą, i przyjmuje znowu drugi haracz niemniej ogromny, od rzeki Ohio. Ojciec Ren, którego Niemcy czczą jak rzekę największą w świecie jest niczem, w porównaniu z tym olbrzymim potokiem. Co mu nadaje szczególny charakter, to *bluffy* znajdujące się na jego brzegach, czyli pochyłości urwiste i przylądki już to cofające się, już występując naprzód, a tworzące kształty i postawy najrozmaitsze. Skały ostrokątowe piramidy zaokrąglone, spłasz-

czone, zniżające się ku środkowi, wyciosane z dziwactwem często rubaszném a które są uwieńczone lasami i wioskami. Podczas pięknej pogody, atmosfera amerykańska jest niewypowiedzianej przezroczystości; powietrze czyste, pozwala oku przenikać aż do ostatnich głębi widnokręgu. Była to prawdziwie żywa rokosz dla mnie stać na pokładzie wąskiego statku i patrzeć na uciekające zdaleka te wioski jakby od wczoraj pobudowane, zawieszzone na wierzchołku gór lub kąpiące stopy w wodach szumiących, a otoczone już to gąszczem liści jak gniazda, już wiszące na cyplach tak stromych, nad którymi panują do tego tak gęste lasy, że здаwałoby się iż domki te wpadną zaraz do rzeki.

Przy ujściu Ohio zmieniłem parostatek, mając zamiar popłynąć w górę téj rzeki jedną z najznaczniejszych mających swe ujście od Missisipi. Krajobraz i podróźni także się zmienili. Wody były mniej burzliwe, brzegi nie tak różnobarwne. Wspaniałość stawała się spokojniejszą, zarysy krajobrazu jednostajniejsze. Podróźni przedstawiali jakieś dziwaczne zgromadzenie, któremu swobodnie mogłem przypatrywać się, gdy tymczasem nasz parostatek sunął się po tém jakby wielkiém ruchomém jeziorze Ohio,

błękitnej wód przestrzeni milowej szerokości, na obu stronach której, wznoszą się lasy ciemniejsze i bardziej ponure niż druidyczne gaje. Był tam murzyn cywilizowany, kilku Afrykanów zupełnie dzikich, osada śniadych mieszkańców wschodu, ale co najdziwniejsza hrabia i hrabina na wzór samozwańczej arystokracji w Europie, podrobieni kawalerowie i markizy, którzy często mieli do czynienia ze sprawiedliwością; dwóch oszustów, jedném słowem, samiec i samica, doskonali w swoim rodzaju, którzy doskonale oszwabiali Amerykanów.

Ta para bynajmniej mnie nie zajmowała, i natychmiast ją odgadłem. Ktokolwiek przechodził przez Palais-Royal albo Regents' Circus, ten zna takie figury. To sztuczne zuchwalstwo, i te pozorne miny fałszywej arystokracji, zdała trąciły starą Europą i zastarzałem zepsuciem. Opuściłem miejsce pokładu gdzie oni siedzieli, a umieściłem się blisko pokrywy koł maszyny, na której byli oparci Anglo-Amerykanin i Hiszpan, którzy rozmawiali bardzo głośno. Żywa rozprawa wszczęła się między nimi. Szło o ustąpienie Oregonu, dzikiej krainy oddanej Anglii przez Polka, a położonej za *Górami Skalistemi*, dalej niż Kalifornia.

— *Hombre*, mówił poważnie Hiszpan, to nam trzeba było oddać cały ten kraj należący do nas rzeczywiście, wraz z Kalifornią, na którą położyliście waszą rękę tak niesłusznie.

— Przypuszczam odpowiedział żywo republikanin, że wasz król Hiszpański zatrzymał by go gdyby mógł; ale królowie nic nie umieją zachować, i to bardzo szczęśliwie.

— Zobaczemy czy rzeczypospolite same siebie potrafią zachować.

— Przypuszczam że to wszystko przewidziane, odpowiedział Amerykanin, parszkając głośnym śmiechem, który trzeba wyznać, nie nadto był grzeczny.—Hiszpan się rozgniewał. Po zamienieniu kilku odpowiedzi i zarzutów, przeciwnicy zdawali się gotować do zmienienia kłótni swojej na bójkę, co rzadko trafia się w tym kraju, kiedy jakiś koloss, pod którego krokami drżał pokład naszego lekkiego statku, przybliżył się do nich, i uderzając po ramieniu Amerykanina:

— Eh, bracie Jonathan, rzekł mu, po co sobie psuć zółć? Jestem pewny że przybywasz z Nowego-Orleanu. Tam wszyscy jesteście gniewliwi i gorący jak młode indyczęta. To rzecz niezawodna.

Potém koloss zaczął swą przechadzkę na nowo. Kiedy powrócił na naszą stronę, zatrzymał się znowu przed swym ziomkiem:

— Nie ma pod słońcem jak Ameryka, rzekł mu głosem otwartym i raczej grzmiącym, aniżeli grubijańskim. To niezawodnie! Ona bije na gorzkie jabłko inne ludy i inne kraje... To pewna! Ale ja uważam, że to niema powodu zabijać się za tę kwestyą Oregonu, mój dobry przyjacielu; jest już ona załatwiona, to też pewna! Nie gniewaj się więc, gniew psuje zdrowie i to także jeszcze rzecz niezawodna!

I człowiek ten, który nie był ani śmiesznym, ani pospolitym, ale po prostu podobny do dzikiego zwierza, zaczął znowu rozmierzać krokami pokład statku, jak jaki bóg homeryczny.

— Prawdziwy *Westerner!* zawołał Amerykanin. To zupełnie człowiek z Zachodu, nie można się w tém omylić. Jaki zuch! barki jego mają najmniej cztery stóp szerokości. Zacząłem wówczas pilniej uważać ten rzadki exemplarz który nie zważał na nikogo, nie troszczył zdawało się o nic, a jednak zważał pilnie na wszystko, niczem nie był zafrasowany, i zdawał się posiadać w sobie poczucie niezaprzeczonej i najwyższej niezmiennej potęgi: Prawa

przyzwoitości również były obcemi jego wychowaniu, jak grzebień włosom a lakier paryzki jego bótóm z żółtawej skóry. Był wysoki więcj jak sześć stop, a kształty jego herkulesowe bez zarzutu. Gatunek czapki wygniecionej, bez kozyrka, okrywał czarne włosy wymykające się w wielkich kędziorach obficie na czoło, na ramiona i policzki. Nos prosty, łuk od brwi potężny, podbródek tłusty i kwadratowy, dopełniały podobieństwa do starego króla lasów; był to prawdziwy lew pustyni. Jego oko czarne błyszczało tą iskrą niespokojną i badawczą, która znamionuje za razem potrzebę uczenia się i potrzebę działania, jaką często znaleźć można w wejrzeniu zwierząt leśnych. Miał na sobie, pomimo nadzwyczajnego upału, grube palto, albo raczej *sac* z sukna żeglarskiego, i z rękami w kieszeniach; zwracając mowę do pierwszego lepszego, zapytując jednego, odpowiadając drugiemu postępował sposobem tak naturalnym, że można by go wziąć za pana całego ekipażu okrętowego. Nie opierałem się żądzy zgłębienia téj osobliwości przedpotopowej, i kiedy przechodził koło mnie, mierząc mię wzrokiem po swojemu, bez zuchwalstwa, ale i bez wzdętności:

— Jesteś więc, rzekłem, zagadując go jak on zaczepiał wszystkich, jesteś więc Pan z prowincyj Zachodnich?

— Z głębi Zachodu.

I znowu chodził.

— Pan, odpowiedział wracając do mnie, jesteś ze starego ładu?.. Anglik, he?

— Nie.

— To nic nie znaczy.

— Nie zatrzymujecie więc Oregonu?

— Cudzoziemcze, odpowiedział mi, ja sądzę że będziemy posiadali Oregon, pomimo zdrajcy Polka i jego czeredy. Ameryka republikancka nie powinna się ograniczać, chyba dwoma oceanami Atlantyckim i Spokojnym. Dwa morza za granice, oto jest! Ja uważam że niema powodu pod słońcem, aby zostawić choć jednego Hiszpana przy życiu na północy międzymorza Panama. Oni są przecie u nas, to rzecz widoczna. Zauważałem, że ten człowiek, jak większa część jego ziomków z Zachodu, był demokratą czystej krwi, człowiekiem *natychmiast* albo *wcześniej!* niż to nawet. Dziwne przezwiska dawane w Ameryce radykalistom najzupełniejszym. Kiedy znowu przechodził koło mnie, wszcząłem kwestyą Oregonu.

— Proszę nie mów o tém, cudzoziemcze, odpowiedział mi, stałbym się tak głupim jak ci panowie! Uważcie, że oni byli tam, tuż przy nas. Wspaniałym był on w swym gniewie, nie mogłem się wstrzymać od uczynienia sobie uwagi jak dalece ten wojowniczy demokrata źle przechowywał tradycyę Franklina i Waszyngtona tchnące pokojem.

— Pan jesteś wielkim zwolennikiem wojny, powiedziałem mu; czy nie przypominasz sobie co powiada ten *pocziwy Richard* i co myślą wasi Kwakrowie?

— Właśnie! zawołał, księża i lekarze duszy spełniają swój obowiązek. Ci o których mówisz byli to dobrzy ludzie, trochę baby, i sądzę że już nie żyją; dziś trzeba nam czego innego: wojny w Kanadzie, wojny w Meksyku, wojny wszędzie gdzie nie jesteśmy panami, przynajmniej na tym lądzie! Cóż znaczą ci angielscy milordowie w Montréal i Kwebeku? Widzisz więc, że nie będę zadowolony aż wtedy, kiedy cała Ameryka będzie nasza; to rzecz niezawodna.

Zaczął znowu swoją przechadzkę, zostawując mnie w zdumieniu nad owocami jakie przyniosły doktryny Williamma Penna, i nad loiką rzeczy ludzkich. Wszystkie wyobrażenia ludo-

we Stanów Zjednoczonych są rzeczywiście zwrócone do wojny. Jest to ulubiona tema demokratów; ten naród, który wzrasta, podobny jest do młodzieńców pełnych siły i wigoru, którzyby chcieli rzucić się na szalone wysoki; bądźcie pewni że jeszcze popełnią ich nie mało, trochę tylko cierpliwości. Mój *Westerner*, typ doskonały ludności, która burzy się w północno-zachodniej stronie Ameryki, zszedł z pokładu aby zapalić cygare i straciłem go z oczu. Jakiś czarny, ubrany zupełnie po Europejsku, odznaczający się świetnością bielizny, i wytwornością mankietów, zbliżył się do mnie pytając czy chcę *mint-julep*, *egg-flip*, albo *negus*, z napojów i mieszanin rozmaitych, których Amerykanie znaczny zbiór posiadają. Był to piwniczy okrętowy. Mówił dość dobrze po angielsku mieszając nieco zwroty hiszpańskie. Ten wolny murzyn, który doszedł do pewnego rodzaju położenia w kraju wyłączającym bez litości pokolenie afrykańskie od wszelkiego współnictwa, od wszelkiego stosunku poufałości, zdawał mi się być anomalią zasługującą na bliższe zbadanie. Probuje, jak wiecie zrozumieć nieco to, co łatwo uchodzi uwagi podróżnych, życie rzeczywiste, życie domowe, namiętności, przygody,

wyobrażenia, istotę obyczajów; rzecz to nie łatwa w Ameryce. Odcienie są tutaj tém liczniejsze, że ludność jest za nadto natłoczona w stosunku do przestrzeni którą zajmuje. Rozmaitość, to jest godło Stanów-Zjednoczonych; panuje ona tam swobodnie; nic bardziej zbiorowego, nic mniej prostego nad ustawy i obyczaje amerykańskie; nic mniej podobnego do Luizjania, jak mieszkaniec z Maine. Amerykanie północni, których życie jest zupełnie wewnętrzne, zupełnie są różni od południowych, którzy żyją znowu tylko na zewnątrz. Oto dla czego Ameryka północna tak trudną jest do zbadania; nie jest ona jednorodną. Systemat federalny do którego ona tak słusznie jest przywiązana, jest wyrażeniem dobrze określającym i logiczném cechujących ją rozmaitości. Federacya tworzących się prowincyj, z których każda sama się rządzi; oto jest Unia. Ale dajmy pokój téj filozofii. Nowa mi się przedstawiła osobliwość: podczaszy, czarny był skłonny do rozmowy i rozmawialiśmy sobie.

— Pan udajesz się do Nowego-Jorku lub może do Bostonu, zapytał mnie podając aromatyczny *egg-flip* o który prosiłem. Przybywasz ze stepów Zachodnich?

— Przybywam z Texas, i mam zamiar udać się ku Północy.

— Pan zapewne odwiedzi Yankesów i ma pan słuszną. Ciekawi to ludzie, panie, bardzo ciekawi!

— *Yankesy*, słyszę wszędzie to słowo. Co ono znaczy? Czy oznacza Amerykanina, czy republikanina członka Unii, czy osadnika z Florydy, czy też nareszcie plantatora?

— Nic z tego. Mieszkańcy południowi rozumieją przez *Yankesów* mieszkańców zachodnich, a ci znowu zrzucają to nazwanie na mieszkańców północy.

— Jakich mieszkańców północy? Z Kanady, czy z Nowego-Yorku, Anglików czy Amerykanów?

— Nie wiadomo wcale. Kiedy zobaczysz szlachcica z okiem wpadłem, namarszczoną miną, który cię potrąca przechodząc i który włoży ci w drogę, nazywasz go *Yankie*. Luizianie sądzą że prawdziwy typ tej rasy jest w Nowym-Yorku; to miasto zrzuca go na Bostończyków, którzy znowu nie zaniedbują odeń uwolnić się dla mieszkańców New-Hampshire. Ci zaś, rzeczywiście wielkie prowincyały i bardzo rachunkowi, dwie cechy *Yankesów*, nie przyjmują te-

go przydomku, a przesyłają go aż do Nowej-Anglii, i Nowej-Szkocyi. Tam podróż ta musi się skończyć wśród śniegów i mgły. Ci więc mieszkańcy krańców północy są prawi *Yankiesy*. Będiesz ich wkrótce sam widział.

— Mam nadzieję.

— Spiesz się pan, aby go zła pora nie zachwycała; możesz znajdować się w Waszyngtonie ku końcowi Września, po dwóch miesiącach *recessu*, to jest wakacyi, właśnie w chwili kiedy Izby prawodawcze otwierają swe posiedzenia. Natrafisz tam jeszcze wtedy na doskonałe typy pod tym względem.

Podziwiałem roztropne spójrzenie i żywą rozmowę mojego *cicerone* murzyna, którego spodziewałem się rozpytać o własnem jego życiu, kiedym usłyszał za sobą rozlegający się szwargot najdziwniejszy jak można sobie wyobrazić. Obróciłem się i ujrzałem wychodzących z pod pomostu trzech czy czterech mieszkańców Wschodu z pasami, szerokimi sukniami, pistoletami, sztyletami zakrzywionymi, i wszelkimi przyborami azyatyckiego życia. Ich cera była oliwkowa, rysy twarzy nieregularne. Mieli suknie długie białe muślinowe, naszyjniki z drogich kamieni spadały im na piersi. Je-

den z nich palił tytuń; ja także paliłem. Przeszedł zapalić fajkę przy moim cygarze; i zdziwiłem się posłyszawszy że mi dziękuje po francuzku, trochę z gaskońska. Ubiór jego był widocznie indostański albo tybetański; ale fizyognomia jego nie miała w sobie nic z tych rysów azyatyckich które są tak odznaczające się. Czoło zaokrąglone i wydatne, podbrodek ostry i wystający, nos spłaszczony i szeroki, oko żywe wytrzeszczone, uśmiech i wejrzenie pełne zuchwałości i pewności; była to szpetność rozumna ulicznika naszych miast, gdy już wyrosnie; kimże być mogła ta śmieszna osoba? Towarzysze jego powrócili do niego. Słuchając ich rozmowy, zauważałem że był to rodzaj mieszaniny, utworzonej z tuzina dyalektów, maltańskiego, romańskiego, włoskiego, francuzkiego, i jakiegoś azyatyckiego narzecza, którego nie znałem.

— Z jakiego kraju jesteś? zapytałem u tego który mię prosił ognia.

— Jestem z Marsylii, odpowiedział mi z akcentem bardzo charakterystycznym. Nie здаwałoby się tak, sądząc z mojego ubioru; ale mam jeszcze tam matkę, i udaję się aby z nią się zo-

baczyć. Do pioruna, zrećznie uszedłem i przybywam zdaleka, panie!

— Skądże więc przybywasz?

— Z kraju Birmanów, z mymi oto towarzyszami; i tak jak mnie widzisz, byłem ministrem, do pioruna!

Widziałem rzeczy dziwniejsze, i jego mowa nie zadziwiła mię bynajmniej. Postrzegając się że jego ministerstwo nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia, zaczął znowu:

— Jako Francuz, jestem tylko majtkiem, i to jeszcze majtkiem zbiegłym; jako Birman, jestem wielkim panem. Toby długo było opowiadać.

— Opowiadaj owszem, zajmujesz mię bardzo.

— O, to pociesznie! Służyłem na pokładzie okrętu *Bayadère*, pięknej fregaty francuzkiej pod dowództwem kapitana Pigeard, który z nami się obchodził jak z psami. Ku końcowi 1828 roku, kiedyśmy krążyli koło brzegów Birmanów, porozumieliśmy się, czterech moich towarzyszków i ja, wszyscy z Prowancyi, ale nie francuzi jednak, aby uciec razem. Kapitan był zły jak tygrys, zwłaszcza na nas mieszkańców południowych, i już oddawna byliśmy udęczeni jego postępowaniem. Krótko mówiąc, spuściliśmy szalupę na morze, i odjechaliliśmy aby nie

wrócić więcej, pięciu zuchów gotowych na wszystko, nie lękających się niczego; każdy uzbrojony muszkietem i sztyletem. Byliśmy głodni a silnych muskułów i to był cały nasz majątek. Zresztą miejscowości zupełnie były nam nieznanne. Skierowaliśmy się na zachód, nie wiedząc nawet nazwiska kraju, śpiąc pod gołym niebem pod drzewami, polując na nieco zwierzyny i zbierając grona owoców dzikich dla przeżycia się. Postępując zawsze naprzód, byliśmy pewni że natrafiemy na jakieś wsie. Nie zbaczaliśmy więc z linii prostej. Szliśmy tak ośm dni; poczem znaleźliśmy się na brzegach rzeki szerszej i gwałtowniejszej jeszcze aniżeli Ohio, która się nazywa Irrawadi. Tak znaczna masa wody zapowiadała, że ujście nie było daleko. Poszliśmy w dół lewym brzegiem rzeki, i doszliśmy do wsi birmańskiej położonej o dwaście blisko mil od morza. Nie przyjęto nas źle, i ponieważ umieliśmy wszystko to co wyrabiają marynarze, polecono nam kręcić powrozy i liny okrętowe, rodzaj przemysłu, którego okolicy tej nie dostawało. Przeznaczono nam dóm i ogród, i interessa nasze szły dobrym torem. Na nieszczęście, było we wsi kilku Europejczyków: Jeden Szkot, dwóch Hiszpanów i

dwóch żydów ze Smyrny, którzy przybyli tam na mieszkanie. Zmitrężyliśmy handel tych dwóch żydów, którzy przedawali okropnie drogo liny źle robione, niewiadomo skąd sprowadzane. Starali się oni szkodzić nam jak mogli, i zręczność zgubienia nas nastęczyła się im wkrótce, kiedy fregata *la Bayadère* zarzuciła przy wsi kotwicę. Żydzi nie mieli nic pilniejszego jak nas donieść. Nasi przyjaciele Birmani ostrzegli nas o niebezpieczeństwie, i ukryli nas w lasach. Kapitan szukał napróżno, i *Bayadère* podniosła kotwicę, a my wróciliśmy do naszego pomieszkania, obatożywszy potrochu żydów. Po upływie tygodnia, jakiś parostatek wszedł znowu na wody Irrawadi, i zatrzymał się przed wsią. Otrzymał on rozkaz od Pigeard'a schwycenia nas; dwunastu żołnierzy morskich, pod komendą podporucznika, stanęło przed naszym domem, z szablami w rękę. Zabarykadowaliśmy drzwi nasze, postanowiwszy bronić się jak djabły, i pokazaliśmy napastnikom lufy naszych muszkietów, które przechodziły przez okna. Kapitan parostatku sam raczył przyjść z kolei, i próbował wchodzić z nami w układy. Nic nas nie poruszyło. Kapitanowi zdało się nakoniec że pięciu biedaków, którzy postano-

wili nie dać się wzięść żywcem, zasługują żeby ich zostawiano przy życiu; i zamiast podłożenia ognia pod dóm nasz, co mógł bardzo łatwo uczynić, on jeszcze przysłał nam broni i kilka sztuk narzędzi których bardzośmy potrzebowali.

Zaczęliśmy więc znowu nasz mały handel. We dwa lata zrobiliśmy nieszpety majątek, i żeby nie kłótnie żon naszych, których każdy z nas miał po sześć dla siebie, żylibyśmy najszczęśliwiej w świecie. Lubiono nas we wsi, i bardzo ceniono.

Wojsko krajowe biło się jak dzikie kaczki, ten, na prawo, ten na lewo, bez żadnego porządku. Naczelnik obwodu dowiedział się o nas, kazał nam przyjść i prosił abyśmy wyuczyli musztry batalion nowozaciężnych. Udało się nam dobrze go wyćwiczyć, a król tego kraju żądał nas widzieć. Był to wysoki człowiek chudy i blady, którego broda rozdzielona na dwa sploty czyli kity, spadała mu wspaniale na piersi.

Europejczycy byli dla niego prawdziwym znalezionym skarbem, polecił on nam naprzód budowę statków i ćwiczenie wojska, a następnie powierzył nam pierwsze posady swojego królestwa. Ja byłem radcą tajnym; czterej zaś moi

towarzysze rozdzielili się ministeriami marynarki, handlu, spraw wewnętrznych, i fortyfikacyj. Nie długo wszakże to trwało. Następca, jak zwykle, chciał zmienić to co ojciec zrobił, i wypędził nas. Żyliśmy wygodnie i rozkosznie wśród kraju, gdzie życie nic prawie nie kosztuje; a nasze małe oszczędności, tak w dyamentach, jak w monecie złotej i klejnocikach różnego rodzaju, mogły wynosić do 500,000 franków. Naładowaliśmy to wszystko na wielką szalupę, i opuściliśmy stolicę, gdzie już nie mogliśmy niczego dobrego spodziewać się. Kiedyśmy przybyli do wsi w której trudniliśmy się rzemiosłem linników, zastaliśmy konsula francuzkiego, nad którego domem powiewała chorągiew trójkolorowa, co nas bardzo zadziwiło i przekonało że Francya zawsze rada co dziesięć lat prawie robić rewolucyę. Zastanawialiśmy się co poczniemy z sobą, kiedy władca birmański, nierad z naszej ucieczki, wysłał wojsko aby zatrzymać nas w przejściu; i wytrzymaaliśmy rzeczywiście oblężenie regularne przez dni dziesięć przeciw 200 Birmanów, których liczbę zmniejszyliśmy więcej niż o połowę. Nakoniec konsul angielski okazał nam spółczucie; i w nocy dziesiątego dnia tego sławnego oblężenia,

znalezliśmy sposób ujęcia z naszymi skarbami. Statek angielski przewiózł nas na pokład okrętu amerykańskiego, i oto jesteśmy.

— Jakże znajdujesz Amerykę?

— Sto razy mniej ucywilizowaną aniżeli kraj Birmanów. Powiem dla czego.



VIII.

Z Louisville do jeziora Ontario.— Działalność amerykańska.— Inżynier.— Pittsburgh.— Lwy czarne.— Scena w wagonie.— Konduktor.— Zmarła z urojenia.— Attak Galwestna.

Namiot przy Niagarze, 30 Września 1849.

Nie wspominałbym o tych majtkach z Prowancyi, którzy zrobili tak piękny los w Azyi, gdyby nie dowodzili oni ogromnego rozwoju cywilizacyi, który dziś świat ogarnia, rozwoju który się odbywa sposobami niekiedy błahemi albo śmiesznymi, a którego samo położenie Ameryki najlepiej dowodzi. Ze świat i ludzkość kierują się zwolna ku wielkiej i zupełnej jedności

obyczajów i wyobrażeń, urozmaiconej jedynie jakimiś odcieniami klimatu i zwyczajów, że ta powszechna solidarność wszystkich członków wielkiej rodziny ludzkości, zapowiada się już acz nie jasna jeszcze, że taki to właśnie cel prawdziwy, dający się postrzegać zaledwie jeszcze w bardzo oddalonej perspektywie tych straszliwych przewrótów, których jesteśmy świadkami w Europie, o tém wątpić nie mogę. Północna Ameryka jest tego, jak powiedziałem, najbardziej uderzającym świadectwem: wyobrażenia, obyczaje, niesforne pomysły tam się zbiegają; same nazwiska dziwacznie się spotykają. Znajdujesz Madryt obok Orleanu i Kartaginę blisko Kairu. Attyka nie jest daleko od Niagary, a Batawia znajduje się o sześć mil od Attyki. Oto Egipt blisko Roczesteru, potem Palmira, dalej Wiedeń, i nakoniec Genewa. Trochę na prawo wznosi się miasto Itaka, a na tejże linii ku zachodowi Syrakuza, Rzym i Utyka. Są nawet w Ameryce dwa miasta Londyny, jedno w Konnectikut, drugie w Kanadzie wschodniej. Podróżny może badać w Stanach Zjednoczonych nietylko rozmaite przeobrażenia w jakich plemiona saskie, hiszpańskie, indyjskie, irlandzkie, gallo-rzymskie mieszają się i prze-

mieniają, lecz nadto Niemcy środkowe i Holandia zapłaciły także haracz temu olbrzymiemu zlanu się.

Wracam do Birmanów-Prowansalów, którzy nie podobali sobie zupełnie amerykańskich obyczajów, i którzy w tym względzie bardzo jasno się tłómaczyli. Kraj gdzie trzeba było wiele pracować, działać, podróżować, przedsiębrać, i walczyć aby zrobić majątek, nie mógł wedle nich iść w porównanie ze szczęśliwemi stronami, które tylko co opuścili, gdzie dla zostania wielkimi panami dość im było tkać konopie i ćwiczyć rekrutów w obrótach wojskowych.

— Tam, mówili oni, zyskuje się dużo nic nie robiąc. Tutaj, ludność jest nadzwyczajnie czynna. Wszyscy się spieszą i cisną. Żadnego wypoczynku. Nie używają niczego. U tych zaś dzielnych Birmanów, wstajesz późno, jedna z żon twoich przyrządza ci śniadanie; dwunastu służących usługuje; palisz tytuń i siedzisz z założonemi rękami przez pół dnia; podczas drugiej połowy odbywasz przegląd kilku łotrów. Za tę śliczną pracę dają ci złoto i dyamenty. W Ameryce, wszystko jest do zrobienia: wszędzie lasy, kanały do przerznięcia, drogi żelazne do naprawiania; niemasz wcale starych pałaców

starożytnych, szacownych pomników; jest to kraj umierających z głodu i dzikich, ta wasza Ameryka; i dla tego spieszmy z powrotem do Europy. Takie to było zdanie filozoficzne tych panów. Mieli w tém słusność; Azya jest babką, Ameryka wnuczką. Ta ostatnia zaledwo żyć zaczyna. Nie upłynęło jeszcze dwóch wieków jak purytanie kalwińscy zasiali na skale ziarno Stanów Zjednoczonych; siła wyłonienia się była straszliwą, jest nią nawet jeszcze, i od czasu do czasu wstrząśnienia dowodzą gwałtowności ruchu. Kocieł rozsadza ściany. W Ameryce trzeba ciągle postępować naprzód: wszystko idzie tam z gwałtownością, o której stary świat nie może mieć wyobrażenia. Miasto które przez dwadzieścia lat nie pomnożyło we czwórnasób swojej ludności, jest w opóźnieniu. Charlestown, naprzykład, które nie wzrosło więcej jak o 5,000 dusz od r. 1810, uchodzi za zupełnie zostające w tyle. Amerykanin stojący na miejscu jest istotą nie możliwą: byłoby to chcieć kosić snopy i zbierać zboże przed żniwem. *Going a head* »naprzód» *to be smart* »być żywym» są tu słowami sakramentalnemi. Ależ co za szaleństwo w krajach, które mają za wiele ludności, chcieć naśladować te gdzie jój braknie, i

w świecie gdzie pierwotna praca jest oddawna skończoną, naśladować kraj, który ma wszystko do zrobienia, wszystko do wykarczowania.

Stanęliśmy wkrótce w Louisville, zkąd mój list ostatni był datowany. Prowansale pojechali dalej do Filadelfji gdzie mieli wsiąść na okręt, a ja przepędziłem dwa dni w wybornym hotelu, aby się udać do Cincinnati, ztamtąd do Pittsburga, i wrócić na północ jak można najprędzej. Wszystkie miasta doliny Ohio wzrastają; Ohio rozdziela Stany niewolnicze od Stanów wolnych. Te ostatnie bez porównania lepiej są uprawiane i bardziej kwitnące.

Dolina Ohio, która jest tylko gałęzią poboczną doliny Mississipi, mieści w sobie Stany Kentucky, Ohio, Indiana, małą część Tenesse, prawie całe Illinois, i części Wirginji i Pensylwanji, położone ku północy łańcucha Alleganów. Rzeka, mniej gwałtowna niż Mississipi, do której wpada, i zawsze przeźroczyta, wyjąwszy w czasie wielkich wezbrań, przyjmuje na północy Wabash, na południu Tenesse i Cumberland; rzeki te są spławne dla parostatków, i po większej części na znacznych przestrzeniach. Powiedziałem że wszystko w tej stronie było wspaniałem; sądźcie o tém sami: Ohio ma w ca-

łym przebiegu, milę i trzy ćwierci szerokości. Od punktu połączenia aż do Louisville rachuje się 380 mil, a z Louisville do Cincinnati 120 mil; niema nic ciekawszego jak widzieć parostatki przybywające razem przez te wszystkie potoki objęte w czarne i gęste lasy Zachodu, przerywane od czasu do czasu ziemią napływową, która zstępuje aż do brzegu wód. Zawsze toż przeciwieństwo; jak tylko ustaje milczenie pustyni, wielki odgłos przemysłu daje się słyszeć. Tu przyrodzenie spoczywa, dalej głośna działalność pracy. Louisville liczyło 500 mieszkańców w 1801, ludność jego terazniejsza wynosi 35,000 dusz. Ludność Cincinnati w 1801 była 750 osób, dziś jest 60,000 ośmdziesiąt razy więcej od pierwotnej ilości. W Pittsburgh, ognisku kopalni metalicznych i mineralnych Stanów, nie zaniedbałem odwiedzić mego przyjaciela inżyniera, człowieka ze zdrowym rozsądkiem i rozumnego, tego który mi dał podczas pierwszego pobytu mojego w Pittsburgh objaśnienia tak ciekawe o Mormonach i ich naczelniku.

— A, otóż jesteś, rzekł mi, cóż znowu porabiasz tutaj? Podróżujesz jak Amerykanin; dzisiaj na południe, jutro na północ! *Haw smart!* co za żywość!

— Ruszam ku północy z całą możliwą działalnością i przyśpieszam mą podróż.

— Dla czego?

— Chcę być w Waszyngtonie przed otwarciem posiedzeń prawodawczych. Przez czas który mi pozostaje, zamierzam zwiedzić ten róg północnej Ameryki, który się kończy ławą *Nowej Ziemi*, jak kapelusz spiczasty, i który naspikowany jest lodami kiedy go mgły nie pokrywają.

— Masz zupełną słuszość. Nie należy czekać niepogody. W Nowej Szkocji niepodobna wytrzymać za nadejściem zimy; spiesz się i przebywaj jeziora. Niezaniedbaj pozdrowić w przejeździe Niagary, która jest największym *lwem* tego kraju. Zostań tylko przez dwa dni w Pittsburgh dla odpoczynku, i te dwa dni przepędź u mnie. Jest to miasto zasługujące bardzo na zwiedzenie: miało 500 mieszkańców w początku wieku, a ma ich teraz 2,000. Nazajutrz, nieco zadziwiłem się widząc wchodzącego do mego gospodarza tego samego José, piwniczego czarnego z parostatku na Ohio.

— To dzielny chłopiec, rzekł mi P. D., którego używam w zdarzeniu do moich interesów; jest on bardzo rozsądnym i bardzo uczciwym.

Amerykanie wstydziłiby się go używać, bo on czarny; nie możesz sobie wyobrazić nic okrutniejszego nad przesąd koloru ciała tu panujący. Nie tylko czarni, ale i mulaci są w pogardzie, zwłaszcza na południu. Dość jest kropli krwi afrykańskiej w żyłach człowieka, aby odepchnięty był od wszelkiego towarzystwa ludzkiego.

— Ten José o którym mówisz, dorobił się jednak, jak mi się zdaje; dość dobrej fortunki.

— On jest *steward* (piwnicznym) oto wszystko, rodzaj służącego. Amerykanie nie są przeciwni aby się czarni z bogacali; pozwalają im pięknej odzieży, złotych zegarków i cienkiej bielizny; odmawiają im tylko stanowezo godności człowieka i obywatela.

— Jest porozumienie się na wszystko.

— Odpychając murzyna daleko od wszystkiego co stanowi siłę i godność człowieka, Republikańskie Stanów Zjednoczonych pozwalają mu być *dandyem*, *fashionable* i śmiesznym ile tylko mu się podoba. Zamykają mu drzwi swoich kościołów, ale dają mu kościół oddzielny; każą mu być wszędzie osobno. Nikt by nie przebaczył czarnemu żeby się wdawał w politykę; a nie mają nic przeciw temu żeby murzyn miał się pokazywać na przechadzkach okryty aksa-

mitem i błyszczący złotogłowem; to dziccinne
 plemie poddaje się zresztą z radością chęciom
 swoich panów. Niema wielkiego miasta w Ame-
 ryce, gdzieby nie można było zobaczyć *lwa*
 czarnego, lub *lwicy* czarnej, prawdziwych oso-
 bliwości. Kapelusz błyszczący i umieszczony
 na bakier na włosach splełanych i kędzierza-
 wych. Obfity magazyn błyskotek zawieszony
 na kamzelce dandego murzyna. Piramidalny
 żabot haftowany pnie się aż pod hebanowy pod-
 brodek, a mankiety korunkowe podnoszą się aż
 do łokci, i spadają następnie na rękę kolossal-
 ne; poły obszerne ozdobione guzikami wyrabia-
 nemi i błyszczącemi, ruszają się podług zgięć
 kibici którą kołysze on z elegancją kręcąc trzcin-
 ką lub szpicrutą około palca obciążonego dia-
 mentem. *Lwica czarna* ma na sobie pięćdzie-
 siąt łokci muślinu białego, który powiększa jęj
 rozmiary aż do obwodu zajmującego cały chod-
 nik! zausznicie przesadzone, ogromny wachlarz,
 kapelusz ozdobiony piórem, uzupełniają jęj u-
 biór. Jeśli idziesz za nią, giętkość kibici, zby-
 teczne wyszukanie w ubiorze, i bogactwo ma-
 teryi nie pozwalają podejrzewać tego co cię cze-
 ka, kiedy ominiesz przechodzącą: nos spłaszczony,
 czoło uciekające, wargi wiszące; niezmaza-

ne piętno plemienia afrykańskiego. Pamiętam jak jednego razu jechałem do Bostonu koleją żelazną, i zaledwośmy zrobili pół mili, kiedy scena szczególniejsza i smutna, której mulat był bohaterem i ofiarą, zaszła w wagonie w którym się znajdowałem. Krótko mówiąc, na tém miejscu które się nazywa *miejscem prezydenta*, siedział młody mulat którego skóra zaledwo się odróżniała od niedostrzeżonego półkoloru. Dobrze był ubrany: krawat biały, rękawiczki brunatnego koloru, wyborne ułożenie i skromna powierzchowność. Od czasu do czasu konduktor wychylał przez drzwi głowę i śledził wewnątrz wagonu. Zauważyłem że biedny młodzieniec mieszał się i spuszczał oczy, jak tylko ukazywał się konduktor. Smutnym i poruszającym było długie wejrzenie błagające, które się wymykało ze spuszczonej rzes jego powiek, skierowane ku cerberowi wagonów. Nareszcie ten wszedł do naszego wagonu, poszedł prosto do mulata, i nie mówiąc ani słowa, wskazał mu drzwi otwarte palcem wyciągniętym. Młody człowiek powstał i zniknął pokornie; wielka łza stoczyła się z jego oczu.

— To słusznie, zawołał jakiś młodzik lat dwudziestu, z twarzą rumianą i długimi jasne-

mi włosami. Twarz piernikowa! nie zasługuje na co innego.

Wszyscy w śmiech.

— Pozostanie on na swoim miejscu w innym razie, odpowiedział ogromny Alabamianin spokojnym głosem.

Inne uwagi nie przyszły z tego powodu na myśl naszym republikanom. Kiedy się pokazała przeze drzwi wagonu koścista i czerwona głowa konduktora, pokazując ogromną gębę uśmiechniętą i białe zęby, był on bardzo dobrze przyjętym.

— Psy odsyłają się do psiarni! zawołał.

— I dobrze zrobiłeś, powiedział inny.

— Niechajże te piękne twarzyczki nie udają ludzi porządnych? Ponieważ ten jest trochę wybielonym, i dość źle wybielonym, mówiąc nawiasem, przybiera jakiś ton, wchodzi w dobre towarzystwo, ma pretensye! Ah, ah, glinka na fajki chciałyby być porcelaną! Trzeba temu koniecznie zaradzić.

Wszyscy pochwalili to zdanie.

— Gdzie umieściłeś go, zapytałem u konduktora?.. w odkrytym wagonie?

— Rzeczywiście, wart on był tego; po prostu odesłałem go do czarnego wagonu.

— Co to jest czarny wagon?

— To klatka dla murzynów.

— Czy można to widzieć?

— Oh, jeśli to pana bawi! proszę, niech pan przejdzie przez wagon z bagażami, a zobaczysz ich tam w swojej norze, szczebiocących jak sroki. Oni są pełni życia i ruchu, upewniam pana.

Ciekawy byłem wiedzieć co się stało z biednym mulatem. Między wagonem odkrytym i bagażami, w skrzyni nieograniczonej, spakowano rzeczpospolitą murzyńską: dwanaście osób wszelkiego wieku i płci rozmaitej. Młoda jeszcze matka obwijiała swoje dziecię lichą kołdrą wełnianą, aby je zabezpieczyć od zimna. Mulat siedział w kącie gryząc swą pałkę. Afrykanie przyjęli go ostremi przycinkami, które dopełniły jego zawstydzienia; był on za biały dla murzynów, za czarny dla białych. Wzrok jego zrazu tak pokorny, zaiskrzył się złością i zemstą. Zobaczywszy mię, zbladł jak trup, a ja pośpieszyłem cofnąć się aby nie sądził że chcę nagrawać z niego w utrapieniu. Ileż razy, przy *Table d'hôte*, widziałem współbiesiadników powstających za zbliżeniem się mulata albo *kwarterona*, dając mu tém do zrozumienia że nie życzą go uważać na równi z sobą!

— W Stanach Północnych te przesady koloru czy nie są mniej gwałtowne niż w południowych?

— Na południu, murzyn jest więcej uciemiony; na północy, więcej poniżony. Luizjanin uważa murzyna jak dzikie zwierzę; Pensylwanin go traktuje jak ćwierć człowieka.

— Ależ wolni obywatele! republikanie! Cóż na to mówią wasi filozofowie, i jak w obec oświadczenia praw, tłumaczą to odstępstwo nie do uwierzenia?

— Umysły filozoficzne, wszędzie rzadkie, rzadszemi są w Stanach Zjednoczonych niż gdzie indziej; nikt nie zdaje sobie rachunku z prawdziwego powodu nienawiści Amerykanów dla czarnych. Ja sądzę że kalwinizm jest najważniejszym. Czarny będąc przeznaczonym do cierpienia, potrzeba aby cierpiał: to pokolenie Kaina. Ja sądzę także, iż duma republikańska tutaj, jak w starożytnych republikach, przybiera chętnie za podnoże, grzbiet niewolników. Biedna ludzkość!

— Biedna ludzkość! powtórzyłem.

.....

— Jaką drogą udasz się do jezior?

— Nie wiem, wskaż mi ją.

— Oto dobra zręczność. José murzyn pojedzie jutro do Genesee, najpiękniejszą drogą w świecie, brzegami Genesee, która przechodzi przez okolicę bardzo malowniczą Pensylwanii, i której Europejczycy nie znają wcale. Bierz Joségo za przewodnika; on jest bardzo zręczny i zna okolice.

— Z całego serca. Niech żyją drogi uboższe! podróżni przejeżdżają i wracają temiż samymi ścieżkami; to jest wygodniej ale mniej korzystnie. Udają się z Bostonu do Nowego-Yorku, a z Nowego-Yorku do Bostonu, biorąc listy polecające do ludzi sławnych w kraju, i idąc śladem turystów którzy ich poprzedzili. Sliczny sposób nauczania się czegoś nowego! Rzućmy pióro na wiatr, i ruszajmy na los szczęścia. Przewodnik twój jest właśnie *non-descript* »istota jedyna w swoim rodzaju'', z tego względu podoba mi się on bardzo i przyjmuję go. I po cóż on tam jedzie?

— Będzie przedawał, w imieniu swego dawnego pana, który był hiszpanem, mały dóm i siedzibę, którą ten ostatni odziedziczył w Genesee, a która należała do starej damy hiszpanki, żony oficera z wojny o niepodległość. Dama ta, zostawszy wdową, oddała swą ziemię w Genesee w dzierżawę, a sama zamieszkała na grani-

cach Wirginii, gdzie umarła sposobem najdziwniejszym. Karolina Północna, jak wiesz, przylegająca do Wirginii, a dwie te prowincje pod względem dobroci klimatu mają różną reputację. Grunt w Karolinie jest niski, błotnisty, niezdrowy; w Wirginii górzysty, nierówny, w ogólności bardzo zdrowy. Nasza staruszka, zostawszy wdową, sądziła że najlepiej zrobi kiedy zamieszka w Wirginii dóm dosyć ładny, położony na pochyłości wzgórza. Z balkonu i okien swoich miała tuż widok na stawy i błota Karoliny; ale nie mniej dla tego była w Wirginii, a Wirginia niewątpliwie jest zdrowa. To ją zaspakajało, i żyła sobie spokojnie, w pewności, że tak dożyje lat stu. Ale oto, rozmiarzają na nowo granice; posyłają inżynierów do Wirginii, a ci przyłączają wzgórze naszej damy do Karoliny. Był to dla niej cios śmiertelny; Karolina tak jest niezdrową!.. Położyła się do łóżka, a w ośm dni później już nie żyła. Ona to zostawia don Ignazia dziedzicem, a José jedzie starać się wydobyć je z rąk *attorney'ów* (prokuratorów). Czy pojedziesz z nim?

— Bez wątpienia.

.....
 We dwa dni później, José i ja byliśmy w dro-

dze do Genesée, na samym grzbiecie gór rozdzielających dwie wielkie kotliny, Mississipi i Jezior. Krajobraz dziki, urozmaicony, przeplata, bardzo staranną uprawę, to znowu skały urwiste, wielkie stopy i gaje drzew, szczątki starych lasów, słowem jest w jednym z najpiękniejszych, jakie widziałem.

— A więc, José, powiedziałem do mego towarzysza podróży, który szedł powoli niosąc swój mały tłumok, przyrzekłeś mi swoją historję, i ja na nią rachuję.

— Bardzo jest ona prosta, panie. Zacząłem mój zawód w Hawannie i w Texas, dowiesz się jakim sposobem. Ojciec mój, Afrykanin z prowincyi Gwinejskiej należał do bogatego Hiszpana, właściciela w Hawannie. Ten ostatni darował mnie swojemu synowi. Don Ignazio, to było imię syna, obchodził się dobrze ze mną, i razem z wolnością dał mi niewielką sumkę pieniężną; nauczyłem się też czytać i pisać. Hiszpanie, pomimo dumy swojej, są dość ludzkimi dla nas; troskliwi na przypadek naszej choroby pielęgnują nas w starości. Don Ignazio miał ważne nieporozumienie z Rządcą wyspy, sławnym Tacon'em, który był bardzo despotycznym. Ignazio miał zapaloną głowę; zaczął

szukać przygód, spieniężył majątek, uzbroił statek, zgromadził bandę awanturników, i korzystając z wojny wybuchłej między Hiszpanią a jej osadami, zaczął rzemiosło korsarskie. Banda jego była mu zupełnie oddaną. Z jej pomocą udawało mu się od czasu do czasu zachwycić korzystną zdobycz, oszczędzał on zawsze osady okrętowe a zagarniał tylko pieniądze i towary, i nie zaniedbywał nigdy uwiadomić o tém gubernatora Takona, który wściekał się ze złości. Życzył on wziąć mnie z sobą; ale to rzemiosło nie odpowiadało mojemu spokojnemu usposobieniu. Zacząłem mały handel, który mi się wiódł dobrze, handel drobnych wstążek, korunek, i przedmiotów służących do ubioru, na które ludzie naszego plemienia, jak pan wiesz, są bardzo chciwi. Tymczasem syn mego pana doszedł już bardzo znacznej fortuny. Opanował następnie małą wyspę Galveston, naówczas pustą, z której zrobił punkt środkowy swoich działań. Przypadek chciał, że pewnego dnia, w kawiarni w Hawannie, znalazłem się obok dwóch Amerykanów bardzo gadatliwych. Byli to owi awanturnicy samochwały, których napotykałeś w Texas tak wielką liczbę. Ludzie ci przybyli z Opetuzas, mieszały często imię don

Ignazia do swojej rozmowy. Nadstawiłem ucha.

— Wieluż nas jest? zapytuje jeden.

— Prawie sześćdziesięciu, odpowiedział drugi, tak z Arkansas jak i z Luiziany. Zdaje mi się, że to aż nadto dostateczne żeby dać sobie radę z czterdziestą lichymi Hiszpanami.

— Ignazio nie wygodny dla nas i ludzie których ma pod swoją ręką nie lepsi są od niego.

— Ba! interes jest bardzo dobry; i my go nie zaniedbamy. Takon daje nam broń i pieniądze.

To mi się wydało bardzo znaczącem, słuchałem więc z większą uwagą.

— Skóry czerwone nam pomogą, mówił dalej Amerykanin; to są Kuszaty którzy nie przebaczą nikomu. Oni są teraz w wojnie z Ignazio, przekonani że to on i jego banda uprowadzają im stada, wtedy kiedy to my robimy te wyprawy. To pewna że będziemy korzystać z czasu, i że *Skóry-Czerwone* w liczbie pięciu lub sześciu set, napadną wyspę; my pójdziemy tuż za nimi. Ignazio ani się będzie domyślał czegobądź. Napadniemy w nocy na tych łotrów i pojmiemy tego bałwana.

— Kiedy?

— Potrzeba nam jeszcze miesiąca dla urządzenia tego wszystkiego i porozumienia się ze Skórami Czerwonemi.

— Jestem wasz.

Porzuciłem ich; byłem dostatecznie oświadczony. Przepłynąłem zatokę, i udałem się do Galveston, gdzie zawiadomiłem Ignazio o tém co mu zagrażało.

— Bardzo dobrze, rzekł mi, trzeba ich złowić w sidła, które na nas zastawiali, i to nie będzie trudno.

Wysłał szpiegów, którzy mu zdali najdokładniejszą sprawę ze wszystkich poruszeń jego nieprzyjaciół, porozstawiał warty na wszystkich stronach wyspy, i przygotował się do wytrzymania prawdziwej wojny. Ja wróciłem do Santiago, gotów dawać mu wszelkie wiadomości mogące być użytecznemi. Ci panowie, którzy nie spodziewali się, że już ich wytropiono, posuwali dalej swoje plany działania.

Podczas jednej bardzo ciemnej nocy Marco wój spiskowi, Kuszaty i Amerykanie, wylądowali na wyspę w sześćdziesięciu łódkach. Wyspa ta jestto język ziemi podługowaty i bardzo wązki, zupełnie równy, bez drzew i innych zabudowań oprócz rodzaju małej baszty położo-

nej we  rodku. Wszystko by o w cicho ci. Par  koni zaledwie dostrzedz by o mo na b adzcych na pastwiskach. Sdzili si e zupe nie pewnymi powodzenia, i Amerykanie powiedzieli do *Sk or-Czerwonych*: »p jdziemy naprz d, i bynajmniej was nie potrzebujemy.» *Sk ory-Czerwone* sprzecza i si e ze swymi przyjacio mi o zaszczyt wyprawy, i wszyscy post pujc bez przezorno ci, z powodu wielkiego milczenia kt ore ich zabezpiecza o, skierowali si e ku blockhausowi. By y tam trzy ma e armatki postawione z ty u za palissad; palissada spad a, i zacz e a si e straszna rze . Garnizon nieprzesta  wa  dawa  ognia; a *Sk ory-Czerwone* i Amerykanie, wa c si e jedni na drugich a  do morza, zaledwo mieli do c czasu do wpakowania si e znowu na  odki. Ale przewidziano t e zupe n pora k , i dwa ma e schoonery, tamujc przejs cie uciekajcym, doko czy y ich zniszczenia, i zabra y sze cdziesit  odzi i ca  bro .

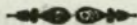
Doni s  mi o t m ma y murzyn, kt orego przys a  do mnie don Ignazio. Do listu kt ory napisa , do aczona by a summa 13,000 dolar w, kt ore u y em na prowadzenie dalej handlu mojego, i kt ory mi poszed  bardzo korzystnie. Zarazem oznajmi  mi,  e si e wyrzeka

swego stanu i zostaje obywatelem Stanów-Zjednoczonych, gdzie sądzi że zostanie właścicielem i kapitanem jakiego parostatku na Mississipi. Dodawał, że jeślibym za dwa miesiące, chciał przybyć do niego do Nowego Orleanu, do miejsca które mi wskazywał, to on zachowa na swoim pokładzie dla mnie posadę, która będzie mogła powiększyć mój majątek. Tak tedy zostałem szafarzem, piwniczym; wyborny to stan, panie, który przynosi mniej więcej 30 procentów od kapitału. Niestety straciłem dobrego pana i przyjaciela, ale już się przyzwyczajono do mnie, i nowy właściciel sądził za rzecz właściwą mię zatrzymać.

Oto jest, panie, cała moja historia; ja może jestem jedynym murzynem, który się wzniosł w tym kraju tak wysoko. Zbieram pieniądze, dla tego że pokornie służę republikanom.

.....

Zmuszony jestem przerwać mój list, przyzywają mnie bowiem dla udania się do słynnej i pysznej Niagary, która huczy u stóp moich. Opowiem wstrząśnienia którym świeżo uległ ten stary władca.



IX.

Niagara. — Wykruszanie się skał — dwa wodospady — sklepienie kryształowe. — Z Syrakuzy do Utyki przez Rzym — jak się płynie w dół prądu S-go Wawrzyńca „Abskwantilatować się.” — Wiadomości — lokacye, obrachowania. — Śmieszna rozmowa. — Francuz z czasów Ludwika XIV. — Kanada stracona. — Przypadek wydarzony sir Franciszkowi Head.

Namiot przy Niagara, 10 Października 1849.

Przyrzekłem wam dokładne szczegóły o niedawnych wstrząśnieniach Niagary. Mam możność wystawić wam teraźniejsze rzeczywiste przeznaczenie tej wielkiej osoby i jej przyszłość. Oto jestem na przeciw jej tronu w towarzystwie sławnego inżyniera który rzucił na falach S. Wawrzyńca most wiszący żelazny tak zadziwiającej śmiałości.

Hotel *Pavillonu*, w którym mieszkam, po rozstaniu się z Josém czarnym piwnicznym, panuje nad wodospadem i znajduje się prawie na dwieście stóp nad powierzchnią rzeki. Wodospad, jak wiecie, rozdziela się na dwie części,

jedna z nich należy do Kanady, druga do Stanów-Zjednoczonych. Między dwoma oddziałami tego tarasu i tego wodospadu olbrzymiego, znajduje się wyspa *Kóz*, która je dzieli, a łączy z brzegiem amerykańskim mostem wiszącym, budową prawie czarodziejską, której łańcuchy z żelaza kręconego wydają się [zdaleka podróżnym jak witki chwiejące się na gałęziach dwóch wierzb płaczących. Z balkonu pokoju z którego piszę do was, daje się widzieć tylko część amerykańska wodospadu, i teraz kiedy księżyc świeci na stronie południowej horyzontu, część właśnie obrócona na północno-zachodnią stronę, pogrążona jest w cieniu. Słyszę tylko grzmot wieczny i ponure jęki tej ogromnej masy wody upadającej. Pochłania ona wszystkie inne głosy przyrodzenia; i niewidzialną jest prawie wśród jasności którą lasy są zalane. Wszystko to jest raczej wielkie niżeli piękne; zdaje się że księżyc większy, niebo błękitniejsze; głębie powietrzne bardziej oddalone, obłoki białsze, powiew wiatru gwałtowniejszy, deszcz w gęstszych kroplach, widnokregi bardziej oddalone aniżeli w starym świecie; nareszcie jakby wschody z wód szalejących, któreby z łatwością objęły w jedno trzysta wodospadów takich jak

w Schafhauzie. Jeżeli Europejczyk nowo przybyły w te okolice, zamiast przesadzania swoich wrażeń rzeczywistych, zajmie się ich badaniem, przekona się że prawdziwy wpływ jaki na niego wywiera ten kolosalny rozwój wszystkich sił przyrody, nie jest uczuciem przyjemności ale raczej osłupienia i ogłuszenia. Wiecie zapewne że wodospad niszczy sam siebie stopniowo i cofa się z roku na rok; ucieczka łagodna i powolna, która zresztą nie pociąga żadnych następstw za sobą, jak tego dowiodę. Ten olbrzymi gżéms skalisty, z kąd wody od stworzenia świata spadają na dwieście stóp na szerokości trzech czwartych mili, zużywa się koniecznie trochę pod działaniem tak nieustanném i tak silném. Skała traci takim sposobem około jednej stopy na rok, a skutkiem tego, massy wód tyleż ustępują. Jeżeli przypuścimy że niegdyś zajmowały one miejsce Kingstonu, potrzeba było 40,000 lat aby zajęły obecne swe położenie. Potrzeba będzie jeszcze 100,000 lat aby dójść mogła do jeziora Erié, ku któremu się kieruje ich pochod wsteczny. Chciałem objąć wodospad jednym rzutem oka z góry; a tu właśnie trzeba go rozpatrywać z dołu i wprost na przeciw spadu. Byłem zrazu zbity z tropu jak wszyscy

podróźni, ponieważ tak jak oni źle się do tego wziętem i wybrałem zły punkt do patrzenia. Wodospad rozciąga się na podwójnej linii złamanej, tak rozlegle, że szerokość tego nieforem- nego tarassu niestosowna do jego wysokości, zmniejsza znacznie ogólne wrażenia. Niagara, jak wszystko to co wielkie, zyskuje na bliższém rozpatrzeniu.

Ze strony Clifton-House, przeciw wodospadu zwanego amerykańskim, należy przypatrywać się temu wielkiemu zjawisku. Przybywa się tam przez bardzo piękną aleję która idzie lewym brzegiem rzeki. Wczoraj, o południu, słońce błyszczało w całej okazałości, i mgły ranne rozproszyły się, kiedym się udał do Clifton-House. Ciągłe zagłuszony wiecznym grzmo- tem rzeki, ale oddychając z radością świeżem i zdrowem powietrzem lasów i jezior, wkrótce doszedłem jakby do portyku, z kąd mogłem zmie- rzyć okiem podwójne wzniesienie skał. Kilka kłębów, podobnych do śniegu albo do piany kręciły się na spodzie podwójnej massy wody, widok prawdziwie wspaniały. W środku tego co nazywają *podkową*, słup pary wznosił się jak kolumna kręcona i powiewał jak biała cho- rągiew na szczycie wodospadu. Ten spadek

podkowa winien swoje nazwanie zakrzywieniu półkolistemu, które tworzy wielki gżems, z którego ciskają się bałwany. Oko śledzi na prawo i na lewo dwie linie nieregularne i ukośne opierające się o skałę odosobnioną w środku, która się nazywa *Wyspą Kóz*, i która zajmuje mniej więcej czwartą część całej przestrzeni. Wyobraźcie sobie ogromny taras złożony ze stosów kamieni albo skał, któryby się zaczynał od pawilonu Flory w Tuilerjach, i któryby linią ukośną przerzynającą *Most Nowy*, kończył się przy *Jardin des Plantes*, (ogrodzie botanicznym). Przypuście pod tą linią poprzeczną rozbitą w kilku punktach i przerwaną przez wyniosłą płaszczyznę *Nowego Mostu*, przepaść na sto pięćdziesiąt a nawet na dwieście stop, gdzie spadałyby wody ciskane z wierzchołka tarasu, pozostawiając na suchem miejscu posąg Henryka IV, na kilka sążni na około: oto Niagara.

Co jest dziwném a zgodném jednak ze słabością naszego rozumu, to że ten sławny wodospad zdawał mi się nadewszystko zajmującym i pysznym w miejscu w którym go już widzieć nie mogłem. Pod łukiem wilgotnym i przezroczystym, który on opisuje, rzucając się, ze skal-

nego progu i tam tylko, muszę wyznać, doznałem nakoniec wzruszeń uroczystych, do których każdy podróżny się gotuje, a które mię zrazu zawiodły. Około trzeciej godziny, udałem się za moim przyjacielem inżynierem, i weszliśmy śmiało na most prowadzący do *wyspy Kóz*. Jak on doszedł do tego, że go zbudował w podobnym położeniu? to jest właśnie o czém nie mogę mieć żadnego wyobrażenia: pręty żelazne odpowiednio ułożone i okręcone, unoszą tę lekką i nadzwyczajną machineę. Most drżał, wody huczały pod naszymi stopami; ich ruchome zwierciadło roztaczało się jak srebrna matterya na cylindrze w ruch wprawionym; narazie przybyliśmy. Skoro tylko stanąłem na wyspie, znalazłem się między spadkiem wody amerykańskiej i Kanadyjskiej z uszami ogłuszonemi ich hałasem i oblany pryskającemi kroplami ich wód. Upewniam was, że to bardzo szczególnie wygląda, czuć się tak ścieśnionym między dwoma jakby płomieniami płynnemi. Z pod skały zstępował jakby zwieszony dość urwisto lasek, w głębi którego otwiera się przepaść. Wschody drewniane kręcone ułatwiają zejście, i prowadzą podróżnego nie tylko do stóp wodospadu, ale nawet pod niego.

— Idź sam jeden, rzekł do mnie inżynier; murzyn Zambo będzie ci towarzyszył; co do mnie, jestem przesycony temi wrażeniami.

Zambo, nasz czarny przewodnik, który szydził sobie ze mnie po trochu pod swoją cęratą, był zupełnie tegoż samego zdania co inżynier; jestem tego pewny. Poprzedził mię na tych wschodach pokazując swoje ogromne zęby białe i żartując rzekł:

— *Massa*, rzekł do mnie, to noc, zupełna noc tam; i zawsze dęszcz, zawsze dęszcz!

Im więcej zstępowaliśmy, w samej rzeczy, tém więcej ciemność się powiększała. Na prawo i na lewo, wśród półcienia, kolory tęczy tańcowały i mieniały się, kręcąc się walca nieskończonego. Im więcej się wpatrujesz, tém mniej widzisz. Schodząc dalej znaleźliśmy się pod wielkim wodospadem. Tam to się zaczynają czary, pałac kryształowy wróżki Ondiny. Dwie przestrzenie wód, rozdzielone u swojego źródła obchodzą podstawę wyspy, a łącząc swój rzut podwójny, tworzą jedną tylko arkadę która zawsze się toczy, i pod którą się przechodzi. Byłem przemokły, ale zachwycałem się; a Zambo, którego zęby szczękały od zimna, miał minę taką jakby żartował ze mnie z całego serca.

— *Massa*, rzekł do mnie, patrz w górę. Deszcz wielki; ale *Massa* zaraz będzie suchy? Uczyniłem tak jak mi wskazał i strumień zimny, który zapowiedział, skąpał twarz moją. Rzeczywiście, rzecz warta była widzenia. Wszelkie wspomnienie zwyczajnych krajobrazów i ziemskich widoków, zniknęło. Kiedy wzniesiesz oczy, widzisz tylko jedną arkadę wspaniałą, wirującą, białawą jak perłowa koncha, błyszcząca na dwóch kończynach odcinka koła, który opisują wody światłem błękitném i ruchomem a w środku blado zieloném, popręgowaném białemi żyłkami jak najpiękniejszy marmur. Zgadzałem się że trochę za drogo kupuje się ten świetny widok. Ogromne chodaki i suknie nieprzemakające, w które byłem zaopatrzony, nie ochroniły mię od tego że przemokłem aż do kości, ku największemu zadowoleniu mojego przewodnika murzyna, przyzwyczajonego do tego wiecznego strumienia, który mu dawał sposób do życia.

Montreal, 15 Października 1849.

Podróżowałem bardzo prędko. Brzmiał mi jeszcze w uszach grzmot Niagary, kiedy prze-

płynąwszy w górę S. Wawrzyńca, wylądowałem w Buffalo, osobliwszém miasteczku położoném na brzegu jeziora Erie, które okazuje wszystkie cechy portu morskiego. Jego to bram sięga żegluga tych mórz wewnętrznych, połączonych wybornemi kanałami. Z Buffalo do Rochester, i z Rochester do Auburn, przez jezioro Cayuga, podróż moja była tak szybka, że miałem zaledwo tyle czasu ile potrzeba dla zauważania urozmaiconej piękności krajobrazu i nadzwyczajnej czystości wiosek, dość podobnych pod tym względem do siedzib położonych nad jeziorami Konstancyeńskim i Genewskim. Z Auburn, skierowałem się do małego miasteczka zowiącego się Syrakuzy, a z Syrakuz do Utyki, przejeżdżając przez Rzym. Było nas dwunastu w jednym wagonie, najwięcej dzierżawców i handlarzy zboża z tych stron urodzajnych.

— Jakie to jest miasto, zapytałem u mego sąsiada, otyłego człowieka z miną przyjemną, który bardzo przypominał odpowiedni typ *John Bulla*, tam oto, ta wieża biała, która wystaje nad tuzinem domów czerwonych z cegły?

— To Rzym.

— Rzym?

— Najpewniej! wiem coś przecie o tém, *mieszkam w Rzymie* (I live to Rome) tak jak mnie widzisz. W prędkim czasie, będą mówić o Rzymie. Wieprze są tam wyborne.

— Nie wątpię o tém.

— Piękna to *lokacya* Rzym!

Chociaż nie odpowiadałem, on znowu zaczął:

— Mówię panu, że to jest pyszna *lokacya*.

Odpowiedziałem od niechcienia:

— Zapewne.

— Ja *rachuję* że wiesz cudzoziemcze, co to jest *lokacya*? odpowiedział.

— Zgoła niewiem.

Wybuchnął w głos śmiechem homerycznym.

— Wy ze starego świata, nie macie *wiadomości*, najmniejszej *znajomości* rzeczy.

— Niemam rzeczywiście *wiadomości* o tém, odpowiedziałem śmiejąc się.

— *Lokacya*, widzisz cudzoziemcze, ja *rachuję*, że to jest miejsce gdzie się budują; i *rozumiem* że żadna część świata nie ma tak pięknych *lokacyj*, ani *utkwienia* się rokoszniejszego.

— Brałem tym sposobem lekcją języka amerykańskiego, tak tanio, że sądziłem iż powinienem podtrzymywać rozmowę zacnego dzierżawcy rzymskiego.

— Cóż to są te *utkwienie* zapytałem go.

— To nie do uwierzenia, żeby tego nie wiedziano, *utkwienie* jest to dóm, pole, które się uprawia, miejsce gdzie się zatrzymują.

— Bardzo dobrze, lubię uczyć się, i jestem wdzięczny.

— A, tak, od jakiegoż to czasu, cudzoziemcze, jesteś *absquantilatowany* z twojego kraju?

— *Abs...? quan...?*

— *Abs-quantilatowany* odpowiedział odrywając sylaby i śmiejąc się tak, że się rozlegało oddalone echo po jeziorze Cayuga.

— Powiesz że jestem jeszcze wielkim nieukiem ale oto nowy wyraz, którego nierozumiem.

— Widać żeś fryc zupełnie nowy, cudzoziemcze. To jest właśnie co Anglicy nazywają »*zrobić się mniejszym*» wyjechać. Od jak dawnego czasu opuściłeś stary kraj dziki?

— Od roku mniej więcej. Przejechałem całą Amerykę.

— Aż do *Nosów błękitnych*?

— Co chcesz powiedzieć?

— Pytam się czyś widział. *Nosy błękitne*, lody Kanady i Shelburn?

— Właśnie je odwiedzę, a następnie wrócę do Waszyngtonu.

— *Wielka wiadomość!* Chcesz widzieć całą Amerykę? Niema kraju podobnego, nieprawdaż? Porażamy świat cały na głowę, mierzemy go, i to *wielkim półtłokciem*, he?

Odpowiedziałem temu dobremu obywatelowi, czystemu typowi małego handlarza i dzierżawcy z New-Hampshire, że znalazłem wiele pięknych i dobrych rzeczy w jego kraju, i że szacuję nadewszystko ten żarliwy patryotyzm, który przez niego mówi, a który ożywia wszystkich Amerykanów jakich spotkałem w mojej drodze. Przedłużał swoją pochwałę *Unii* w dyalekcie właściwym klassie rolniczej i rzemieślniczej. Jedno z najśmieszniejszych wyrażeń tej frazeologii, jest *absquantilating*, co znaczy »odejść'' *to go out*. Filozofowie nie zaniedbają zauważać, że te wyrażenia niby nowe, należą do pospolitego narzecza przedmieść Londyńskich, że niegdyś szczyły się one prawem obywatelstwa w Blackfriars i Westminster, i że nareszcie większa część ich odnosi się do wyobrażeń przemysłu, handlu, i spekulacyi. Przebywszy wodospady Trentona najałem konika i udałem się drogą poboczną do Kingston gdzie wsiadłem na statek na rzece Świętego Wawrzyńca. Dwa parostatki

chodzą po téj rzece, jeden idzie tylko do Lachino, drugi udaje się dalej aż do Montreal. Wybrałem ten z dwóch, który przebywszy sławne skały Lachina, zatrzymuje się w téj wsi, gdzie chciałem odpocząć. Jest to żegluga straszna i wspaniała, ciekawy przykład wielkiej walki przyrodzenia amerykańskiego poskromionego przez człowieka. Oto jest prawdziwy dramat kraju w którym jestem, dramat nadający mu taki interes i który nie ma nic równego w Europie. Człowiek oświecony europejski wypowiada wojnę człowiekowi, którego interes krzyżuje jego interes. Tu jest tylko jeden wielki interes powszechny: podbić przyrodzenie pod naszą władzę, osuszyć bagna, usunąć wyziewy zaraźliwe, okiełzać wściekłość wielkich wodospadów, przerznąć kanały, wyciąć lasy, użyźnić dzikie stopy, złączyć kolejami żelaznymi odległe miasta. Często się zdarza że te potęgi nieprzyjazne, człowiek i żywioły, walczą jeszcze o zwycięstwo. Widok zachwycający.

I tak wielki *Sault* Świętego Wawrzyńca do przebycia, jest prawdziwym szalonym wyskokiem, który niemało przeraża tych co go wykonywają, i którego pamięć na zawsze się zachowuje.

Na naszym parostatku, oprócz stérnika i kapitana, mówiącego wtedy tylko, kiedy wydawał rozkazy tonem zawsze surowym, był jeden jeszcze czy dwóch mieszkańców z Menu, z postawą sztywną i twarzą czerwoną, i cała osada młodych Anglo-Kanadyanek należących do jednej z najszanowniejszych rodzin kraju, dobrze wychowanych, bojaźliwych jak gołębie, i umieszczonych pod strażą prawdziwej ochmistrzyni angielskiej *prim* i tak pełnej morałów jak córki Kromwella. Kiedyśmy minęli ujście Oswegatchie, rzeki której wody czarne jak atrament toczą znaczną ilość mułu, przebyliśmy bez trudności dwa czy trzy pierwsze prądy, które nie mają nic strasznego, i zatrzymaliśmy się przez kilka minut przy stacyi Dickenson (Dickenson's landing) aby się przygotować do wielkiego skoku, któryśmy zaraz mieli wykonać. Tam się zaczyna piękny kanał Świętego Wawrzyńca, przeznaczony do omińnięcia tego skoku trudnego dla statków, które nie są tak zbudowane aby stawić mu czoło. Wkrótce udaliśmy się znowu w drogę; parosiatek zaczął na nowo swą powinność, kapitan i jego ludzie stali się czynniejszymi, bardziej ponurymi i uważniejszymi, aniżeli uprze-

dnio; a cała osada żeńska, blada jak śmierć, skryła się do kajuty. Zostałem sam jeden na pokładzie. Fale rozbijały się i roztrącały o wzgórze liczne i zieleniejące, które nas oddziały od brzegu amerykańskiego; parostatek szedł brzegiem Kanadyjskim daleko niebezpieczniejszym. Prąd, który zachował swoje stare francuzkie nazwanie *le Grand Sault* (Wielki skok) był przed nami. Jego wody burzliwe pieniały się, huczały, wrzały z przerażającą wściekłością; odgłos jakby grzmotu dawał się słyszeć, i wszędzie na powierzchni tłuczonych ryczącymi falami, podnosiły się jakby grzbiety białe i pienne, które wieczny wichur kręcił wirem. Przez ćwierć mili śliznęliśmy się po pochyłości dość nagłej, aż do chwili kiedy poruszenie fal, stając się coraz gwałtowniejszym, oznajmiło nam, że niebezpieczeństwo się zwiększało. Jeszcześmy tylko widzieli jakby wstęp do prawdziwego *Prądu*; każdy zatrzymywał oddech, i i rodzaj osłupienia udzielił się całej osadzie, podróżnym i majtkóm, licząc w to i sternika. Była to chwila przesilenia. Wodospad obejmował nas szalonym usciskiem. Zdawało mi się zrazu że stoimy nieporuszeni, otoczeni chaosem fal grzmiących; że wszystko, skały, lasy, brze-

gi, widnokrag, skakało i kręciło się w potwornym walcu. Wkrótce poznałem że statek zstępował albo raczej spadał jak kamień rzucony w przepaść. Jego koła, parte płomieniem, dzielnie walczyły, a ich obrót wzrastający od gniożącego ciężaru, stawał się niedostrzeżonym już dla oka. Zrobiliśmy tym sposobem kilka mil w pięciu czy sześciu minutach. Nareszcie ta przerażająca scena stawała się spokojniejszą; wszystko ucichło, i statek zdawał się oddychać. Sądziłem że się zbudzam ze snu. Za nami wodospad huczał zawsze; powierzchnia była mniej pochyła; łożysko rzeki się ścisnęło, a bieg bardzo gwałtowny nas unosił, ale już nie rzucał nami.

Po takim doświadczeniu, inne *Prądy* któreśmy przebywali, *skok pagórkowy*, *skok Kaskady* a nawet *Lachine*, zdawały mi się prawdziwą igraszką dziecinną. Byłem przy sterniku, którego szczególny wyraz twarzy, cera brunatna, czoło wysokie, mina surowa i nos łąkowaty, zdawały mi się bardzo charakterystycznymi. Dowiedziałem się, że to był Indyanin *Chippeway* który się już stał cywilizowanym.

— Już tu niema wielkiego niebezpieczeństwa, rzekłem mu, nieprawdaż?

— Tu mniej wody, ale więcej niebezpieczeń-

stwa, odpowiedział mi lakonicznie narzeczem bardzo dziwnie pomieszaném; będziemy rozmawiali później; niech każdy będzie na swém miejscu i ani się ruszy. Z okiem wlepioném na koło którém ramie jego kierowało, zdawał się najsilniej uważać, żeby statek ani na jotę nie zboczył z linii, na którą wzrok jego był utkwiony. Ku końcowi naszego zstępowania, spód okrętu dotknął zlekka gruntu skał; statek zawahał się gwałtownie, woda trysnęła ogromnymi falami na pomost, kilku podróżnych miało jęć aż do kolan, a stérnik powiedział mi:

— Teraz koniec; ale na tych skałach nie jeden okręt zostawił swój szkielet.

Na lewo wznosiła się piękna stolica staréj Kanady.

.....

Od przybycia mojego do Montreal, zostałem zadziwiony ogromną różnicą między przemyśłem, oświatą, czynnością Stanów-Zjednoczonych niepodległych, a rodzajem odrętwienia w którém wegetują, pomimo usiłowań Anglii, te zachwycające osady które Francuzi założyli i opuścili. Takie same to przeciwieństwo jakie w Irlandyi przedstawiają kantony uprawiane przez Szkotów pokolenia anglo-saksoń-

skiego względem tych, które zajmują Celtowie irlandzcy. Brak rzeczywistego udziału w bycie politycznym i bezpiecznej przyszłości, działa na ludy tak jak narkotyki na mózg, to są właśnie jadowite żywioły, które paraliżując kredyt, niszcząc nadzieję, zawieszając postęp, uderzają narody letargiem a nareszcie śmiercią.

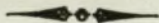
Pod przewodnictwem starego szlachcica dzierżawcy z Kanady, Francuza aż do szpiku kości, i mówiącego jeszcze językiem Ludwika XIV, przebiegłem szybko stosownie do mojego zamiaru, te zajmujące prowincye, które opiszę kiedyś pod względem obyczajów i stanu ich teraźniejszego. »Francya straciła wszystko w tym kraju, rzekł mi P. de F... Od ujścia Świętego Wawrzyńca aż do *Wielkich Jeziór*, a od tych, aż do ujścia Mississipi, znajdują się tam jeszcze nadzwyczajne ślady naszego panowania, które dzisiaj zniknęło. Za panowania nieboszczyka króla Ludwika XIV, Anglia zaledwo zajmowała skromny pas ziemi wzdłuż brzegów morza Atlantyckiego; a my posiadaliśmy obwód kilku tysięcy mil, broniony przez piękne fortece i dobre bastiony. Stary i uczoney podróżnik Thevet ochrzcił to wszystko nazwiskiem Francyi *Antarktycznej*. Gdzież są te zamki, domy han-

dłowe, kościoły, któreśmy pobudowali? To państwo wspaniałe, które inny naród mniej pospiesznie skory do niszczenia, a zdolniejszy do fundowania, broniłby do ostatniej kropli krwi swojej, w cóż się obróciło? Nie widać już nigdzie naszego sztandaru, czy to on biały czy trójkolorowy. Wiecie przez jakie stopniowania nagle po sobie następujące, ta piękna potęga się skruszyła. Zamiast posyłania nierozważnie wojsk na pomoc tej osadzie purytańsko-angielskiej któraby się zapewne obroniła i oswobodziła sama jedna, P. markiz de Vergennes i P. hrabia de Choiseul lepiejby uczynili, żeby pomyśleli o naszych własnych posiadłościach i zachowali naszą starą osadę francuzką. Ustąpienie tego pięknego kraju było jedną z pierwszych oznak osłabienia i niemocy socyalnego ciała państwa francuzkiego. W początku terażniejszego wieku, Francya ustąpiła jeszcze za kilka groszy Luizianę, prowincyą posiadającą korzyści wszelkiego rodzaju handlowe, rolnicze, i polityczne, kraj w którym człowiek z geniuszem zakładałby według upodobania rzeczypospolite i królestwa. Taki to sposób postępowania wzbudza śmiech naszym kosztem w Anglikach i naszych sąsiadach, panach Ame-

rykanach, którzy zresztą są tylko przesadnymi Anglikami. Wszystko to się zakończy pochłonięciem nas Unią. Anglicy do tego się przygotowują. Codziennie się zajmują rozprzęganiem pomału więzów łączących nas z monopolią; nadają więcej władzy municypalnościom, ciałom prawodawczym, i takim sposobem sprzyjają zamiarom *Sympathizerów*, jak nazywają Amerykanów sprzyjających przyłączeniu Kanady do Stanów. Wydarzyła się z tego powodu prawdziwie oryginalna przygoda Sir Franciszkowi Head, człowiekowi słynnemu z wielkiego rozumu i pięknych książek które napisał. Był on gubernatorem i torysem, i był zmuszonym pokroczyć małe powstanie prowincyi Toronto. Po tej wyprawie w której zwycięstwo przy nim zostało, niejaki Bilfield, adwokat i człowiek pełen zdolności, który poduszczał rozruch ciągłym potokiem słów, sądził właściwem poddać się dobrowolnie w ręce gubernatora, prosząc go o przebaczenie przeszłości. Sir Francis postąpił bardzo szlachetnie w tym przypadku, i oddał mu pakiet listów przejętych, korespondencyą Bilfielda ze sławnym Papineau; było tam za co kazać go powiesić. Żądał zarazem od Bilfielda obietnicy na piśmie aby przeszedł do

Stanów-Zjednoczonych i ani stopy nie postawił nadal w posiadłościach angielskich. Bilfield podpisał, pojechał i stał się obywatelem Unii, która go przyjęła z otwartymi rękami. Zaledwo zaszła ta umowa, przybywa goniec z Kwebeku i przywozi gubernatorowi depeşe ministeryalną, uwiadamiającą go o naznaczeniu na jego miejsce następcy i która go mocno nagańiła za to, że był zanadto srogim dla Bilfielda i nie dość się zastosował do zasad demokratycznych. Nie powiem żeby to nie było bardzo zręcznie. Dzięki podobnym zręcznościom, Kanada nie wymyka się jeszcze z rąk swoich posiadaczy. Ale któż był zawstydzony i zdziwiony? nasz gubernator, który wrócił ztamtąd do swojej Anglii, aby pisać tam romanse i podróże, rodzaj pracy, w której uchodzi za mistrza.”

Jedziemy jutro, P. de F... i ja, do Bostonu, gdzie on ma jakieś interessa do załatwienia. Ztamtąd myślę udać się sam jeden do Waszyngtonu najprętszym pociągim, aby tam być obecnym posiedzenióm obu Izb. Spodziewam się zrobić z wami przegląd mówców i ludzi politycznych tego *starego świata*, który umie tak dobrze odnawiać przeszłość bez skruszenia przyszłości.



X.

Opowiadanie o Fenimorze Cooper. — Z Montreal do Shelburn i z Shelburn do Waszyngtonu. — Historia Wilhelma Canandegua. — Karawana w Kalifornii. — Kapitolium. — Posiedzenie Izby Reprezentantów. — Odjazd do Europy.

Waszyngton, 25 Października 1849.

Sławny romansopisarz Fenimore Cooper, którego dzieła znacie, okazał się mi z pewną zupełnie nową zdolnością. Podróżowałem, a podróżowałem bardzo szybko do Waszyngtonu, w towarzystwie P. de F. Anglo-Kanadyjczyka o którym mówiłem, i przejeżdżaliśmy przez Utikę, miasteczko małe, które odwiedziłem jadąc do Montreal. Pogoda była piękna; przechadzaliśmy się od niechcienia po ulicach, gdy w tém zwróciło naszą uwagę ze dwadzieścia ludzi, skupionych przed drzwiami trochę od innych większemi. Weszliśmy. Był to miejscowy urząd sprawiedliwości. Człowiek urody dość wysokiej, chudy, z żywém okiem, którego włosy białe i fryzowane ozdabiały dość wdzięcznie twarz wy-

razistą i przyjemną, przed sądem złożonym z trzech sędziów i kilku assessorów ubranych w suknie cywilne, bez tog, bez biretów, i bez insygniów żadnego rodzaju, bronił sprawy która zdawała się bardzo zajmować słuchaczy, sędziów i jego samego. Był to Cooper.

Pewien Stone, którego nazwisko oznacza jak wiecie po francuzku, *Lapierre*, ogłosił niewiem w jakim dzienniku amerykańskim krytykę gwałtowną przeciw dziełu Coopera o *Marynarce Stanów-Zjednoczonych* i o jej dziejach. Zapozywany za potwarz przez historyka, Stone, na obronę swoją poddał się naprzód kondemnacie za niestanność co w Anglii i Ameryce nazywa się terminem technicznym *demurrer*. Cooper podjął się podtrzymywać osobiście ważność pozwu; pomarańcza ukryta w dłoni służyła mu do odświeżania od czasu do czasu ust spieczonych, i do pokrępienia jego wymowy nie nader obfitej i łatwej. Zatrzymywał się za każdym frazesem, wracając zawsze do dobroczynnej pomarańczy, sposób wygodny który pośpieszam udzielić waszym mówcom niedoświadczonym. Wielka część jego dowodów krążyła około faktu ubocznego, który dotyczył się tylko sposobem pośrednim samej obrony. Stone, od-

ważny demokrata, i naturalny przeciwnik Coopera, którego zdania polityczne, zarazem przesądami europejskimi i monarchicznymi, nie zgadzały się bynajmniej z opinią większości jego współziomków, przed kilką laty wydał dzieło historyczne w tym przedmiocie. Zdawało się że w niem znalazły się grube błędy. Cooper je zacytował, i potem łatwo tryumfował. Ostatni dowód przytoczony naprzód przez adwokata jego własnej sprawy, zyskał wszystkie głosy. Dowód nie był mocny, jak to zobaczycie: »*Lapierre* (Stone) zawołał, zanadto jest narażony sam na krytykę, aby miał prawo krytykować swoich współbraci. Jego dóm jest szklanny; czyliż to więc *Lapierowi* rzucać kamień (la pierre) na dóm sąsiada? Ta śmieszna igraszka słów zapewniła mu zwycięstwo.

— Cóż o tém mówisz? zapytał mię P. de F. w chwili, kiedy ciżba rozchodziła się dawszy oklaski.

— Otóż nowa metoda wprowadzona do krytyki literackiej.

— Powiem ci rzecz większą. Fenimore Cooper stracił oddawna tę popularność jaką mu zjednały jego narodowe romanse. W dwóch czy

trzech poważnych dziełach, znieważył on swoich współobywateli, oskarżając ich o próżność, chciwość, i wszystkie wady, które ojciec Adam i matka Ewa byli tak nierozsądnymi, że zostawili w spuściznie zarówno wszystkim żyjącym. Młode narody są tak jak młodzi ludzie, nie lubią napomnień. Cooper oddawna znienawidzony przez swoich współziomków, drażliwy bardzo na punkcie honoru narodowego, spostrzegł cały ogrom błędu swojego. Próbuje dzisiaj nagrodzić to trochę, całując łapę lwa popularnego. Do tego właśnie zmierza ten wielki popis, któremu tylkokośmy byli przytomni. Nieźle mu się on udał.

— To oryginalne i bezpieczne.

— Jak chcesz, odpowiedział niewzruszony szlachcic; ale jakkolwiek jest oryginalną ta scena, uważam ją za niecną. Pod nieboszczykiem królem Ludwikiem XV. PP. Filozofowie głośno krzyczeli na najmniejsze pochlebstwo, odnoszące się do panującego lub jego ulubieńców. Książę albo hrabia trzymający świecznik królowi był uważany jako człowiek uniżający się i śmieszny;— a oto człowiek z wielkim talentem, który trzyma świecznik motłochowi i nikt mu tego nie gani. Udaje błazna aby zabawić

trzech czy czterech tandeciarzy, którzy nim pogardzają. Piękne to rzemiosło!

— Stany Zjednoczone, odpowiedziałem temu staremu poddanemu J. K. Mości Ludwika XV, winne swą siłę tym obyczajóm nieokrzesanym, wojowniczym, śmiałym, przedsiębiorczym, w pół dzikim, w pół oświeconym, uzbrojonym wszelkimi środkami tegoczesnego przemysłu, silnym całą energią pierwotnego człowieka.

P. de F. chciał mi odpowiedzieć, bo nigdy nie był w długi, według chwalebego zwyczaju Francuzów z dobrych dawnych czasów, aż w tém został potracony gwałtownie łokciem i prawie przewrócony przez jednego przechodnia ku nam idącego. Obaj się odwrócili i poznali.

— To Wilhelm! zawołał P. de F.

— Rad jestem, że się z tobą widzę, panie de F. rzekł nieznajomy, ubrany po europejsku, ale bez chustki na szyi, z rękami zagłębionemi w ogromnych kieszeniach spodni czyli *trouvers*, które spadały w jego buty jak u Kozaków stepowych. Nie nazywaj mię Wilhelmem; zrzekłem się tego starego imienia teuteńskiego, również jak i baronii mojego ojca. Nazywam się Canandegua, a od dawnego już czasu, kiedy cię

spotkałem w Kwebeku, stałem się prawdziwie dzikim.

— Zrób nam ten zaszczyt i obiaduj z nami, opowiesz nam to wszystko. Będzie to bardzo ciekawe. Przyjął zaproszenie, wróciliśmy razem do naszego hotelu, mówiąc nawiasem, bardzo dobrego: Stany-Zjednoczone są bowiem krajem wybornych zajazdów. Przepędziliśmy wieczór wspólnie, i miałem przyjemność przypatrzeć się jednemu z typów najgodniejszych uwagi, jakie przedstawia towarzystwo amerykańskie, mieszanina nadzwyczajna wszelkich możliwych cywilizacyj.

Canandegua, albo jeśli chcecie Wilhelm von Lessow, jest człowiekiem oświeconym powróconym do życia dzikiego, i oddanym mu z tym zapałem uniesienia, jakie nawróceni mają zawsze w swoich nowych opiniach. Wyobraźcie sobie człowieka lat trzydziestu, dość małego i chudego, z rysami żywo i delikatnie wykończonemi, z czołem wysokim, okiem czarnem, osadzonem w głębokim łuku, zębami białymi jak kość słoniowa, z cerą zielonkawą i brązową w skutek podwójnego i przeciwnego działania spiekoty i wiatru północnego, z włosami czarnemi i długimi spadającymi na ramiona.

Wychowany w jednym z uniwersytetów niemieckich, znając wszystkie języki europejskie, ułożył dla swego użytku język szczególny, w którym mnóstwo wyrażen oryginalnych wziętych z języków narodowych amerykańskich miesza się z językiem ruskim, niemieckim, i angielskim. Długie lata milczenia, które przepędził w pustyniach, odzwyczały go od mówienia; rzekłbyś, że jakaś przykrywka przytłumia głos jego, którego dźwięki ciche i przyjemne czynią dziwne wrażenie. Człowiek ten, wyrażający się z trudnością, nie mniej jest zdolnym do czytania i pojmowania Hegla, Schellinga i Carlyla i miałem upodobanie służyć go roztrząsającego i spierającego się z towarzyszem moim podróży o doktryny najgłębszych myślicieli czasów teraźniejszych. Przyjąwszy niektóre instynkta dzikiego życia, nie może on ani usiąść u stołu ani pozostać długo na miejscu. Zrenica jego nigdy się nie zatrzymuje na przedmiocie oznaczonym. Ruchliwość wieczna zdaje się konieczną dla jego ciała, równie jak dla kierunku jego wzroku. Oczekiwać, ale się nie lękać nieprzyjaciela jakiegokolwiek i starać się go odeprzeć, taki jest zwykły wyraz i główna treść jego postawy i jego twarzy. Nic mi się nie zda-

wało ciekawszém do zbadania nad ten wynik intelligencji europejskiej w wysokim jój znaczeniu i życia koczującego w ostatecznej jego swobodzie.

— W którą stronę udajesz się teraz? zapytał go P. de F. kiedyśmy skończyli obiad.

— Będę, odpowiedział Canandegua, polował na bawoła w stepach zachodu, albo zapalę ogień w suchych trawach głębokich rozdołów *Gór Skalistych*. Ja tylko, jeden umiem jak widzisz, żyć tak jak żyć potrzeba. Wy, wśród waszego dymu, torfu, wyziewów zaraźliwych, i waszych cegieł źle wypalonych, nie istniejecie w rzeczywistości. To tylko tutaj, w tej nowej Ameryce, mogę zadość uczynić najpiękniejszej z namiętności, namiętności swobody; wy macie tysiące panów; ja mam jednego tylko Pana na wysokościach.

— Ale, rzekłem mu, pozbawiasz się wielu przyjemności.

— Jakich?

— Niemasz księgozbioru do rozrządzenia.

— Mam Biblią.

— Możesz rozmawiać tylko z sobą samym, i taka rozmowa męczy w końcu, nawet największego filozofa.

— Cóż chcesz abym robił z towarzystwem i co towarzystwo ma robić ze mnie? Niemam nazwiska pomiędzy ludźmi i nie znam ich. Tak jak mię widzisz, przebyłem dziesięć lat w najdzikszych stronach Ameryki, około górnych odnóg Missuri i rzeki Kolombii. Zebrałem dwudziestu czterech ludzi Kanadyjczyków, Hiszpanów i Indyan, tęgich zuchów, i potrafiłem ich wyćwiczyć. Gromada ta mająca na swe usługi trzydzieści mułów i mulic prowadziła szczególny handel pod mojem przewodnictwem. Wielki wóz napełniano strzelbami, tytuniem, wódką, naszyjnikami, i wszelkimi sprzętami, które dzicy Indianie bardzo cenią i poszukują. Handlowaliśmy z nimi z pistoletem w rękę i strzelbą nabitą. Przyzwyczaili się oni widzieć nas i szanować. Po niejakiem czasie, zysk był tak znaczny, żeśmy musieli prowadzić z sobą z dziesiątek wozów i więcej czterdziestu mułów. Ludzie moi, uzbrojeni od stóp do głowy, przebywali tym sposobem wszystkie pustynie, nawet zamieszkane przez *Nogi Czarne*, najzawiętszych i najokrutniejszych z dzikich; i tam to prowadzili dalej swój handel, który nas zubożać odpowiednią wartością zamiany. Dawano nam często starą strzelbę łatwą do naprawienia

za kilka szpilek, które tubylec znajdował dla siebie użyteczniejszymi; albo jakich piętnaście dzikich danieli za fajkę. Śmieję się bardzo kiedy widzę waszych filozofów wracających do systemu zamiany; jestto po prostu handel barbarzyński. W nocy, ustawialiśmy nasze wozy w koło, dla bronienia się z większą skutecznością i łatwością przeciw dzikim pokoleniom tych ostatecznych krańców pustyni. Często krzyki wychodzące z głębi lasów ostrzegały nas o mającym nastąpić napadzie; natychmiast ustawialiśmy karabiny tak, żeby lufy przechodziły między wozami, i używaliśmy tych improwizowanych strzelnic dość zręcznie dla odparcia i zniszczenia nieprzyjaciół naszych. Po dwudziestu lekcyach tego rodzaju, zachowali się dzicy zupełnie spokojnie. Nazajutrz po takich walkach, zaczynało znowu handlować jak zwykle. Banda moja żyła tym sposobem długo w głębi parowów, wśród *Gór Skalistych*, osłonięta tymi cyplami na dziesięć tysięcy stop wysokości, które pokrywają wieczne śniegi. Zmuszona też była niekiedy przebiec dwieście mil dla znalezienia wody, i zbliżała się już to do Kalifornii na południe, już do posiadłości kanadyjskich ku północy. Ciągłe handlując,

polując, biwakując, i z bogacając się zawsze, przebiegaliśmy tym sposobem przestrzenie więcej dwóch tysięcy mil. Kiedy nasze wozy były pełne, zatrzymywaliśmy się w jakim ważniejszym punkcie i obliczaliśmy nasze zyski. Wracając do Santa-Fé po tym ogromnym objeździe, nasza gromada liczyła już blisko stu ludzi i czterysta mułów. Przedmioty sprzedane w Nowym Orleanie, w Santa-Fé, w Mobile, i wymienione na złoto i srebro, podwoiły a wkrótce pomnożyły we czwórnasób nasz kapitał. Życie to nam się podobało. Udaliśmy się znowu w drogę i probowaliśmy nowych przejść; nareszcie zabrnęliśmy w pustyni tak wyschłej, że sto pięćdziesiąt moich mułów i wielu ludzi zginęło z zimna, znużenia i głodu. Gromadka moja, stale mi posłuszna, zaczęła się buntować, i miałem wiele trudu w ustaleniu porządku; sądzę że źle by ze mną było, żebym nie rostrzaskał łba przywódcy buntu, wystrząłem z pistoletu. Rozkazałem potem wszystkim pozostać w obozie na tém samym miejscu; a udając się pod przewodnictwem dwóch Indyan, powróciłem po żywność do Santa-Fé. Za przybyciem mojem rozdzieliłem ją i udaliśmy się w drogę. Trzy lata nowych wypraw, wydarzeń, i podo-

bnych wycieczek przyniosły na część każdego z moich ludzi po 20,000 franków mniej więcej, a dla mnie blisko 100,000.— Sądziłem wówczas że mogę znowu nabrać zamiłowania w życiu cywilizowaném, spróbować trochę pożyć w Europie. Omyliłem się. Duszno mi było w wielkich miastach; wsie i życie wiejskie stron waszych zabijały mię nudą. Nie miałem w niczem upodobania, nie pojmowałem żadnej z waszych przyjemności. Napróżno próbowałem osiedlić się w Niemczech, w Anglii, we Francyi, we Włoszech. Nigdzie żyć nie mogłem. Ani Opera Paryża lub Londynu, ani starożytności Rzymu, ani Parlament Westminsterski mnie nie zaspakajały. Wszystko mi się wydawało jak cacka dziecinne. To istnienie ścieśnione, przykre, ograniczone, nie wystarczało mojej działalności. Nie oddychałem, panie, nie miałem siły ciała i umysłu. Co wy nazywacie oświatą, jest to niszczenie; postęp, to jest upadek; odnowienie, to rzeczywiste osłabienie. Wasza społeczność zazdrośna, swarliwa, tchnąca nienawiścią, opryskliwa i gadatliwa, napełnia serca goryczą, a mózgi jakimś płynem cierpkim i przykrym; wątrobę, żółcią; ciało, niezdrowemi humorami; a duszę, zawiścią. Podróż przez las dziewiczy,

a kilkadziesiąt kroków przez zimne wody potoku spadającego z gór naszych, oto jest co hartuje nerwy, oczyszcza krew, uspakaja ciało, naucza kochać i zachwycać się; to jest życie, panie, tak uroczyste, tak czyste, czynne, męskie, i tak potężne, że dni które straciłem zewnątrz pustyni, nie zaliczam bynajmniej jako należące do mojego rzeczywistego istnienia.

— Jesteś dzieckiem zepsutém życia dzikiego, powiedziałem mu, i zreszta wolno ci strzelać się z pistoletu z *Nogami Czarnemi* dla sprzedania twoich towarów, albo borukać się z niedźwiedziami i śniegami, nie licząc pragnienia i głodu. Ale powiedz, gdzież nie ma wojny?

Cywilizowana w Europie i przedstawiająca się w walkach politycznych, albo barbarzyńska i materyalna w głębi waszych rozdołów, górzystych, cóż to szkodzi? Czyż to nie jest ludzkie przeznaczenie? postęp przez walkę i ulepszenie przez pracę; ponieważ zdobycze wynikają z cierpienia, ludzkość poddaną została wiecznej walce!

— A właśnie! wybrałem walkę która mi najlepiej przypada.

— A Pan jesteś, mówiłem dalej, mimowolnym cywilizatorem. Jeśliby ludzie tacy jak pan

nie spotykali się, któżby okrzykiwał te wielkie pustynie? Ktoby się nawet ośmielił tam posuwać odkrycia?

— Pan możesz mieć słuszość; i to mi jest zupełnie jedno. Ja wracam do Kalifornii najbliższą drogą, z Biblią w kieszeni, z moim *bowie-knife* (noż krzywy) przy boku, z dobrym prochem, ołowiem, dwiema zachwycającymi strzelbami myśliwskimi; i życzę dobrej nocy Europie i jej wspaniałościom.

— Dobrego powodzenia, rzekł mu P. de F.!
Ja ci wcale nie będę towarzyszył.

.....

Między Canandegua i Markizem, to jest między przeszłością Ludwika XIV a przeszłością gnieźdząca się w *Górach Skalistych*, odbywałem drogę aż do Waszyngtonu. Skoro tylko przybyłem, miałem jedną myśl i jedno żądanie: widzieć Kapitol i znajdować się przed odjazdem na posiedzeniu Izby deputowanych. P. de F. służył mi za opiekuna i *cycerone*, i winienem przyznać że jego tytuł markiza zalecał go cudownie republikanom Stanów - Zjednoczonych. Tytuły mają dla nich pociąg nieprzezwyjęzony.

Są miasta które winne swój dobry byt tylko wodom mineralnym, inne targom i jarmarkom.

Waszyngton żyje tylko polityką. Miasto jest puste, domy są przez znaczną część roku zamknięte, wtedy gdy Izby nie odbywają posiedzeń. Jakby dla okazania téj pogardliwej wyższości polityki, Kapitol obrócony jest tyłem do miasta. Ci którzy założyli Waszyngton i zbudowali pałac prawodawczy, naokoło którego zebrały się prywatne budowle, wyobrażali sobie że ludność miasta, przeniesie raczej stronę Wschodnią, i dla tego front gmachu i wielki krużganek obrócone zostały w tym kierunku. Ich przewidzenia zostały omylone: nieposłuszne miasto zabudowało się ze strony północnej, a kolumnady krużganku patrzą tylko w próżnię. Zbliżasz się do Kapitolu, a nic nie widzisz naokoło coby zapowiadało czynną oświatę: ani sklepów, ani magazynów, ani powozów; fontanny szemrzące, świeżość liści, wszystko ci zwiastuje samotność. Na wiosnę zielone liście kasztanów, ich cera russawa i różnobarwna w jesieni, podnoszą jeszcze bardziej wykwintną białość krużganków, przezroczytą lekkość pilastrów. Świątynia ta wznosząca się na wysokości, zdaje się być raczej fantastyczną niżeli poważną. Krużganek porządku korynckiego znacznego zagłębienia, panuje nad wschodami tam

prowadzającymi, i uwieńczony jest szeroką kopułą, zgodną z gmachem. Jest coś wzniosłego w tej całości, nadewszystko wiele wdzięku i harmonii.

Znajdowałem to wszystko bardzo pięknem, chociaż wcale nie w miejscu w kraju mało ceniącym te ozdoby, który nie nader ceni przedmioty *fabryki* Poëlemburgów albo Watteau, o czém przekonałem się zbliżywszy się do jednej marmurowej grupy, nieszczęśliwej próbki rzeźbiarstwa amerykańskiego, jedynę jaką miano czas wykonać ze czterech grupp, dla których zostawiono piedestale wzniesione przy wschodach. Są to postacie teatralne przedstawiające Krzysztofa Kolumba trzymającego kulę ziemską w lewej ręce, i kobietę indyjską, prawie nagą, czołgającą się dziwacznie u nóg jego; przedstawia ona niby Amerykę. Wypracowanie materyalne grupy jest dość staranne, pomysł zaś niedorzeczny a wrażenie prawdziwie opłakane. Drzwi główne wchodowe po obu stronach których są inne dwie postacie nieznaczące, (Pokój i Wojna) zaprowadziły nas do sali okrągłej oświeconej wielką kopułą; część ścian jest *illustrowana* (jak dziś się mówi) szeregiem nędznych malowideł poświęconych główniejszym

wypadkóm wojny o Niepodległość; miejsca próżne zostaną zapewne zajęte na przedstawienie czynów ostatniej wojny Meksykańskiej. Drzwi otwierające się na prawo, prowadzą do Izby reprezentantów, obszernej sali pół okrągłej bardzo źle oświetlonej z otworem w górze tegoż kształtu. Rząd kolumn potężnych z kamienia miejscowego, wygładzonego jak marmur, szarego i bardzo pięknie polerowanego, otacza obwód półkolisty ściany; w tej to przestrzeni oddzielnej dają miejsce cudzoziemcóm. Środek cięciwy łuku przeznaczony jest na krzesło *speaker'a*, Amerykanie nie wyrzekli się najmniejszej tradycyi dawniej swój ojczyzny. Za krzesłem, wzdłuż muru, drugi rząd pilastrów utrzymuje galeryą wyższą zachowaną dla uprzywilejowanych (gdzież się nie wciska przywilój)? i osobistych przyjaciół deputowanych. Krzesła ostatnich ustawione są w promienie we wszystkich kierunkach aż do podkowy otoczonej pilastrami, która tworzy w środku, naprzeciw stołu sekretarza, wolną przestrzeń, także półkolistą. Zle się tu słyszy, nic się nie widzi, wszyscy są ścieśnieni, wszystko ma postać jakiegoś cenotafium, i ogólne urządzenie, trzeba to przyznać, jest tak wadliwe jak jednej z ostatnich prób

waszych w tym rodzaju. Prawa akustyki nie są bynajmniej zachowane, prawa optyki również. Wszystko to nie warte tej podatnej prostoty jaką się odznacza urządzenie Izby Niższej angielskiej.—Niech nam powiedzą filozofowie czy nie jest zupełnie niepodobna, aby dziewięć czy siedmset ludzi mogło się porozumieć fizycznie i moralnie.

Tylko co powiedziałem, że są uprzywilejowani wszędzie, nawet w Stanach-Zjednoczonych. W skutek tego starego prawa wmieściłem się z moim przyjacielem P. de F... i jednym Amerykaninem bardzo dowcipnym P. W. A. (krewnym sławnego i wybornego poety Longfellów) zupełnie blisko fotelu *mowcy*. Byłem zrazu uderzony wyrazistą mieszaniną jaką przedstawiało zebranie. Twarze, postawy, ubiory, mowa nawet, wszystko było rozmaite.

— Doprawdy, zawołał P. de F... zdaje mi się że widzę szopę skoczków którą Scarron opisuje w swoim *romansie komicznym*.

— Jednostajność, odpowiedział nasz przyjaciel, jest cechą monarchii. Ludzie będący tutaj, przedstawiają różnorodność; przybywają ze wszystkich punktów tego wielkiego kraju. Nie moglibyście wymagać od nich ze słusnością

niczego coby było podobnym do pozoru i postawy członków dawnego parlamentu francuzkiego albo Izby Niższej Londyńskiej. Ten Karolińczyk, który się tam rozwała swobodnie, posiada dwiestu niewolników, jak niegdyś Scypion albo Metellus; a jego zamglone spójrzanie, niedbałość jego ułożenia, dobitnie mówią że przyzwyczajony jest do próżnowania. Zresztą jestto mówca odznaczający się talentem. Jego najbliższy sąsiad, z okiem czarnym i niespokojnym, ze spójrzaniem zawsze ruchliwym, z wielkimi kamaszami zaszpilonemi wyżej kolan, z długimi włosami czarnymi i policzkami pomarszczonemi, przybywa z dzikich stron które zwiedziłeś za Alleghanami; muskiet a nawet *lasso* są mu więcej poufałe niż sztuka krasomówna. Na końcu podkowy, na prawo, poznajesz po cerze czerwonej jak jabłko leśne, i po futrach w które się ubiera od samego początku jesieni, starego dzierżawcę mieszkańca z Menu. Ręce jego zgrubiałe, tylko co pług porzuciły; a chociaż mówi powoli i z trudnością, daje niekiedy dobre rady. Ten którego koźnierz od koszuli wyłazi na prawo na dwa cale, a na lewo znika zupełnie, przybywa z Indyan. Znajduje się on regularnie na posiedzeniach i zawsze śpi.

— A tenże człowiek nie opodał od nas, co żuje wiecznie nie wiem co, i którego plwanie skierowane w rzutach gwałtownych i stanowczych przybywa prawie aż do bótów moich, któż to jest?

— Jest to Alabamianin, bardzo chudy, jak widzisz, i którego upał rodzinnego słońca przyprowadził do stanu straszego wysuszenia. W jego okolicy, smutny nałóg żucia tytoniu, stał się nieodbitą potrzebą. Kapelusz tego drugiego członka z Arkanzas zdaje ci się być jakimś dziwacznym szczątkiem; jest to człowiek uczciwy i tęgiego rozumu. Wszystkie pokolenia są tutaj; uważaj tylko: oto zarys gruby i kwadratowy Hollendra; wysmukłe ułożenie i oko imponujące Franka; cera oliwkowa i wielkie czarne oko Hiszpana; jagody wydatne i żywa fizyognomia Celta; wielkie czoło i szerokie ramiona Niemca. To zlanie się w jedno, albo, jeśli chcesz, ta mieszanina tylu odmian rodziny ludzkiej jest cechą odznaczającą Amerykę. Nasz *speaker* (mówca) jest Pan Winthrop, wybrany przez miasto Boston; jego obejście się jest wykwintne i układ odznaczający się. Ten drugi członek z miną myślącą i spokojną to także człowiek bardzo oświecony; jest to P. Sed-

don, mianowany przez stolicę Wirginii. Typ uświęcony John Bulla, twarz zaokrąglona i mi-na jowialna P. Pendleton; odróżniają go od wszystkich jego spółkolegów. Ponieważ to jest jedyny whig którego nam przysłała Wirginia, nazywają go pospolicie *gwiazdą samotną*, i on się sam z tego śmieje.

— Któż jest, proszę cię, ten mały człowiek tak spokojny, który stoi w środku półkola?

— To sędzia Douglas, z Illinois. Podobny on jest raczej jak widzisz, do młodzika jak do człowieka, i zawsze mówi półgłosem. Ale niema mówcy bardziej uszczypliwego, bardziej wyzywającego, szorstkiego. Niech tylko wypowie dwa okresy, a natychmiast one sprawiają hałas w całym zgromadzeniu.

— A mównica?

— Nie masz jej.

— Jakto! obchodzicie się zatem bez mównicy?

— Zapewne, i interessa nie idą dla tego gorzej. Niema mównicy, więc mówią wszyscy po prostu! *On one's feet*. Wyborny powód aby nie być ani napuszonym, ani rozwlekłym, ani odskakującym od przedmiotu, aby nie czytać mów pisanych! Widziałem wasze zgromadzenia europejskie, angielskie, francuzkie, hiszpańskie,

i przyznaję że pod względem polityki, rozprawa pisana zawsze wstręt we mnie wzbudzała. Zapewne z powodu złego wychowania mojego, zdawało mi się że polityka jest rzeczą interesów, nie zaś retoryki, że idzie o fakta a nie o frazesa, i że najlepsza rada w świecie może pochodzić z ust najmniej wymownych. Co zabiło Karola I, to mównica, to jest ambona kościelna, jedyna mównica owjej epoki. Bez mównicy nie byłby zginął Ludwik XVI; godny to pogardy wynalazek chełpliwych rzeczników.

— A ława ministrów?

— To miejsce męczarni nie istnieje u nas.

— Ale jakże się szykują stronnictwa?

— One się nie szykują wcale. Demokraci i wiktoryjści, protekcyoniści, przyjaciele lub nieprzyjaciele Prezydenta, przeciwnicy i stronnicy taryffy, kupcy, fabrykanci, bankierowie, plantarowie, właściciele, federaliści, nallifikatorowie, wszyscy się łączą w rodzaj jakiegoś tłumu przyjacielskiego i czysto amerykańskiego; dla tego że mamy wspólną ojczyznę wprzód nim mieliśmy stronnictwa. Myślemy karmić matkę naszą wprzód niż bić się na jej łonie, narażając ją na zabicie. Zebranie które widzisz, jest wierném przedstawieniem kraju, który je tu

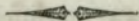
wysyła. Kraj ten jest rozmaity, niepełny, dziki; jest on nowy, trochę zmieszany, pełen nadziei i siły, jest on krajem przeciwieństw i różnaitości. Nasze zgromadzenie reprezentacyjne zrobione na obraz i podobieństwo nasze. Wy Europejczycy miejcie instytucje do was także podobne, i zgromadzenia na wasz własny obraz, a nie na nasz. Jeślibyście kiedykolwiek chcieli utworzyć Izbę zupełnie do téj podobną, byłibyście po prostu niedorzeczni.

.....

Lekcja była wyborna. W samej rzeczy, to co widziałem w tym obszernym kraju, który opuszczam, jest *fac-simile* kolosalne naszej Izby Reprezentantów w 1850 r. Spotkałem tam, nie tak jak we Francji dwie lub trzy klasy ludzi prawie zmieszane w jedności starych interesów i starych zwyczajów, lecz owszem wszystkie stopnie życia dzikiego i cywilizowanego. Stopnie te ustawiają się bez pomieszania się. Normandczyk akadyjski i katolik z Shelburn znajdują się obok Francuza z czasów Ludwika XIV, starożytności nienaruszenie przechowanej w Kanadzie; ten, zastały o dwa wieki, znajduje się w Montréal i Kwebeku obok wychodźca angielskiego przybyłego z Londynu, często na-

leżącego do pierwszych rodzin i przyzwyczajonego do wszystkiego co salony XIX wieku i życie wykwintne czasów ostatnich mają najwytworniejszego i najwyszukańszego. Obok tego ostatniego, masz *Yankesa* z Menu albo mieszkańca brzegu Jezior, szczególniejszą mieszaninę osadnika, dzierżawcy, faktora, kupca, nieprzyjemnego gbura opryskliwego, a jednak bardzo użytecznego przez wytrwałość zamiarów, subtelność poglądów, stałość wyobrażeń, oschłą surowość zwyczajów, i niepospolitą biegłość w interesach. Podziwiasz dalej kwakra spokojnego i przenikliwego, Bostończyka wykwintnego i uczonego, i schodzisz postępując po olbrzymiej dolinie Mississipi, aż do Wirgińczyka przyjaciela zbytku, który próbuje założyć na gruncie niewolnictwa, gatunek nowego feodalizmu. W Nowym-Orleanie obfitują awanturnicy wszelkiego rodzaju: artyści którym się nie powodzi, muzycy niedoszli, gracze, hulaki, oszuści spekulanci wszelkich pokoleń, wszystko to zmieszane razem, rodzaj jakiegoś wieczystej hulanki, której nie przeszkadza największy ruch handlowy i przemysłowy jaki można sobie wyobrazić. Potem przedstawiają się pokolenia metysów z Kalifornii i z Texas: myśliwi z lasów,

Indyanie pół oświeceni, oświeceni którzy się stali znowu napowrót Indyanami, Hiszpanie których podbiła Ameryka, Chilijczycy ożenieni z murzynkami, republikanie którzy się nawrócili do życia dzikiego, zapaleńcy biblijni, którzy się zrzekli demokracji jak Mormonowie, Milenariusze pół fanatycy a pół oszuści. Żałuję że opuszczam, za nadto prędko aby z niego poczerpnąć ciekawe studia, ten piec wrzący, gdzie wszystkie pierwiastki burzą się jednocześnie, i skąd wytryska gęsta piana z kłębami dymu, ale gdzie się przygotowuje świat nowy; ta pracownia olbrzymich doświadczeń.



TRZYDZIEŚCI OŚM DNI W SAWANNACH NA WYSPIE KUBA.

I.

Odjazd z Nowego Orleanu.— O'Neil i dona Seraphita.— Postać Kuby.— Jak się unika Kwarantanny.— Gobernador — Jedediah Gibson.

Jeden niemiec zamieszkały dziś w Hawannie, wydał przed kilka laty w tém mieście, gdzie cywilizacya hiszpańska jest może więcej posunięta, aniżeli w wielu miastach półwyspu Iberyjskiego, piękny tom pod tytułem: *Wycieczki młodości i pobyt w Sawanach Kuby*. Znajdują się tam, odziane w świeże dość barwy, szczegóły interessujące o stanie wewnętrznym téj osady, którą hrabina Merlin tak świetnie i tak wiernie opisała w swojém dziele pod tytułem *Hawanna*, a mianowicie o miejscowościach najmniej znanych i najrza-

dziej zwiedzanych w jej wspaniałych sawanach.— Jeżeli niektóre części wyspy zmieniły się od czasu zarządu sławnego generała Takona, który zostawił między kreolami groźną pamięć; jeśli świeżo zbudowane dwie drogi żelazne, i odbicie się poruszeń politycznych europejskich sprawiły jakieś zmiany w zwyczajach arystokratycznych w *Puerto Principe*, *Habana* i *Matanzas*; lasy za to dziewicze, stepy, i płaszczyny zamieszkałe tylko przez *iguano*, a przebiegane konno galopem przez *guajiro* hiszpańskiego, rodzaj rycerskiego dzierżawcy i *rolnika trubadura*, pozostały też same.— Szczegóły te weźmiemy od P. de F... skracając wielce jego rozwlekłe i rezonujące opowiadanie.— Styl jego germano—amerykano—hawański, z tych trzech tytułów, zdolny jest do rozprowadzania najprostszych rzeczy w wielu słowach.— P. de F... korzystając z praw swoich, od czasu do czasu oddala się od przedmiotu jak Jan Paweł Richter, jest filozofem jak Hegel, rozwlekły jak mówca z senatu Washingtonu, i napuszony jak Calderon de la Barca.— To co powiedział w pięciu—sześćdziesięciu dwóch stronicach, spodziewamy się dać poznać naszym czytelnikom w rozmiarze nieskończenie bardziej ścieśnionym; będziemy się tylko starali, aby nie stracić nic głównego, a nadewszystko by nie opuścić żadnego szczegółu tych obyczajów nieznanych w Europie, a nawet mało postrzeganych

przez ociężałych kreolów lub spekulantów amerykańskich; żadnych też szczegółów wyłącznych które on chwycił na gorącym uczynku, a które stanowią prawdziwą zasługę jego dzieła.

Zaczyna, jako istny Niemiec troskliwy by nie zachwiać wiary należnej w powagę i moralność jego charakteru, od usprawiedliwienia się, że był trochę szalonym w latach młodości, co się przytrafia zresztą i niektórym z pomiędzy nas; i tłumaczy jak będąc przez ojca umieszczonym u pewnego bankiera w Nowym-Orleanie, opuścił jednego pięknego poranku kantoreę i rejestra, które go nudziły, i postanowił wspólnie z Irlandczykiem O'Neil, bohaterem jego wieku, zrobić małą wycieczkę do Hawanny.

— Nie sędzę, powiada, aby można było popełnić niedorzeczność bardziej szaloną i więcej nierozważną, jak ta, której się dopuściłem między dwódziestym a dwódziestym pierwszym rokiem życia mojego.— O mało co nie zostałem rozstrzelany przez zwierzchność despotyczną i wcale nie łagodną, a to wszystko by tylko mieć przyjemność opuścić ławy szkolne, bez najmniejszego słusznego powodu, chyba żeby zobaczyć świat.— Głód, zmęczenie, rozbicie statku, noga prawie złamana, nauczyły mnie żyć i ukończyły wychowanie moje w sposób trudny do zapomnienia.— Miałem zręczność dość rzadką widzieć zblizka sawany niezwidzane, a prawdziwie rozkoszne, prze-

biegać miejsca, do których żaden podróżny nie dostał się i gdzie spotkały mnie osobliwsze zdarzenia.—Dziwaczność i nowość zdarzeń i krajo-
brazu zniewalają mię do opowiedzenia w szcze-
gółach podróży pełnej przypadków, o której
chcę mówić.

Kiedy oświadczyłem, że jedynym powodem
mojego wybryku była ciekawość młodego wie-
ku, nie powiedziałem całej prawdy.—Bardzo
piękne oczy także coś w tém znaczyły.—Dona
Seraphita del Pulgar (to imię przybrane po-
winno wystarczyć czytelnikowi) przybyła do
Nowego-Orleanu z ojcem swoim, i w domu
bankowym gdzie mię rodzina moja umieściła
miałem zręczność ją zobaczyć, albo raczej pod-
patrzyć.—Wiedziałem że rodzina Seraphity
mieszkała w Hawannie; była to moja jedyna
skazówka.—Co do O'Neila mojego towarzysza,
on nawet nie miał téj wielkiej wymówki mi-
łości lub fantazyi.—O'Neil lubił awantury jak
artysta lubi widoki malownicze lub harmonię
dźwięków.—O'Neil wynalazł pozór aby wy-
tłómaczyć sobie swoją wycieczkę.—Sierota i
bez innego majątku jak ośmdziesiąt ośm dolla-
rów, które był winien małej spekulacyi na
bawełnie, słyszał że jakaś rodzina O'Neil mie-
szkała i użytkowała z plantacyi drzew kawo-
wych w okolicy Rio Gordo, w Hawannie.—
Ci O'Neil byli zapewne jego stryjami, i on
jechał dla wyszukania bogatjej familji »jak Ja-
fet na wyszukanie ojca.«—Prawda że O'Neile

w Irlandyi są tak pospolici jak piasek na brzegu morskim. — Ale każdy dowód zdrowego rozsądku byłby się rozbił o wolę O'Neila, mającego dwadzieścia jeden lat; ja zaś miałem dwadzieścia. — Wyjechalśmy razem z Nowego-Orleanu jednej niedzieli majowej na łaskę opatrznosci! Nasza kassa podróżna zawierała ze wszystkiem sto trzydzieści jeden dolarów, a udawaliśmy się po prostu na podbicie świata.

Niech wybaczą PP. moralisci; ale pamięć szaleństw i wybryków młodości nie zawsze zostawia, i bardzo rzadko nawet w naszym sercu ślady głębokiej zgryzoty i żalu gorzkiego, które powinny byłyby tam się wrazić, przynajmniej podług prawideł czystej filozofii. — Aby tylko było niebezpieczeństwo, silne wrażenie, poczucie życia trochę żywsze i silniejsze, wspomina się z rozkoszą o takich czynach i wypadkach, a nawet z pewną dumą. — To właśnie dodaje życiu wojskowemu tak uroczonego blasku. — Krew krążyła gwałtownie i arterye były silniej. — Widziano śmierć bardzo z bliska; a jednak żyje się jeszcze. — Dla przedstawienia sobie kogoś co rad z siebie, trzeba wyobrazić starego żołnierza albo starego żeglarsza; potrzebują oni tylko poszperać w pamięci a nie w wyobraźni, aby cię czémś zainteresować, a to coś, to jest ich osobistość, to ich rzeźkość, to są ich dni piękne, chwalebne.

Najskromniejsi z nas nawet mieli chwile tryumfu i upadku, bo życie nasze ludzkie w ogólności jest epopeją na małą skalę. — Któż jest, kto w młodości choć trochę nie szukał awantur? Dla mnie, pobyt na wyspie Kuba, zastępuje miejsce *wyprawy do Egiptu*; jest to rzecz najniedorzeczniejsza w świecie, a jednak od téj epoki zaczyna się moje powodzenie. — Wyrzekłem się bardzo pięknych nadziei, porzuciłem wszystko sposobem niedorzecznym; nie żałuję tego wszakże bynajmniej.

A co jeszcze daleko gorsza, to że bardzo często te wysoki młodego wieku bywają uwieńczone pomyslnymi skutkami, jak dobra komedia dawniejszój szkoły kończy się małżeństwem, wówczas kiedy nasze najnowsze i najwyrachowańsze obliczenia są niweczone często bardzo szyderstwem losu. — Trzeba wyznać, że ten ostatni żartuje z nas trochę, i zwykła to przyjemność tego władcy, robić sobie igraszkę z naszej mądrości. — Jest to jedyny morał jaki można wyciągnąć z Gil Blassa, jeśli Gil Blass ma jakiś morał; i dla tego to właśnie Gil Blass jest książką tak wyborną: ona przedstawia życie samo w jego kapryсах i zagadkach, zostawując innym, którzy się sądzą głębokimi i trafni moralistami, starannie wytłómaczenia niezliczonych zygzaków i szczególniejszych wykrętów przeznaczenia.

Nasza podróż była szybka i szczęśliwa; skorośmy zobaczyli Kubę, zaczęliśmy robić uwa-

gi, któreśmy powinni byli zrobić przed odjazdem, gdybyśmy mieli odrobinę rozsądku.— Wspaniała wieża Moro rysowała się na widokręgu, kiedy powiedziałem do O'Neila:

— A nasze pasporty?

— Ach, tak, pasporty!

— *Dony* hiszpańskie nie są pobłażliwi w tym względzie.

— Niech diabeł porwie *Dony* i pasporty!

— Tak, diabeł! dobrze to mówić; ale powinienś był pomyśleć o tém, starszym jesteś odemnie.

— Zaradzi się temu, zawołał O'Neil, który zakładał ręce z tyłu i nastrojał minę uroczystą, ilekroć przedsiębrał szalone jakie zamiary.

— A żebyśmy wrócili do Nowego Orleanu!

— A stryj mój, którego trzeba abym odzukał!

Po tych słowach, O'Neil odpowiadał mi tylko świszcząc *Yankie Doodle*, śpiew narodowy, który zdaje się być skomponowanym dla uspienia foków na brzegu morskim.— Wrócić bez odwiedzenia Kuby było niepodobnem. Ileż razy mój ojciec, który był poetą i Niemcem (ja się rodziłem w Sztetynie) opowiadał mi cuda piękności zachwycającej téj i malowniczej wyspy, ileż razy wychwalał mi gościnność mieszkańców i wdzięki wsi, która, jak mówił, nie posiada jadowitych owadów i płażów, wyjąwszy jedyne zwierzę, o którym zaraz będę mówił!— Miał słuszość: aguty, igu-

ano, jaszczurki, kameleony pryzmatyczne i najświeższej barwy grzywacze, rodzaje synogarlic-kuropatw, które nie inaczej podnoszą się w powietrze jak po dwoje i latają zawsze razem, inny rodzaj synogarlicy tak swojskiej, że się wieszka łagodnie na ramieniu podróżnego; oto są zwierzątka niewinne, przyjemne, jak Peruwianie przed przybyciem Pizarra, do których zdawała się pierwiastkowie należeć ta wyspa, zasługująca na wszelkie pochwały dawane jej przez podróżnych.

Widok Kuby, uważany z pełnego morza, jest również uśmiechnięty jak jasny, piękny: ruch przemysłowy portu, zdaje się nie tyle objawiać chciwej żądzę zysku i surowych zwyczajów handlowych, ile raczej przyrodzonej łatwej ruchliwości życia, które się wylewa i przepełnia: ci czarni, którzy śpiewając toczą beczki, te tysiące statków przerywających wodę przezroczystą, te paki kawy ułożone w stosy na piasku, ci kąpiący się w zatoce, albo w morzu, te roboty hałaśliwe w porcie najbardziej ożywionym ze wszystkich jakie są na świecie, składają całość pełną ruchu, hałasu, słońca i wesołości, która nam czyniła myśl powrotu nagłego bardzo nieprzyjemną.— Użyliśmy więc dla uwolnienia się od tej przeciwności dwóch sposobów bardzo niebezpiecznych.— Mój Irlandczyk miał zaszczyt wynalazku; rasa ta pochodzenia południowego, jak wiadomo nie cofnie się przed żadnym zuchwalstwem tego ro-

dzaju, i O'Neilowi to winieniem rzeczywiście najniedorzeczniejsze przedsięwzięcie, ale razem i najszcześniejszą płochość życia mojego.— Skorośmy zawinęli do portu, napisaliśmy do konsula amerykańskiego prosząc, aby za nas zaręczył; O'Neil ułożył ten list.— Jeden, dwa, trzy dni przechodzą; żadnej odpowiedzi;— a tu niebo, morze, słońce, wszystko nas wabiło do opuszczenia statku.

— Konsul amerykański nam nie odpowiada, zawołał O'Neil! hultaj ten! ja mu wypłatom, jeśli twoja niemiecka flegma przystaje na to, figla naszego wymysłu.

— Co do mnie, rób jak chcesz! ale cóż myślisz zrobić?

O'Neil wziął już wielki arkusz papieru, i napisał najpiękniejszym charakterem następujące wyrazy:

»Excelencyo.«

»Dwóch kupców, których majątek zazdrość i ucisk konsula amerykańskiego Stanów Zjednoczonych, P. W. wystawia na szwank i naraża ich bezpieczeństwo, ścielą się pokornie do stóp Waszej Excellencyi i błagają waszej opieki.— Jesteśmy zatrzymani nie właściwie i arbitralnie na pokładzie okrętu *le-Sea-Sprite*, i zdaje się, że dzięki jego złej chęci, ważna spekulacya, powód naszej podróży, chybi zupełnie.— Udajemy się pod obronę potomka Pizarra i Korteza, i prosimy waszej Excellen-

cyi, polecić przedstawić nas sobie o ile można najrychlej.»

Podpisaliśmy śmiało, jak dwaj szaleńcy jakimśmi byli, list ten, który miał zupełny skutek.— Istnieje bowiem ciągle trwająca niechęć pomiędzy rządcami samowładnymi Kuby, a konsulami *Yankesów*, albo Amerykanów Stanów Zjednoczonych, którzy są w wielkiem podejrzeniu, że mają dla Hawanny jedno z tych uczuć braterskich, które się kończą przyłączeniem, tak jak Texas.— *Gobernador generalny*, osoba więcej znacząca w swoich posiadłościach, niżeli cesarz chiński wśród swoich mandarynów, przysłał po nas na pokład, przyjął nas nader dobrze, słuchoł bajecznych opowiadań O'Neila o konsulu, który nawiasem mówiąc udał się do Batavano zwiedzić las mahoniowy, który miał zamiar nabyć na wyrób; uwolnił nas od wytrzymania kwarantanny, i wręczył nam *salvo-conducto* podpisany własną jego ręką, rodzaj talismana czarodziejskiego, przed którym usuwają się wszelkie zawady.

— Ah, powiedziałem do O'Neila, dobrze się to zaczęło; ale jeśli konsul wróci, interes nasz bardzo powikłać się może.— Zazartowałeś z niego, będzie się on mścił.— Zamkną nas, aby nauczyć co to znaczy spotwarzać konsułów, w tej wielkiej wieży, którą tam widzisz; i Bóg wie kiedy *Dony* pozwolą nam z niej wyjść.

— Mam swój plan, odpowiedział O'Neil.

I we dwie godziny potem najęliśmy *wolant*, rodzaj kabrioletu jakiego się nigdzie nie spotyka, jak tylko w Hawannie i w Meksyku, z murzynem odzianym różowo i żółto, woźnicą *wolanta*, i z małym koniem czarnym, który pędził jak wiatr.— Udaliśmy się do Matanzas, aby obejrzeć okolicę, i zbić z tropu tych, którzy mogli nas ścigać.— Tam pożegnaliśmy murzyna, *wolanta* i konia, i złożyliśmy radę.— Pogoda była wspaniała, niebo uśmiechające się, krajobraz okazały i przyjemny.

— Udajmy się w kierunku ukośnym i przeciwnym temu, którym dotąd szliśmy, rzekł do mnie O'Neil pokazując las, albo raczej ogromny portyk składający się z kolumnad okrągłych, polerowanych, gładkich, umieszczonych w odległościach prawie równych i uwieńczonych szerokimi liśćmi rozpuszczonemi jak kity, które tworzyły o sto stóp nad ziemią kopułę gęstą nad łodygami drzew palmowych.— Jeśli konsul się gniewa, i jeśli gubernator pamięta o nas, przyszłą w tę stronę, i zapewne będą sądzić, żeśmy się udali brzegiem, przebywszy Matanzas. — Oto droga prześliczna, świeża, pachnąca, zachwycająca; kieszeń nasza dobrze zaopatrzona, ludzie gościnni, i wszystko pójdzie dobrze.

To co mówił o gościnności kubańskiej jest zupełnie prawdziwem. — Jeżeli jest miejsce w świecie, gdzieby gościnność była okazywaną według Gessnera, i gdzie sielanka zmieszana

ze zbytkiem i wytwornością życia cywilizowanego staje się rzeczywistością, to zapewne wyspa Kuba.— Większa część podróźnych przestaje na podziwianiu Hawanny i daje się tylko czarować czarnym oczóm i niewinnym, a żywym uśmiechom młodych Hiszpanek.— Ale trzeba, tak jak ja, przebiedz wszystkie ścieżki uboczne i drogi poprzeczne, albo raczej obszerne lasy bez dróg i jasne płaszczyny téj wyspy; trzeba znaleźć równie w najmniejszych chatkach, jak w bogatych *kafetalach* oddalonych od wszelkich miast i od wszelkich portów, serdeczne i rozkoszne przyjęcie, aby ocenić w rzeczywistej rozciągłości tę szlachetną delikatność, złączoną z wdziękiem przyrodzonym i uczuciami prawie bohaterскими.— Hawañczycy są tylko okrutni względem czarnych zbiegów.— Niebardo też lubią Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych, co im nie przeszkadza wszakże przyjmować z najszczerzą życzliwością podróźnych często nie bardzo ukształconych, którzy przybywają do nich z Nowego Yorku, lub Bostonu.— I to nie tylko spotykają cię oklepaną grzecznością, lub przyjemnemi słówkami.— Nie, wcale, nie przestają na téj *musica celestial*, owszem obdarzają cię podarkami mimo twojej woli.— Doświadczyliśmy tego wyraźnie podczas naszej wycieczki.— Zdawałoby się, że łagodnie i niewinne usposobienie pierwiastkowych tubylców Peruwianów udzieliło się ludności hiszpańskiej téj wyspy.— Czy to wcho-

dzisz do wsi? Dzieci otaczają cię i nazywają *tio* »wujaszek.« — Ich nadskakiwanie nie ma w sobie nic niewolniczego, uciążliwego, lub niewczesnego. — Oby terazniejsza oświata nie zwichnęła tego ślicznego wdzięku dzieciniego, a sympatycznego! To pewna, że podróżny, który opuścił Stany Zjednoczone, przyzwyczajony do niegrzecznej szorstkości i dzikiej swobody mieszkańców Kentucky, znajduje w uprzejmości hawańskiej kontrast zupełny i zachwycający. — Bez tej serdecznej uprzejmości, nigdy byśmy nie potrafili się ocalić, i ja nie opisywałbym wydarzeń mojej młodości, i według wszelkiego prawdopodobieństwa uwięzienie moje w Moro byłoby się rychło zakończyło tą gorączką więzienną, która porywa tak rychło biednego więźnia oszczędzając katowi zachodu zastosowania swęj sztuki. — Od willi do willi, od mieszkania do mieszkania spotykaliśmy na tej wyspie cudzoziemskiej, tylko szlachetne i poświęcające się dusze, a ani jednego Hiszpana usposobionego do wydania nas bez obrony na zemstę tych, z których zażartowaliśmy.

Jednak, szliśmy zawsze przed sobą; O'Neil zabrał nieco żywności, która służyła nam na śniadanie pod jednym z tych wielkich drzew, których wachlarz nas zasłaniał. — Potem, znów udawaliśmy się w drogę, z postanowieniem zatrzymać się i żądać przytułku w pierwszym *kafetalu*, który się nam przedstawi. — Tak podróżując, przybyliśmy przez las palmowy do

Camino del Centro, kiedy księżyc zaczynał wschodzić na niebie.

Drogi naówczas na Kubie były nie liczne i złe.— Ta, która przerywała wyspę z jednego końca w drugi, nazywała się *el Camino del Centro*, większa część miast głównych były przy niej położone; od każdego miasta albo wsi wielkiej, prowadziła inna droga idąca do portu służącego wyłącznie temu miastu, i który nigdy nie był oddalony więcej nad mil dwadzieścia lub trzydzieści, bo wyspa jest równie długa jak wązka.— Murzyni zbiegli, wiedząc, że te drogi drugiego rzędu dość mało były uczęszczane, i że od czasu do czasu wozy z towarami idąc od morza do miast, albo od tych ostatnich do morza, zmuszone były tam się zapuszczać, nie zaniedbywali przebywać na czatach w gęstych zaroślach tych okolic, w nadziei dobrych łupów.

Nie ma nic straszniejszego ani okrutniejszego jak te czarne zbiegi; przestrach czyni ich dzikimi; wiedząc że nie mogą spodziewać się żadnego miłosierdzia, i dotknięci zupełnem wyjęciem z pod prawa, mszczą się jak mogą nad podróżnym, którego spotykają, a kiedy znajdują sobie herszta nieustraszonego i zręcznego, stają się jeszcze groźniejszymi.— Nie wiedzielibyśmy tych szczegółów, i w naszym położeniu, nadewszystko chcielibyśmy uniknąć wielkiej drogi, na której spotykałibyśmy *tenientów*, *alguazilów* i *kapitanów de partido* J. W. Guber-

natora.— Dla tego rzuciliśmy się na pierwszą drogę poboczną, którąśmy natrafili w stronie przeciwnéj téj, którą przybyliśmy.

Zaledwośmy postąpili kilka kroków po téj ścieżce ubocznej, a noc, ta noc równikowa, której wspaniała i miła okazałość była często opisywana, lecz nigdy nią nie będzie w całym swoim wdzięku i piękności, pokryła sąsiednie lasy tą siecią przyjemnych i rozkosznych blasków, które upajają duszę i zmysły, kiedy wystrzał dał się słyszeć.— Spostrzegliśmy wychodzących z wąwozu okrytego drzewami *gojawowemi* bardzo gęstemi, który rozciągał się nad ciemną przepaścią, trzech murzynów, zapewne uciekających lub zbiegów, którzy się kierowali w naszą stronę.

— Ah! ah! zawołał O'Neil, oto nasza pierwsza rozprawa.

I wymierzył swój karabin, wyborną broń kupioną w Bostonie, którą w tejże chwili zastrzelił jednego z tych ludzi co nas napadali.— Jednakże dwaj inni biegli ciągle ku nam.— Wystrzeliłem, ale kula moja nie trafiła.— Bitwa miała się stać walką ręczną, i wsparty o drzewo czekałem przeciwników, z otwartym *bowie-knife* (nóż składany), którego każdy człowiek wychowany w Ameryce umie używać, kiedy posłyszeliśmy ujadania psów, i kroki śpieszne w zaroślach.— Cztery ogromne buldogi, z téj rasy przyzwyczajonej do polowania na czarnych, która sięga epoki podboju hiszpańskie-

go, rzuciły się na zbiegłych murzynów, z których jeden zwinniejszy od drugiego, schował się na drzewo, gdy tymczasem drugi rozerwany był na sztuki przez to straszliwe zwierzę.

Tayo! tayo! krzyczał głos człowieka idącego za nimi zdaleka, który siedząc na koniu, pokazał się nam wkrótce przy świetle księżyca.— Był to ciekawy rycerz.— Miał żółte pantofle z ostrogami, rodzaj gitary na ramionach, szpadę przy boku, wielki płaszcz, kaftan haftowany jak nasz przyjaciel Figaro, kapelusz ze słomy ryżowej, spiczasty jak dzwonica, którego brzeży miały więcej czterech stóp średnicy, dwa pistolety w siodle i wielką dzidę.— Był to *guajiro*, czyli *dzierżawca*—*rycerz*—*plantator*—*trubadur* kubański, gatunek człowieka równie rzadkiego, jak zabawnego i osobliwszego.

Zwołał psów, wystrzelił do murzyna, który wlaź na drzewo, zabił go bez najmniejszej litości jak ptaka drapieżnego, odepchnął końcem swojej dzidy trupów, i przychodząc do nas, których pozdrowił jako *caballeros*, ofiarował nam z wysokości swojego wierzchowca sposobem najgrzeczniejszym, wieczerzę i nocleg w swoim dworze.— Don Gil Perez de la Mescua, bo oni wszyscy są szlachtą, umiał tysiące śpiewków, sam je nawet układał, i przyjmował po królewsku.— Kiedy się dowiedział już naszej historyi, we trzy dni potem, rzekł nam:

— Caballeros, radzę wam udać się jak można najprędzej do portu sąsiedniego, i skierować się do Yucatan albo Nowego Orleanu, jak zechcecie. — My Hiszpanie, nie lubiemy aby z nas żartowano, i *gobernador* rychło się z wami rozprawi, gdy się dowie żeście otrzymali to *salvo-conducto* żartując sobie z niego.

Dam wam wszelkie możliwe wskazówki, i odprowadzę was, jeśli chcecie do Santo-Spiritu. — Byłbym w rozpacz, żeby tak mili *caballeros* mieli zanadto zblizka zobaczyć wieżę Moro.

Wyborny *guajiro* miał słusność; i jego żona Manuelita, bardzo brzydka nawiasem mówiąc, ale bardzo biegła w sztuce kucharskiej, była tegoż samego zdania. — Jechać, nie mogąc nawet zobaczyć Seraphity, to było okropnie! Ale pojmwaliśmy jeden i drugi, że nasza stopa nie stała już na wolnej ziemi Stanów Zjednoczonych; a *Moro* sprawiło w nas wielki przestрах. — Perez nie tylko odrysował nam dokładnie na papierze drogę, która nas miała zaprowadzić do Santo Spiritu, ale obładował nas żywnością, owocami smażonemi, wybranym arakiem, pieczonemi bananami i suchym mięsem; ofiarował nam nawet pieniądze nim wyrzekł: *idźcie z Bogiem*, według wyrażenia hiszpańskiego.

Opuściliśmy więc tego dzielnego guajiro. — Wiele innych kolei było nam zostawionych; i dzięki trzypiałstwu kuglarskiemu O'Neila, po-

łożenie nasze stało się jeszcze niebezpieczniejsze nazajutrz.— Idąc dokładnie za szczegółowemi wskazówkami Gil Pereza, przepędziwszy wybornie noc pod odkrytém niebem bez niepokojenia się o przyszłość, usiedliśmy do śniadania, około południa, u stóp małego wzniesienia ubarwionego kwiatami szerokiemi i olbrzymiemi z koronami wielkimi jak urny, kiedy dwaj jeźdźcy potém trzej inni, odziani po europejsku, przebiegli o ośm albo dziesięć sążni od nas przez Sawanę.— Ci podróżni nas spostrzegli.— Ten, który się zdawał być naczelnikiem gromady, skierował swego konia w naszą stronę.— Powstaliśmy, i rozmowa wszczęta po angielsku, zawiadomiła nas, że ten jegomość był właśnie tym, któregośmy spotkać najmniej nie mieli potrzeby, był to jednem słowem konsul Stanów Zjednoczonych.— Dość niedbały w swoich obowiązkach, używał sobie polowania w tych okolicach mało uczęszczanych.— Chciał wiedzieć cośmy za jedni.— Bóg wie jakie bajeczne i śmieszne historye prawił mu O'Neil o swoim ojcu, jednym z najbogatszych plantatorów w Tennessee, o stryju członku kongressu, o swoich posiadłościach zawierających kopalnię miedzi, blisko jeziora Michigan.— Nigdy bardziej swobodnie nie rozogniła się irlandzka wyobraźnia. Co nas powinno było uspakajać, to że P. Jedediah Gibson (było to nazwisko konsula) nie otrzymał naszych listów, bo od piętnastu dni nie pokazał się

w Hawannie; nareszcie, że nie wiedząc o niczem co się do nas odnosiło, i pomimo swoich czynności konsularnych, nie mając wrócić do swego obowiązku prędzej, jak za dni ośm, nie mógł tutaj wyrządzić nam żadnej krzywdy.— Ten P. Jedediah Gibson, konsul nie pilny, człowiek bogaty, miał udział jako kompanista bierny (*sleeping partner*) w jednym z główniejszych domów bankowych w Nowym-Orleanie, i był współwłaścicielem jednej kwitnącej fabryki blisko Bostonu; wiedzieliśmy o tém bardzo dobrze, i było to dla mego łotra O'Neila powodem do żartu, który urwis ten sądził wybornym, ale którego P. Jedediah nie znajdował takim.

Jedediah, nasz ziomek wiedząc, że się udajemy do Santo-Spiritu, do krewnego O'Neila, taką przynajmniej była bajka, którą ten ostatni opowiedział mu ze zwykłą sobie krwią zimną, kazał zsiąść z koni dwóm swoim służącym mulatom, a nas zaprosił grzecznie, abyśmy siedli na ich miejscu, ofiarując się nam towarzyszyć aż do miasta.— Tyle łaski poruszyłyby serce O'Neila, jeśliby serce Irlando-Amerykanina mogło dać się poruszyć.— Jedediah, gorliwy anabaptysta, nie podobał się O'Neilowi; O'Neil miał tę sektę w głębokiej pogardzie.— Nienawiść ta pobudziła się gwałtowniej, kiedy Jedediah Gibson zaczął nam w drodze prawie nieskończone kazania o nieuniknionej potrzebie chrztu powtórnego i o po-

wtórném odrodzeniu się dorosłych ludzi.— Potém, przerywając rozmowę, która go nudziła, O'Neil mówił o banku, o handlu, materyach wełnianych, fabrykach, interesach pieniężnych; nareszcie przyjmując ton najniewinniejszy i najszczerzy:

— Właśnie, rzekł, klęski gromadzą się bardzo jedna po drugiej w Stanach-Zjednoczonych, bank Salem zawiesił wypłaty; dóm w Nowym-Orleanie należący do Trimbeck et comp: (ten właśnie, w którym przyjaciel Jedediah miał lokowane kapitały) zupełnie zniszczony, całe miasto Kopenhaga, w Missuri, spaliło się, i pożar zniszczył ogromne zakłady Habbakuk Simcock et comp. (Jedediaha) blisko Bostonu.

Jedediah, przez ciąg téj rozmowy naprzemian bladł i czerwienił straszliwie.— Scisnął konwulsyjnie cugle swego konia.

— Powiadasz!... zawołał bełkocząc z trudnością... Gdzieżeś to widział?... Kto ci powiedział?... powtórz...

O'Neil dał mu objaśnienia i szczegóły żądane o tych faktach niezaprzeczonych; wymienił dzienniki, ich tytuły, daty, okoliczności dwóch pożarów, wartość strat, rzeczy, w których ani słowa prawdy nie było.

—Gentlemenowie, powiedział nam Jedediah gąsnącym głosem, odjeżdżam sztafetą do Hawanny, gdzie mam ważne interesa... Bierzcie z sobą mojego murzyna Juliano, który odprowa-

dzi moje konie; zmuszony jestem opuścić was nagle.— Adieu!

— I zagłębił ostrogi z wściekłością w boki swego konia, gdy tymczasem zdziwiona jego eskorta ruszyła za nim galopem, ale w pewnej odległości.— Murzyn Juliano jechał za nami.— Nie wiedząc czy umiał on po angielsku, albo czy rozumiał nawet, zachowywałem milczenie; ale wzrok drwiący mego towarzysza krzyżował się z mojami spojrzzeniami pełnymi wymówek; rozmowa ta milcząca przerwana została nagłym wykrzykiem O'Neila.

— A, do licha!

— Cóż tam?

— Zostawiłem pas mój w guajiro.

— Twój pas, zwołałem ze szczerem zdziwieniem, bo dobrze pamiętałem, że nic nie widział podobnego.

Dał mi znak, i obracając się do murzyna Juliano:

— Dwa dollary dla ciebie, *perro*, rzekł mu, jeśli się udasz tam do *Don Gil Perez guajiro*, blisko *rio Norte*, po pas ze skóry czerwonej, w którym jest ośmdziesiąt dolarów w kiesce.— Zostawiłem go tam na stoliku w moim pokoju.— Znajdziesz nas obu u *el senor Gil Peter O'Neil* w Santo Spiritu, gdzie się udajemy.

— Znam guajiro, odpowiedział czarny, i zwracając cugle konia, zemknął tak prędko jak pan jego.

Skorośmy już nie słyszeli odgłosu kroków wierzchowca unoszącego biednego Juliano, O'Neil wybuchnął śmiechem.

— A tak, cóż teraz czynić zamysłasz?

— Jak tylko można najprędzej dojechać do Santo-Spiritu, gdzie stoi na kotwicy, jak to nam powiedział Jedediah, bryg amerykański, który odwiezie nas do domu.

— Piękna wyprawa.

— A czyż wolisz zostawić kości swoje w więzieniu gubernatora?

A Seraphita?

— A mój stryj? Westchnął O'Neil.

— Nadewszystko śpieszmy!

— I prędko! Jeśli Jedediah nas wynajdzie, z pomocą *governador'a*, któregośmy tak wywiedli w pole, mógłby dotkliwie zemścić się na nas, Jedediah jest dumnym.

— Jak Hiszpan...

— I mściwy...

— Jak świętoszek.

— Strzeżmy się!

— A konie?...

— Zostawiemy je w pierwszej *posada*, Juliano znajdzie je tam zdrowe i w całości.

Bóg rozrządził inaczej; gwałtowna burza, która powstała, zaczęła dla nas szereg nagłych zmian komicznych i tragicznych, przeplatanych, jak całe życie ludzkie, przypadkami i miłostkami, wydarzeniami i żartami, nie

bez kilku pchnięć sztyletem i kilku dziwnych odkryć.



II.

Burza w Hawannie.— Wolny murzyn.— Z Kuby do Jamaiki.— Gniazdo Piratów.— Najada indyjska.

Burza w Hawannie nie jest zwykłą burzą.— Nie jest to rozdasanie przelotne żywiołów; jest to raczej wstrząśnienie zupełne całego przyrodzenia, które się zapowiada.— Wiatr unosi cię z pniami baobabów i drzew palmowych; deszcz bijący staje się morzem falistem, któremu nie ma sposobu oprzeć się; szczęśliwy kto może w takim przypadku znaleźć schronienie! Pośpieszyliśmy dojechać do pewnego rodzaju drogi wydrążonej, wiodącej do wielkiej doliny, osłonięj skałami urwistemi, zarosłemi lasem, zatem mniej przystępnej dla wichrów.— Niebo było w ogniu.— Konie nasze drżały z przestachu.

— Gdzie jedziemy? spytałem się u O'Neila.

— Dla Boga, ja się pytam o to u ciebie samego: gdzie będziemy mogli, i gdzie zechcą nasze konie.

Zywy potok płynął wzdłuż skały prostopadłej, tworzącej jakby mur umieszczony tam umyślnie dla zasłonięcia nas trochę.— Poszliśmy za ruczajem i ścianą naturalną, tymczasem kiedy pioruny rozbijały w odłamy szczyty tejże skały.— Gdyśmy tak szli więcej pięciu godzin, a burza nie ustawała, przemokli aż do kości i umierający z głodu, zdało się nam, że postrzegamy światło na prawo, na dole ukośnej skały, która się pochylała w naturalnej spadzistości ku ciemnym głębiom.

— Oto jest jakaś siedziba! rzekłem do O'Neila.

— Ba! jest to jakiś z tych wielkich owadów, które noszą z sobą latarnie, a tak są pospolite w tym kraju!

— Nie sądzę tak bynajmniej; światło jest zupełnie stałe.— Zwróćmy się w tę stronę.

— Nie widać drogi, a grzmot z błyskawicami nie wystarcza, aby nami kierować.— Mojem zdaniem należy wybrać pierwsze wydrążenie w skale i czekać poranku.

W istocie noc nadeszła, i byliśmy zupełnie zbłąkani.— Światło odległe błyszczało ciągle, jakby z nas sztydząc.— Konie, zupełnie zmęczone i drżące, odmawiały nam iść dalej.— Okręciliśmy się jak można było najlepiej płaszczami, i przyparci do ułamku skały, z nogami w wodzie, pozwoliliśmy piorunom huczeć i błyskawicom próć obłoki.— Nigdy noc

nie była lub nie wydawała się dłuższą.—Pierwsze światło dzienne, zaciemnione burzą, która się nie zmniejszała, przekonało nas, że się nie myliłem; postrzegliśmy rodzaj chatki, nędznego pozoru, o pół mili prawie odległości w wydrążeniu utworzonem przez naturę gruntu. Wsiadając na konia Jedediaha, O'Neil doświadczał już gorączki, i ja byłem zmuszony pomagać mu; zaledwo mógł się trzymać.—Nareszcie przybyliśmy do chatki.

Wolny murzyn, który jest najnędzniejszym ze wszystkich rodzajów murzynów, mieszkał w niej ze swoją żoną; nie tylko ci biedacy przyjęli nas bardzo dobrze, ale Flora, to jest imię murzynki, która miała jak większa część starych kobiet pretensją do leczenia, pielęgnowała O'Neila z macierzyńską troskliwością. Znała się dobrze na lekach; wyciski z ziół nieznanych w Europie, które kazała pić memu towarzyszowi, wzmocniły go w pięć dni; ale był jeszcze bardzo osłabiony; trochę wina byłoby dla niego bardzo potrzebnem, a wyczerpaliśmy już nasze zapasy.—Gospodarz więc murzyn, który się nazywał Joachim, poszedł do sąsiedniego miasteczka czyli *pueblcito*, aby się zaopatrzyć w trochę wina.—Wiadomości, które przyniósł z miasteczka nie były zadowalniające.—Dwóch kapitanów *de partido* przybyli doń szukając, jak mówili, dwóch złoczyńców anglo-amerykanów, którzy ukradli konie, złamali prawa kwarantanny, i których podej-

rzewano, że są szpiegami angielskimi w stosunkach z nieprzyjaciółmi kraju.— Ofiarowano sto dollarów w nagrodę temu, ktoby ich dostawił do Hawanny »umarłych lub żywych.«— Tými złoczyńcami był nie kto inny, tylko my sami, i Joachim nawet domyślał się tego.

— Senores, rzekł nam, nie zawierzajcie nikomu.— Są tutaj ludzie, których skóra jest biała a serce czarne.— Co do mnie i do mojej żony możecie być spokojni.

Biedak ten prawdę mówił.— Nie mieliśmy się czego lękać jego bezinteresownej prawości.— Przez ośm. dni koniecznych potrzebnych dla wyzdrowienia O'Neila, byliśmy ukryci w jego chatce; i dawszy mu dwadzieścia dollarów, które dla niego miały wartości tysiąca talarów, odjechalśmy nie wiedząc gdzie się udajemy, z jedynym zamiarem unikania miejsc zamieszkałych i dojścia jakiegokolwiek punktu na brzegu, gdziebyśmy może znaleźli jaką zbawczą szalupę.— Sawanny powinny były dostarczyć koniom, których staliśmy się nieprawymi posiadaczami, obfitej paszy, a zawsze rachowaliśmy, że jeśli będziemy tyle szczęśliwi, iż wsiądziemy na statek, to odeszliśmy je z grzecznością Jedediahowi Gibson, ich rzeczywiście właścicielowi.

Taka jest sprężystość młodości, że rzucając się bez żadnego przewodnika, w te wesołe i żyzne niezamieszkałe sawanny, byliśmy obaj bardzo mało usposobieni do melancholii.— Je-

dnakże położenie nasze nie było miłe.— Jak się ocalić, i co robić? Zraniliśmy próżność najwyższego pana wyspy, i pozbawili Amerykanina ulubionej jego zabawy.— Byliśmy potępieni, a na głowę naszą nałożono ceny.— Dotknąć u dwóch takich możnych panów jednej z tych ran, których nie przebaczą nigdy, było to występkiem godnym śmierci.— Byliśmy obcy, młodzi, bez znaczenia, bez kredytu, bez przyjaciół, i nie znaleźliśmy nawet mapy tego kraju, w którym zostawaliśmy.— Nareszcie szło tutaj o nasze życie i wolność, a wszystko dla dzieciństwa i śmiesznej pustoty, którą podobało się memu przyjacielowi Irlandczykowi dopełnić dla zabawki, i dla kilku niedorzecznych powieści, na które się odważył.— Nie było żadnego sposobu odrobienia tego, i nie widziałem bardziej szalonej pretensyi, jak chcieć zwalczyć los i toczyć walkę przeciw faktom spełnionym i zwyciężkiej konieczności; zdaliśmy się więc na to, co Bóg zechce z nami uczynić.— Przez trzy dni, błądziliśmy tu i ówdzie, spotykając tylko *iguanos* bardzo niewinnych, pomimo ich postaci krokodyla; pijąc wodę ze źródeł, jedząc owoce z drzew bananowych, polując na *palomby* i *aguty*, i prowadząc życie zupełnie pierwotne i patryarchalne, nie mające nic nieprzyjemnego.— Konie nasze odpasły się.— Staraliśmy się orientować tak, żeby się kierować ku brzegowi wyspy, gdziebyśmy może znaleźli, a przynajmniej spo-

dziewaliśmy się tego, jakiś środek zbawienia.— Ani jedna istota ludzka nie pokazała się nam przez te trzy dni.— Jeśli jest co zadziwiającego, to myśl, że przestrzenie ziemi tak obszerne i tak żyzne, zupełnie są pozbawione mieszkańców, wówczas kiedy okolice prawie niepłodne w Europie nie wystarczają do wyżywienia ogromnej ludności, która się tam cisnie.— Wkrótce jednak zmienił się widok okolicy, roślinność stała się nędzniejszą, bardziej żółtą, mniej zdrową, a potem znikła zupełnie. Nie było żywych źródeł, zaledwie trawa; nareszcie zbliżyliśmy się do skał gołych, między którymi były obszary piaszczyste, nie zdatne do zamieszkania.— Trzeba było koniecznie wody dla nas i dla koni naszych.— Zmieniliśmy kierunek, i zwracając się na prawo, odkryliśmy nakoniec ku wieczorowi dnia czwartego, małą osadę położoną na brzegach błotnistej przystani.— Pierwsi czarni, którzy nas postrzegli, przynieśli nam, nim jeszcze poprosiliśmy ich o cokolwiek, pomarańcze, banany, wodę i rum, tak gościnność jest tu powszechną i naturalną.— Pan ich, Hiszpan dość biedny, nazwiskiem *don Urtubio y Salazar*, prowadził handel cukrem z wyspą S. Trójcy; i sądzę, z położenia miejscowego, że łączył trochę kontrabandy do kupiectwa zwyczajnego.— Wielki statek z żaglami, należący do niego, tylko co przybył, o czém nas zawiadomili czarni, którzy nas zapraszali, aby wejść do

ich lepiątek, na co mój towarzysz nie zgodził się wszakże.

— Gdzie chcesz, abyśmy spali? spytałem go.

— Gdzie? w statku z żaglami don Salazara.

— Trzeba go znaleźć.

— To się zaraz da zrobić.— Obejdźmy trochę brzegi przystani.— Zabierzmy statek.— Jesteśmy obaj trochę marynarzami.— Nasze dwa konie przywiązane na brzegu do pierwszego drzewa jakie napotkamy, będą się zdawały właścicielowi statku dostatecznym wynagrodzeniem; a my będziemy ocaleni.

Było to zresztą, co można było zrobić najlepszego; w szalonych okolicznościach, mądrość też szaleńców się trzyma.— W istocie, kiedyśmy szli przez kwadrans trzymając konie za cugle, zobaczyliśmy statek, którego wyładowaniem zajęty był jeden czarny i dziecko.— Noc się zbliżała; jeden i drugi spieszyli się jak mogli; a przywiązawszy mocno mały statek, i zawiesiwszy dwa ogromne paki na żerdzi, której jeden koniec spoczywał na ramieniu dziecka, a drugi trzymał murzyn, skierowali się dość zwolna ku mieszkaniu.

Co do nas, staraliśmy się bardzo ukrywać i przyczajać.— Chaty murzynów były w tak małej od nas odległości, żeśmy słyszeli dzieci krzyczące.

Zajęliśmy się napełnieniem wodą naszych tykw i małego dzbanka, któryśmy wzięli, tu-

dzień zbieraniem owoców tyle, ileśmy mogli ich znaleźć na drzewach sąsiednich, kiedy stara murzynka, zbliżywszy się wilczym krokiem do statku, i pełzając raczej aniżeli idąc, weszła do szalupy, zwiedziła ją od głębi do brzegu, i nieznajdując tam zapewne nic coby skraść mogła, oddaliła się wymawiając najdobitniejsze przekleństwo hiszpańskie, jakie w życiu mojem słyszałem.— O'Neil wyszedł z naszej kryjówki, przywiązał konie do drzewa różkowego dzikiego, i wówczas kiedy się zwróciłem dla zaopatrzenia się w pomarańcze i cytryny w małym gaiku, który postrzegłem, zaczął robić przegląd statku, gdzie umieścić naszą żywność, broń i wszystko cośmy posiadali, aby się udać na morze i próbować losu.

Około godziny dziewiątej wieczorem, podnieśliśmy kotwicę, bo mieliśmy małą kotwicę, a ja się zająłem stérem.— O'Neil mniej silny odemnie, usnął na pęku lin; mniej niż w godzinę statek przebył ujście zatoki i znaleźliśmy się na pełném morzu.—Obudziłem mojego towarzysza, aby mi pomógł rozwinać żagiel, który był w dobrym stanie, i skierowaliśmy się ku wschodowi, starając się oddalić o ile można od osady, której właściciel znalazł się pozbawionym sposobu zwykłego przewozu.— Noc była piękna, chociaż księżyc nie pokazywał się.— Wiatr świeży dał z północy na zachód, i mniej niż we dwie godziny byliśmy oddaleni więcej dwóch mil od lądu, któ-

ryśmy widzieli rysujący się bardzo wyraźnie na tle błękitném nieba.

Mały statek, który opanowaliśmy, miał dwadzieścia dwie stóp długości, dwa żagle i dwa wiosła.—Beczka popiołu, węgla, siekiera, nóż, kubek cynowy i mały kuferek zamknięty, oto wszystko cośmy tam znaleźli.—Jednakże położenie nasze się polepszyło; jeżelibyśmy potrafili popłynąć wzdłuż brzegu bez przypadku; kierując się zaś zawsze na wschód, nie mogliśmy ominąć Jamaiki, gdzie bylibyśmy przynajmniej spokojni przeciw napaści konsula amerykańskiego i gubernatora Kuby; nie mieliśmy tylko dość żywności, i wody mogło nam wkrótce zabraknąć.

Aż do wieczora przeprawa była szczęśliwa, i wylądowaliśmy w małej zatoce, po za brzegami której przechodziła wielka ilość bydła.—Wysiedliśmy uzbrojeni naszemi strzelbami, i wkrótce usłyszeliśmy zwykłe pozdrowienie Hiszpańskie rozlegające się w uszach naszych.

—»Cudzoziemcy, Bóg niech będzie z wami.« Człowiek tak nas pozdrawiający, który był na koniu, było *montero* bardzo poczciwej miny, u któregośmy się zapytali, czy nie może nam dostarczyć żywności, której potrzebowaliśmy. Wziął nas za *contrabandistas* przybywających z Jamaiki, bohaterów bardzo ulubionych na wyspie Kuba jak i w metropolji, i zaprowadził nas do swego mieszkania, gdzieśmy noc przepędzili.—Nazajutrz obładował konia i dwa

muły dwoma ogromnemi naczyniami napełnionemi wodą; dołączył do tego trzydzieści jeden orzechów kokosowych, dwie szynki wędzone, sto pomarańcz i bananów, ośm czy dziesięć funtów *tassao* (zrazy wołowe wysuszone i wędzone) i dwanaście bułek po cztery funty, które sprzedał tanio, nic za nocleg nie wymagając.— Przeprowadziwszy nas aż do statku, życzył nam poważnie dnia dobrego, i nócąc sobie *seguidilla* powrócił do swego dzikiego mieszkania, gdzie żyje jeszcze bez wątpienia, oddalony od wszystkich środków cywilizacyi, a bogatszy może w rzeczywistości od wielu kapitalistów wielkich miast.

Wypłynęliśmy znowu na morze, wiatr się zmienił.— Mocny wicher północny wznosił bałwany; statek napełniał się wodą; zaledwo mieliśmy czas i siłę wypróżnić go.— Wkrótce mimowolnie straciliśmy brzeg z oczu; nakoniec nie byliśmy panami naszego małego statku.— Nasza żywność była zamoczona, chleb nasz zmienił się w papkę; i tak przepędziliśmy cały dzień podtrzymując bezużyteczną walkę. Trzeba było płynąć jak mogliśmy, stosownie do wiatru, fal, przypadków morskich, i powierzyć się przeznaczeniu.

Ku wieczorowi postrzegliśmy przed sobą długą ścianę skał sterczących, które się rozciągały prawie aż do widnokregu, i których szczyty białe i ścisnięte, zapowiadały nam blizkie niebezpieczeństwo.— Nasza barka, unoszona pę-

dem, wyrzuciła nas mimowolnie na ten wał kołyszących się fal.— Sądziliśmy już że zginemy, nie mogąc być panami tego gwałtownego pędu, kiedyśmy rozpoznali, że byliśmy wśród prawdziwego archipelagu małych skał, wysepek ledwie sterczących z wody, szkopułów i pokładów piasku.— Piana wrzała, bałwany rozbijały się w całym znaczeniu, a my nie wiedzieliśmy zgoła, gdzie się znajdujemy. Razem statek podskoczył żywiej, zajął miejsce w otworze wązkim, któregośmy nie spostrzegli, i ześliznął się między dwiema ścianami skały prostopadłymi, gdzie światło dzienne za ledwie przenikało. To szczególniejsze wejście, ciemne i groźne, było jednakże naszym zbawieniem.— Pędząc pomimowolnie z chyżością godną parowej maszyny, w tym ciemnym otworze, uczuliśmy nagle zwolniony nasz pochód. Przypadek i pęd wody sprawiły, żeśmy wypłynęli nie wiedząc o tém na jezioro wewnętrzne, o kilku milach obwodu, mające to jedno tylko wejście, usiane wyspami zieleniejącymi i otoczone, albo raczej uwieńczone gęstymi lasami, i jakby ukryte w ich łonie.— Zapewne, że jest Bóstwo dla szalonych jak i dla kochanków; raz jeszcze zostaliśmy wybawieni.

— Sądzę doprawdy żeśmy u portu, zawołał O'Neil zwijając żagiel; któżby się u licha domyślał istnienia jeziora za szczytem Kabalonów!

—Korsarze domyślili się już pewnie tego, a dowodem jest to, że zrobili z tego miejsca, gdzie jesteście punkt środkowy swoich działań; oto powrozy na wybrzeżu, deski, a nawet i kotwica zardzewiała.

—Zobaczę to jutro rano.—Wysiadzmy przede wszystkim; już dłużej nie wytrzymam.—Niezdolni obaj do przedsięwzięcia nowych usiłowań, wysiedliśmy na ląd, i przywiązawszy gruntownie statek, który nie był uszkodzony, schroniliśmy się, i rozciągnęli się, nie mówiąc ani słowa więcej, pod gęstwiną drzewa, gdzie sen ołowiany ogarnął nas za chwilę.

Nazajutrz wiatr wiał z większą gwałtownością; oczyściliśmy broń naszą i narządaliśmy ją, a po skromnym śniadaniu, zaczęliśmy rozpoznawanie niespodziewanego schronienia, gdzieś się znajdowali.—Płaszczyzna jeziora głęboko wpuszczonego w brzegi, które się wznosiły na dziesięć do dwónastu stóp nad powierzchnią wody, przedstawiała na jednym czy dwóch punktach łatwiejszy przystęp i wybrzeże równe, piaszczyste i wygodne.—Wysepki, które się tam znajdowały rozsiane, wszystkie wulkanicznej formacji, dawały krajobrazowi widok najbardziej urozmaicony.—Na lewo, około trzydziestu sążni od kotliny, grunt wznosił się stopniami, potem to podnoszenie się stając się nagle urwistym i gwałtownym, kończyło się znowu szeroką płaszczyzną uwieńczoną wielkimi drzewami bananowymi; obserwa-

torium rzeczywiście zachwycające, na które z trudnością dostaliśmy się, ale które opłacało nasze trudy, odkrywając widok najpyszniejszy. Pełne morze rozciągało się aż do widnokregu; między niem, a nami tysiące skał z wierzchołkami ząbkowanymi i nierównymi, wznosiły się więcej jak na sto stóp nad pianą białą, która się rozbijała u ich stóp, długą jakby ścianą z wierzchołkami zwapniałymi i wyciętymi w gzygzyki.— Liczne ułamki statków, desek, lin, aż do armat, któreśmy spostrzegali w wycięciach sterczących i zakrętach tych okolic, nie zostawiały wątpliwości o licznych wypadkach, których były świadkami od niepamiętnych czasów.— Dla rozbójników morskich było to położenie jedyne.— Z punktu gdzieśmy byli, nie łatwiejszego jak widzieć, co się dzieje na pełnym morzu; mała przystań, gdzie los nas rzucił, przedstawiała dla korsarzy pewne schronienie po wyprawie szczęśliwej lub nieszczęśliwej.

Powróciliśmy znowu, aby wysuszyć zapasy nasze, i wsiadłszy do naszego statku, po rozłożeniu ich na pełnym słońcu na brzegu, zaczęliśmy opływać na około jezioro.— W wielu grotach, albo wydrążeniach skał, stare armaty małego kalibru i zupełnie zardzewiałe, liny, szczątki drabin okrętowych potwierdzały zdanie, które dnia wczorajszego wyraziłem.— Było to zapewne dawniejsze schronienie korsarzy.— W głębi zatoki, około dziesięciu są-

żni od brzegu jeziora, postrześliśmy nareszcie pewien rodzaj dachu szczególnego, w połowie ukrytego pod wielkimi drzewami, który zapowiadał jakieś pomieszkanie.— Ani dymu, ani szelestu, ani ruchu, nic coby mogło wskazywać obecność człowieka.— Nabiliśmy jednak strzelby, i wysiadłszy na ziemię, zbliżyliśmy się z pewnemi ostrożnościami.

Pudło statku przewrócone wieńczyło chatkę więcej długą jak szeroką zbudowaną z desek okrętowych; spodnia sztuka drzewa okrętu przebita wskrós służyła za przysionek.— Wszystko to było zmarnowane i zniszczone; drzwi wyrwane, wywrócone były wewnątrz, popchnęliśmy je i byliśmy bardzo zdziwieni, kiedyśmy weszli do pokoju wygodnego, wytwornego nawet, o dwóch oknach wychodzących na pewien rodzaj ogrodu angielskiego.— Krzesła mahoniowe, stoły z dywanami bogatemi spadającymi w fałdach, lampa fabryki amerykańskiej zawieszona na suficie na łańcuźku mosiężnym, sofy pokryte aksamitem karmazynowym zupełnie wytartym, i biust Napoleona na stoliczku, z kąd się rozwijała nad zwierciadłem Weneckim wielka mappa geograficzna, zapowiadały, że nie wiele lat upłynęło od czasu jak piraci opuścili to pomieszkanie.— Małe wschody kręte, zastosowane w głębi pokoju, prowadziły z dołu na pierwsze i jedyne piętro, schodziły i do piwnicy.— Zawołaliśmy, nikt nie odpowiedział; wystrzeliłem z fuzyi przez

okno, echo skał i jeziora powtórzyło strzał razy dziesięć sposobem najwyraźniejszym; ot i wszystko.— Piętro wyższe, na któreśmy weszli, daleko mniej ozdobne aniżeli dół, podobne było do szpitala lub sypialni.— Trzy łóżka bez pościeli bardzo niskie, naczynia gospodarskie, materace na podłodze, jedno czy dwa krzesła słomiane, składały w niem całą ruchomość.— Kilka tłomoków lub mantelzaków majtków, leżały stosem w kącie; zamki były stare i zardzawiałe, i rozbiliśmy je bez trudności.— Znaleźliśmy tam bieliznę, suknie podarte i zszarżane, i kilka książek hiszpańskich i francuzkich, między innemi *Vida de Santa Teresa* i *Histoire des boucaniers et flibustiers*.— Marginesy i okładki tego dzieła, które zdawało się być wertowane i odczytywane, zapełnione były notami pisanemi, takimi jak te np., które przepisałem dokładnie:

»14. Lutego 1809 zatonął ten łotr de Martinez.— 8 Kwietnia 1809 stracona *Sylfida*.— We wrześniu 1811 wynaleziona stara kryjówka korsarzy.«— Wiadomości były dość dokładne, i nie mogliśmy się w tém mylić.

Dzisiaj brzegi tego jeziora nie są puste.— Jeden Hawańczyk, Hrabia de Villamar, pobudował na tych brzegach piękny folwark, i każe paść tam liczne trzody.— Umieszczone między skałami Boca Grande i Boca de Caballones, które się wznoszą i zakrywają jezio-

ro to na prawo i na lewo, zagłębione w falach zieloności, odbijając i kąpiąc zarazem liście drzew palmowych, mangowych i bananowych, zwieszających się nad jego wodą błyszczącą, przedstawia ono jeszcze kotlinę najmiłszą i najwspanialszą.—Przestrzeń jego dość ograniczona i spokojna; przezroczystość fal odbijają od dzikiego widoku dwóch skał o czarnych wierzchołkach, zamykających doń wejście.—Szmer morza, który się daje słyszeć z daleka, podwaja uczucie bezpieczeństwa, którego się doznaje na łonie tej wdzięcznej ustroni, nad którą przelatują grzywacze mrużące, a które zniżają się ku powierzchni jeziora, aby odświeżyć skrzydła, i znowu wracają do gniazda zawieszzonego na jakimś drzewie gojawowém.

Było to rozkoszne ustronie.—Ptaki równikowe, małe *negritos*, albo kanarki czarne, których pióra są brunatne złocone, papugi promieniejące i wielokolorowe, synogarlice białe i perłowo-szare, krzyżowały się i latały wolno nad jeziorem, jak we własnej siedzibie; łuski złocone i błękitne ryb przebiegały wody jak strzały dziwaczne; życie wylewało się i poruszało wszędzie bez nieładu i bez zgiełku; powiewy i głosy harmonijne wychodziły z liścia; szczebiotanie papug i małe krzyki *iguanów* dzikich, rozweselały jednostajność tych odgłosów przyjemnych i szemrzących, a odległe kołysanie się oceanu służyło jakby za tło symfonii.

Postzegliśmy te wszystkie rozkosze bardzo późno, to jest nazajutrz rano, po »wypoczęciu naszych członków strudzonych« jak mówią panowie poeci, i po »odpędzeniu głodu jedzeniem« jak się wyraża dobry Wirgiliusz, który nie pogardza nigdy dostarczeniem dobrej uczty swojemu Eneaszowi.— Dodaliśmy do naszej żywności ostrygi najsmaczniejsze i wybornego zółwia, tak że przekąska nasza była godną książęcego podniebienia.— Wiatr się uspokoił, słońce było skwarne.— Ponieważ przypadek zapędził nas do schronienia kilku korsarzy czyli rozbójników morskich, gdzie nie było prawdopodobnem, aby te straszliwe osoby mogły się prędko zjawić, sądziliśmy że trzeba korzystać ze zrzeczności, która się nam wydarza, i używać wygod tak długo, jak tylko będziemy mogli, w ich opuszczonem mieszkaniu.

Opanowaliśmy więc ich pałac, gdzie urządziliśmy śniadanie.— O'Neil rozciągnął się na sofie i zasnął; ja wziąłem dwa krzesła, na których się umieściłem przed drzwiami wyłamanymi, wówczas kiedy ciąg powietrza, przybywający z jeziora, a pochodzący z morza, przynosił mi mieszaninę przyjemnych woni i ten zapach morski a ostry, tak przenikający a tak życiodawczy.— Śniadanie nasze było wyborne, chociaż bez przygotowania.— Położyłem fajkę na ziemi i usnąłem z kolei, kiedy otworzył oczy, słońce weszło na niebie wyso-

ko, i zdawało mi się, że lekki szelest dał się słyszeć dość blisko mnie w gęstych krzakach.— Wstałem; ciało jakiegoś którego nie mogłem rozróżnić, tak szybkość poruszeń jego była żywą, rzuciło się z brzegu w jezioro i zaczęło pływać.— Sledziłem je uważnie wzrokiem, i powoli zbudziłem O'Neila.

— To kobieta, krzyknął Irlandczyk.— W istocie, nie mylił się; i wydarzenie stawało się rzeczywiście mitologiczném i godném samego Kamoensa.— Nimfa oceanu nie jest inaczéj odziana; ta, delikatnością i zgrabnością zarysów, nie przypominała w niczém utworów Rubensa; ale była ubrana prawie tym samym sposobem.— Przestaliśmy tak przez czas długi w milczeniu, O'Neil chciał opuszczać swoją kryjówkę, a ja go powstrzymałem za rękę.— Indyanka, w swoich kapryśnych zwrótach, była tak swobodną, jak elegantka w przestrzeni daleko więcej ścieśnionej swojej kąpieli.— Zdawała się uważać całe jezioro jako szczególną swą własność, w jednej chwili sądziła, że posłyszała szelest, i odwracając swą ciekawą głowę nad wodą, patrzyła na wszystkie strony; twarz jéj była delikatna i rysy ładne; nie miała żadnej z tych szczególnych ozdób, któremi dzikie elegantki igłą nakłówiają swe ciało.— Nos prosty, czoło dość niskie, oczy wyraziste i błyszczące, powieki proste, składały całość zachwycającą i charakterystyczną.

Nie będę się zatrzymywał nad opisywaniem

igraszek najady indyjskiej, która zdawała się być statuetką z brązu florentyńskiego ożywioną i ruchomą; te jej płasy wodne miały dla nas, jak łatwo się domyślić, żywy pociąg ciekawości. — Odblaski przezroczystej wody na tej szczególnej i ciepłej karnacyi, niewinność wreszcie płasów, którym się oddawała ze wszelką swobodą, zajmowały nas przez jakie dwadzieścia minut.

— Ah tak! powiedziałem do O'Neila, to ryba pięknego gatunku! Zróbmy radę.

— Okoliczność ważna. — Cóż o tém mówisz?

— Istoty drugiej płci, które koniecznie muszą się znajdować w sąsiedztwie, nie będą nas widziały z przyjemnością: trzeba się będzie bić!

— Ba, mamy dwie strzelby!

I mówiąc to, mój trzpiot Irlandczyk wyskoczył przez okno, i zaczął mówić językiem hiszpańskim, który źle wymawiał, do mieszkanki wód.

Ona wydała krzyk ostry, odwróciła się i zanurzyła. — Postrześliśmy tylko znak dość słaby, który wskazywał tajemniczą drogę pod wodą, którą się udała. — Po dwóch czy trzech minutach, jej głowa przelękniona okazała się znowu, skierowana ku grocie czyli jaskini bardzo niskiej, tworzącej rodzaj arkady zniżonej do środka, którą wieńczyły gęste liście drzew mangowych. — Tam, cały ślad najady zniknął. — Przyzywaliśmy ją jak mogliśmy najlepiej po

hiszpańsku i po francuzku, mówiąc jój, żeśmy podróżni, że nic jój złego nie zrobimy, żeby nas zaprowadziła do rodziny swojej, że ją wynagrodziemy bardzo hojnie: nie dała żadnej odpowiedzi, i w chwili kiedy O'Neil, przepływający przez jezioro i schyliwszy się ku jaskini, próbował rozchylić gałęzie drzew mango wych, aby zobaczyć trochę co się dzieje wewnątrz, kula pistoletowa przebiła liście, wypadając z głębi groty, i nagle położyła koniec nieprzyzwoitym poszukiwaniom mojego towarzysza Irlandczyka, ale nie naszym przygodom, w których kąpiąca się i ten, który wystrzelił z pistoletu, ktokolwiek on był, zajęli znakomite miejsce.

III.

Przez Sawany.— Kopalnie złota na wyspie Kuba.—
 Teniente.— Francuz z St. Domingo.— Gdzieśmy
 znaleźli Serapfitę.— Trzęsienie ziemi.— Skarb Watchi-
 nango.— Jeszcze najada Indyjska.

Jacy byli mieszkańcy jaskini, do której bez wątpienia młoda dziewczyna schroniła się przez jezioro, i do której nam wzbroniono wejścia wystrzałami z pistoletu? Czyli to było schro-

nieniem jakiego rozbojnika pozostałego i zbiegłego, który nie chciał się poddać cywilizacyi? albo może jaki Meksykanin z Yucatan przeniósł w tę okolicę swoje zastarzałe penaty tak często niepokojone wojną o niepodległość? Zajęci byliśmy rozwiązaniem tych zadań, kiedy nowa kula, wystrzelona nie z jaskini, ale z gęstwiny wieńczącej na prawo rodzaj szyi wązkiej, w którą zagłębia to się jezioro, ostrzegła nas żebyśmy nie filozofowali i nie robili ani studij malowniczych nad pierwotnym typem hawańskich nereid, ani się oddawali marzeniom Edenu nad samotnością i miłością.— Byliśmy w takim położeniu, że mogli mierzyć do nas i strzelać jak do celu, a zabić na miejscu, podczas gdy my nie mogliśmy ani celować ani się bronić.— Rozpatrywałem się na wszystkie strony, aby odkryć tych co na nas nacierają, jeśliby można, wzrok, mój, przebiegając cały obwód jeziora i wyżyn otaczających je od Kaballonów aż do Boca Grande, postrzegał tylko odwieczne liście roślinności tak pięknej, tak bogatej i wspaniałej że się zradzało żądanie żeby tu dodać dla różnaitości, trochę jałowości gruntu, trochę lodów i jaskiń dzikszyc i ciemniejszych.

Zdawało się że nieprzyjaciele nasi, ktokolwiek oni byli chcieli tylko zabronić nam wstępu do ich mieszkania, i prosić grzecznie aby im nie przeszkadzać, ponieważ oni nie przyjmowali.— Skoro tylko ruszyliśmy z miejsca, i statek nasz był w drodze, nikt nas nie nie-

pokoił; tylko, O'Neil powziąwszy myśl nieszczęśliwą, według swego zwyczaju, wywołania niebezpieczeństwa kiedy niebezpieczeństwo nie myślało o nim, odważył się skierować trochę rudlem i zwrócić, w stronę jaskini najady.— Natychmiast, aby przekonać o swojej czujności, nieznani mieszkańcy pozdrowili nas nowym strzałem, który przeszył jeden z naszych żagłów, i przeszedł w bardzo małej odległości od głowy mojej.

—Wiatr jest korzystny, rzekł O'Neil, zapewne aby mi przeszkodzić czynić mu wymówki za jego wyskoki; dmie z południa, przypłyniemy.

—Ty wiesz dobrze, wieczny szaleńcze, że nie mamy z sobą dość wody; pierwsza nawałnica która nas rzuci na morze, będzie naszą śmiercią.

—Zróbmy zwrot ku północy.— Wyspa ma tyle zatok, przystani, portów, wydrążeń i wklęsłości, jak koronka; przybijemy do brzegu tej nocy, aby wziąć wody ile będziemy chcieli.— Weź zresztą rudel, i kieruj, jeśli sądzisz, że to lepiej odemnie potrafisz.

Przypadek, zawsze pomagający szaleńcom, chciał że od chwili w której O'Neil przestał kierować statkiem i rudel był w mojem ręku, wpłynęliśmy na przestrzenie zupełnie inne i najtrudniejsze.— Przyptywy i odpływy pchnęły i odpychały mały statek w kierunkach najprzeciwniejszych; wszystkie przykrości dały

się uczuć mniej niż w kwadrans, a wiatr dał naprzemian ze wszystkich punktów najprzeciwniejszych horyzontu.— Zostaliśmy rzuceni daleko od brzegu, któryśmy stracili z oczu, i wielki dészcz zaczął się z nocą.— Morze stało się tak burzliwem jak nigdy jeszcze go nie widzieliśmy, a Irlandczyk O'Neil, zwykle mało nabożny, chociaż katolik, zaczął się modlić, co było złym znakiem.— Można było stawić sto przeciw jednemu że nasz wąły statek, bez ustanku wahający się między górami wody lub tańczący na ich ostrych wierzchołkach, zostanie pochłoniętym co chwilę.— Tymczasem, kierowałem ciągle jak mogłem, i po dwóch dniach i dwóch nocach niepokoju i zmęczenia nadzwyczajnego, postrzegliśmy ląd.— Morze było mniej wzburzone; O'Neil zaczął znowu śpiewać i wziął stér.

Brzeg do któregośmy przybili miał szczególny widok.— Mniej był podobnym do lądu, jak do lasu płynącego, bo nie widać było ziemi.

Przerznęliśmy się do małej wklęsłości czyli zatoki, ocienionej ze wszech stron i otoczonej drzewami mangowemi bardzo niskimi i bardzo gęstemi.— W krótcie statek zatrzymał się w mule, i wszelkie nasze usiłowania aby go uwolnić, były bezużytecznemi.— Wystrzały pistoletowe obrońców jeziora i groty nie dozwoliły nam zabrać ilości dostatecznej wody, a swoją wyczerpnęliśmy; pragnienie więc nas pożerało.— Trze-

ba było zaopatrzyć się nam w wodę, pomimo wszelkich narażeń się i niebezpieczeństw.

Wysiadłszy na ziemię albo raczej do błota, zaczęliśmy pochód najbardziej męczący i najokrutniejszy w świecie; niekiedy mieliśmy mułu aż do pasa niekiedy znowu zawieszaliśmy się jak mogliśmy na gałęziach sękowatych drzew mangowych, niekiedy czołgaliśmy się jak węże pod ciemnymi sklepieniami i wychylonemi gałęziami tego szczególnego drzewa, które samo się odradza jak drzewo figowe z rodzaju banian, i które obciążając się na drodze pasożytnemi roślinami wszelkiego gatunku, przemienia gałęzie w nowe korzenie, i takim sposobem tworzy nieskończone i ciemne labirynty na trzy lub cztery stopy wysokości.

Narąbaliśmy siekierą i nożami gałęzi ile tylko mogliśmy. — Ale wyobraźcie sobie położenie w jakim znajdowaliśmy się jeden i drugi; słońce ciaskalo na nasze głowy prostopadłe promienie; głód i pragnienie nas męczyły; probowaliśmy żuć liście łykowane i grube drzewa mangowego, które nasycone kwasem alkalicznym, powiększały tylko nasze męczarnie i rozdrażniały pragnienie. Wszakże szliśmy ciągle dalej z pewnym rodzajem szalonej wściekłości. — Noc nadeszła; myriady owadów nas opanowały. Powietrze było ciężkie, burzliwe, obładowane elektrycznością. — Zatrzymaliśmy się; ale jakże spać? ukąszenia i kłucia owadów nie pozwalały nam zamknąć oczu, i rozciągnęliśmy się, zniechęceni i zbiedzeni,

na łożu z błota przenikającego nasze zbolełe członki.

Nie spałem, było to niepodobnym; ale miałem przerażające marzenia, skutek tego co Hiszpanie nazywają *calentura da morte*.— Jużto zdawało mi się że tańcuje w Nowym Orleanie na jednym z tych balów gdzie służący podnoszą na półmiskach *sangarie* zamrożone lodem, rodzaj pończu rzymskiego, tak smacznego, tak chłodzącego, i tak wzmacniającego.— Niekiedy przemieniałem się w *pikadora* hawańskiego i rzucałem się na koniu przeciw ogromnemu bykowi który mię obalał skapanego we krwi mojej.— Wkrótce marzenie znikało, a znajdowałem się w położeniu więcej jeszcze opłakaném niżeli to które mi się śniło.

Jutrzenka się pokazała; wzięliśmy się do dzieła.— Wycieńczeni, chwiejący się, i opanowani mdłością na każdym kroku, zaledwie ochraniani liśćmi twardemi i wyschłemi stawającymi nam na przeszkodzie i niedającymi schronienia, z próżnym żołądkiem, z rękami i nogami zlodowaciałemi i zdrętwiałemi, rozpoznaliśmy nareszcie, około południa, że drzewa mango stawały się mniej gęste i że ziemia była innéj natury.— Wielkie drzewa palmowe dozwalały nam stać prosto; winne latorośle wyschłe otaczały je swemi sękowatemi gałęziami. Ślady kroków rysowały się tu i ówdzie na wilgotnéj ziemi; poznaliśmy że maciora ze swemi małemi, przechodziła tamtędy.— Dla zgłodnia-

łych jak my byliśmy, spotkanie to było dobrém zdarzeniem.

Więcej godziny, O'Neil i ja, z nabitą strzelbą i łażąc po ziemi zawsze rozmięklej, szliśmy za tym śladem, który nareszcie doprowadził nas do małego gajku bardzo gęstego, skąd było słyhać kwiczenie ponure i groźne. Nie byliśmy ludzie lękliwi.— Mieszkańcy lasku, maciora i jej dzieci, uczyniły wycieczkę dość silną, i ja poczułem się ranionym w nogę; lecz ani myślałem o tém.— W głębi kryjówki tego małego pokolenia zobaczyłem trochę wody stojącej; aby jej dostać, przebyłbym i stos w płomieniach.— O'Neil wystrzelił na chybił-trafił do maciory, odbił jej łapę z przodu, i używając potém muszkietu jak maczugi, wymierzył na zwierzęcia tak straszne uderzenie, że drzewo się złamało, i maciora padła na ziemię.— Zanurzyłem mój *bowie-knife* w jej wnętrzościach, i dokończyłem ją.— Pozostała rodzina była w wieku dość młodym; warchlaki rozbiegły się na wszystkie strony, i zostawiły nas panami pola bitwy.

Wówczas to była uczta bogów, chociaż woda była słonawa i obrzydliwa, a mięso maciory, które piekliśmy na ogniu z gałęzi drzew mango-wych, łykowatością mogące odstręczyć zęby najenergiczniejsze.— Kopiać trochę głębiej dokazaliśmy żeśmy dostali wody nieco znośniejszej do picia.— Nałamaliśmy bardzo wielką ilość gałęzi, i zapaliliśmy kolosalny ogień dla oddalenia muszek; po obmyciu całego ciała,

czarnego i obrzękłego od ukąszeń owadów, zasnęliśmy snem którego by pozazdrościł Sardanapal.

Obudziłem się nazajutrz koło czwartej, a pierwsze uczucie jakiego doświadczyłem, była to przeszywająca boleść sprawiona przez ranę moją; kły maciory nadwreżyły ciało i muskuły; krew płynęła obficie; dla uspokojenia zapalenia, użyłem tłustości zwierzęcej i wymyłem starannie ranę którą obwinałem starą chustką.— Co robić? Statek nasz był stracony, równie jak i konie.— Wynaleźć barkę? nie było co o tem i myśleć. Byłem chromy, nie podobna było rozpocząć trudny i męczący pochód, który nas tu sprowadził.— Skończyliśmy piec cwierci maciory, i skierowaliśmy się na północ.— Grunt trochę był mniej leśny i stawał się kamienistym; doszliśmy do pewnego rodzaju jeziora letniej wody, które nam było do pół łytki.— Piliśmy ją z taką łapczywością, żeśmy dostali gorączki i dyssenterii; trzeba było jednak iść dalej.— Drugi dzień pochodu, podczas którego ciągnęliśmy się raczej aniżeli postępowali, zaprowadził nas do małej przystani napełnionej alligatorami, których rozdziawione paszczęki i płetwy czarne i błyszczące pokazywały się bardzo swobodnie na powierzchni wody.— To byli sąsiedzi bardzo niedogodni; ale ponieważ trzeba było koniecznie przebyć przystań, aby się dostać do wzgórza zarosłego i uprawionego, które się pokazywało na drugim brzegu, nie zastanawialiśmy się.— Z tego wzgórzka, przedstawia-

jącego pociągający widok, wychodził szelest cywilizacyi, dźwięki dzwonków i ryki zwierząt.— Uzbroiliśmy się w kamienie dla płoszenia potworów, i opatrzeni w długie gałęzie któremi uderzaliśmy wodę podwojonemi razami, zmusiliśmy je nakoniec do ucieczki.— Nareszcie przybywszy na drugi brzeg około godziny dziesiątej rano, postrześliśmy mieszkanie.

Jakiegokolwiek niebezpieczeństwo było przed nami, nie mogło iść w porównanie z tém któreśmy uniknęli, i wolelibyśmy zemstę konsula i gubernatora niż zęby rekina albo śmierć z głodu i z pragnienia w jakiej nieznannej jaskini.— Przypadek zaprowadził nas właśnie do don Fernanda Pacheco, *teniente* czyli porucznika gubernatora, którego nasza zła postawa i zabłoczone łaclmiany nas okrywające nie natchnęłyby wielkiem zaufaniem, jeśliby *salvo conducto*, któreśmy zachowali z wielkiem staraniem, i które ciągle miałem z sobą, nie dały mu innego obrażenia. O'Neil opowiedział mu historią statku i żeglugi, naszej morskiej wyprawy, której przemienił pewne szczegóły, i przedstawił nas jako naturalistów badających cuda hawańskiej flory.— *Teniente* nie wierzył w to ani słowa, i jego niewierność nas ocaliła. *Gobernador general* czyliżby powierzył włóczęgóm drogi list bezpieczeństwa któreśmy byli posiadaczami? Mieszkając w części wyspy rzadko odwiedzanej, on nawet ani słyszał o dwóch szpiegach amerykańskich wygnanych przez władzę.— Wy-

tłumaczył zupełnie inaczej naszą obecność i nasze przybycie.

Żądza i nadzieja odkrycia kopalni złota albo srebra na wyspie Kuba nie opuściły jeszcze władz hawańskich, często zawiedzionych w przywidzeniu, upowszechnionóm zresztą w całej ludności.—Każdy Hiszpan który wynajdzie kopalnię złota będzie księciem; człowiek mieszanéj farby, będzie miał prawo do szóstéj części dochodów; niewolnik do dziesiątéj części zysku i uwolnienia; cudzoziemiec do trzeciej części korzyści.— W tych różnych zdarzeniach, rząd podéjmuje wszystkie koszta i prace.

Posiadacze listu bezpieczeństwa przez samego gubernatora podpisanego, kimże być mogliśmy, jeśli nie inżynierami amerykańskimi zapewne *ereticos*, ale niemniej biegłymi jako heretycy, wysłani przez gubernatora aby rozpoznać jakąś żyłą świeżo odkrytą i zacząć jéj wyrabianie? Tajemnica nas otaczająca i ten list bezpieczeństwa dostatecznie przekonywały o naszym posłannictwie i świadczyły o naszej ważności.— To właśnie łatwo przekonywało, bez przyczynienia się z naszej strony, dzielnego *teniente* czy porucznika, który nas osypał grzecznościami i przyrzekł nam tajemnicę i żołnierzy dla towarzyszenia nam i pomoc we wszelkich okolicznościach.— Czyż nie mieliśmy przyczynić się do wytryśnienia źródła złota, źródła łask wszelkich?

Zrobił więc kilka przymówek tajemniczych i odnoszących się do ważności naszego rządowego posłannictwa; a wytrwałość z jaką wracał bezustannie do tego przedmiotu kopalni, metalurgii i łożyska złota i srebra które zapewne było stałym gruntem całej wyspy, wtajemniczyło nas zaraz w jego błąd, nadto sprzyjający naszym interessóm abyśmy go mieli rozproszyć. Przemienił nasze suknie na wynoszone ze swojej garderoby, dał nam gościnność w swoim domu, i przedstawił nas żonie swojej, młodej Hiszpance z najpiękniejszą twarzą i najgłębszem nieokrzesianiem. — Wkrótce otrzymaliśmy pozwolenie zamieszkać samym, o milę odległości w małej chatce zbudowanej czasowo z gałęzi drzewa figowego i z desek, wśród skał któremi ta strona jest zasiana albo raczej napełniona.

Dwóch żołnierzy powinno było spać blisko nas aby nas bronić, co trochę sprzeciwiło się naszym zamiaróm; ale sądziliśmy że się łatwo pozbędziemy tej zawadzającej opieki, i skoro tylko zostaliśmy posiadaczami chatki, zaczęliśmy z młotem w rękę i cygarem w ustach, nasze metallurgiczne wycieczki w okolice, wycieczki nieodzowne dla skutku dalszych zamiarów naszych.

Pierwszego dnia kiedyśmy odnieśli dzielnemu *teniente* nasz koszyk napełniony zwirem, kamieniem łubkowym, kwarcem i mika, ukłonił się nam aż do ziemi, i z okiem jaśniejącem radością i ciekawością:

— *Que es eso, senores ilustrissimos? Oro o plata, sin dubio?* (Co to jest, jaśnie wielmożni panowie? złoto lub srebro, bez żadnej wątpliwości?)

Nie odpowiedzieliśmy sposobem dokładnym i zaspakajającym, nasze słowa zamglone i niepokojące uzupełniły przekonanie *teniente* który dał nam wieczorem wyborny obiad i traktował najlepszymi swemi winami.— Przy wetach, kiedy języki i serca się rozwiązały, dałem mu do zrozumienia, że straż jego była nam zupełnie niepotrzebna; a lekkie mrugnięcie oka *teniente* przekonało nas że zrozumiał te półsłówka.— Na cóż przypuszczać żołnierza do téj ważnej tajemnicy? nazajutrz byliśmy zupełnie wolni i żołnierz więcęć nie przyszedł.

Szło nam o to, aby umknąć od *teniente*, który prędzej lub później nie mógł się nie dowiedzieć kim byliśmy.— Od jedenastej godziny tegoż wieczora, pożegnawszy żołnierza odbywającego straż u nas, udaliśmy się znowu w drogę; staraliśmy się przez pięć dni któreśmy przepędzili u don Fernanda, zdjąć plan okolic, i zebrać wiadomości dokładne o mieszkaniach najmniej oddalonych.— Jeden z nich najbogatszy, którego plantacya położona była o dziesięć mil odległości od *teniente*; Francuz rodem, sławny ze swojej dobroci i szlachetności, zdawał się nam tym, któremu byłoby najużyteczniej i najpewniej powierzyć naszą awanturniczą wycieczkę, i prosić opieki.— Nazywał się Gerbier.

Nie omyliliśmy się.— Zmusiłem O'Neila do milczenia, i przybywszy do P. Gerbier, zastałem opowiadania zwykłe mojego towarzysza podróży, prawdą prostą i nagą.— P. Gerbier przyjął nas jak nie można lepiej.

P. Gerbier, Francuz z St. Domingo, straciwszy swoje mienie i rodzinę w wielkiem powstaniu czarnych, został piratem za młodu, i przyjął służbę w sławnej eskadrze Lafitte i Gomez.— P. Gerbier stał się jednym z najgroźniejszych przywódców szajki, marszałkiem tych morskich przywłaszczycieli, których tak trudno było zwyciężyć lub rozbroić.— Po zawarciu pokoju, kiedy Lafitte powrócił do warunków legalnego społeczeństwa, Gerbier otrzymał listy przebaczenia od Prezydenta Stanów Zjednoczonych i od władz hiszpańskich, i kupił w pobliżu Batavano przestrzeń ziemi, na której pobudował bardzo ładną willę włoską.— Jego obéjście się było bardzo przyjemne, znalezienie się odznaczające; możnaby go wziąć raczej za szlachcica starego dworu, który odbył wyprawy w wojsku Kondeusza, anizeli za dawnego pirata.— Nie bardzo był rad czynić zwrót jaki do rycerskich działań przeszłego życia swego ale wreszcie kiedy już była o tém mowa, nie usuwał się z tego dobrodusznie.— Władze hawańskie nie lubiły go wcale.— Miał działalność ludu francuzkiego i żartował od czasu do czasu z uroczystej powagi kastylskiej albo nieudolności kreolskiej.— Drażliwy na punkcie honoru, pozwolił sobie

nauczyć kilku *yunkies* zuchwałych i kilku dumnych *capitanes*; co mu sprawiło wielkie poważanie w kraju.— Nasze wycieczki i nasze wydarzenia zajmowały go; przyrzekł nam, że nie będziemy mieli nic do lękania się u niego, i że za pierwszym okazaniem się niebezpieczeństwa, znajdzie sposób ułatwienia nam stanowczej ucieczki.

Nazajutrz przedstawił nas żonie swojej.— Któżby to pomyślał?— Była to właśnie ta sama Serafita, ładniejsza i bardziej powabna, niż kiedykolwiek.— Była ona zamężną od półtora roku za P. Gerbier, który zawarł małżeństwo i z innemi cnotami domowemi, i żył jak błogogostawiony w swoich posiadłościach.— U Serafity więc byliśmy ukryci, O'Neil i ja.— O'Neil nie wyszukał jeszcze swego stryja; a ja który znalazłem niespodziewanym sposobem przedmiot mojego uwielbienia, nie byłem wcale od niego szczęśliwszym.

Serafita była matką.— Małe dziecko które karmiła, pokój i wdzięk zachwycający małżeństwa, gościnność szczerą nam ofiarowana, czyniłyby położenie serca mojego bardzo zawikłanem, żeby się ono choć trochę przedłużyło.— P. Gerbier był bardzo stary, cery brązowej, opalony, dotknięty reumatyzmem, zresztą wyborny człowiek na *wilka morskiego*.— Żona jego łączyła z żywą wykwintnością kreolek niedołąztwo powabne prawie amerykańskie i prawdziwie porywające.— Awanturnik jakim ja by-

łem, miałem za sobą tylko młodość i namiętność; żadne wymaganie i żadna chętką uwiedzenia nie była moim udziałem.—Nakoniec coś podobnego do szczególniejszej a niebezpiecznej roli Saint-Preux u P. de Volmar zaczęłoby się wkrótce zdradzać, co było nadzwyczaj grożącym dla mojego szczęścia i spokoju.—Pierwszym skutkiem tego położenia była gorączka peryodycznie wracająca, która wkrótce mię ogarnęła, a w czasie której P. Gerbier przychodził do mego łóżka dla towarzystwa.—O'Neil opowiadał mi nasze pielgrzymki, i zachwycał się nad pięknością jeziora z którego nas wypędzono strzałami pistoletowemi.—Uważałem że P. Gerbier uśmiechał się.

—Przebóg! rzekł do nas, znam to miejsce; tam to właśnie Lafitte się schraniał po swoich wielkich wyprawach.—A ponieważ znacie mój stan dawniejszy, który przynajmniej w tych okolicach ma pewną wziętość, nie będę przed wami ukrywał że najprzyjemniejsze dni mojego wypoczynku przepędziłem na brzegach jeziora przez was odkrytego.—Skoro chory się wzmocni, a pozdrowienie jego na dobrym jest stopniu, udamy się tam razem.—Pogoda piękna, znam te okolice; dla mnie to będzie nadzwyczaj zajmującym zobaczyć znowu i wynaleść stare moje zwyczaje i dawniejsze schronienia.

W istocie, pozdrowiałem dość prędko, i wszystko było urządzone do wycieczki naszej.—Rad byłem że się oddalę od Serafity i rozerwę

się.— Muły, woźnice, konie, trzech murzynów, czterech Hiszpanów, licząc w to dozorcę *kafetulu*, Xaramilla, dziecię staréj Hiszpanii, mające pozór prawdziwego rozbójnika z wieku XV i prześladowcy Maurów, udaliśmy się w pochod o czwartej godzinie zrana, mając na czele P. Gerbier, O'Neila i mnie.— Obok silnego i brązowego Xaramilla, którego postawa oznaczała staroego żeglarza;— siedział z powagą na mule, jak kardynał średnich wieków, Cornejo, ubrany prawie tak jak dandy albo *majo* z Madrytu, w stroju wyszarzanym podobnym do odzienia Figara z prowincjonalnego teatru.— Za nami biegło sześć psów ogromnych; były to zwierzęta z téj straszliwéj rassy, z którą już się zazna-
jomilem.

— Te strony nie są pewne, i od czasu jak Anglicy werbują naszych murzynów, powiedział mi P. Gerbier, negry zbiegi zbierają się w gromady z trzydziestu lub czterdziestu ludzi.— Gotowi są oni na wszystko; ale kiedy będą mieli tych panów na swym karku popamiętają to dobrze.

Obozowaliśmy bardzo przyjemnie na brzegach rio Cobre; wśród nocy, P. Gerbier obudzwszy się, krzyknął:

— Xaramillo, słyszę swist negrow-zbiegów Czujność! zwołaj psy.

Instynkt tych zwierząt już był zbudzony, i rzuciły się w krzaki, skąd wkrótce dały się słyszeć straszliwe jęki.— Byliśmy wszyscy na no-

gach i uzbrojeni.— P. Gerbier zdawał się cieszyć ze spotkania, które mu przypominało dawniejszy tryb życia.— Jednakże jeden z czarnych który był blisko niego, cały drżąc i dzwoniąc zębami, co było słyhać w głębokiej nocy, skrzyknął głosem przytłumionym ale razem i piskliwym:

— Panie! panie!

— A no, cóż tam, Trullo!

— Panie, ziemia drzy.

Trullo miał słuszność.— Nie przeszło dwóch sekund kiedyśmy poczuli że ziemia się chwieje, i grzmoty huczeć zaczęły.— Słyhać było rozdarcie i pęknięcie skał sąsiednich, a my upadliśmy jedni na drugich.— Psy, których dzikość się zaogniła, kiedy węch im zwiastował obecność czarnych, powróciły drżące, z językami wiszącymi, wydając długie skomlenia.

Przypadek raczej, aniżeli moje osobiste usposobienie, sprawiał że byłem obecnym, czasami jako osoba działająca, często jako świadek, nie jednej krwawej sceny.— Żadna nie zostawiła w umyśle moim tak głębokich śladów.— Psy płakały, ziemia drżała, błyskawica przerzynała niebo, konie rżały, a zbiegi-murzyni wrzeszczeli swoim językiem.— Jaskinie, które się rozpadały ze wszech stron, i pękały w sawanach, wydawały ostre dźwięki, których brzmienie zwiększając się, łączyło się z hukami grzmotów.— Można było słyszeć jęki wychodzące z rozpadlin ziemi; dochodziły przekleństwa czar-

nych, którzy mniej od nas przestraszeni, korzystając z okoliczności, zbliżali się śmieliej. — Hiszpanie mówili swoje modlitwy, wyjąwszy Xaramilla, który służył, jak sądzę, jako rabuś morski pod rozkazami P. Gerbier. — Widząc niebezpieczeństwo, on się umieścił w zasadzce za swoim koniem, i stamtąd nabijając i strzelając ze swojego *tronblon* albo *trabuco* z rozwartą lufą, sypał na zbiegów grad straszliwy, który wkrótce zmniejszył ich liczbę o pięciu czy sześciu ludzi zabitych lub ranionych; P. Gerbier, czyli jak go nazywano, don Gerbero, tak samo postępował. — W krótkie obecność i bliskość czarnych ożywiły całą wściekłość zwierząt, i przerażająca walka, w której psy trzymały pierwsze miejsce, okryła ziemię trupami więcej dwudziestu murzynów. — Dwóch ludzi P. Gerbier było zabitych; sam P. Gerbier był lekko raniony w ramię; O'Neil i ja niedoznaliśmy nic złego. Trzęsienie ziemi nie trwało więcej dziesięciu minut, i skutki jego wywarły się na przestrzeni gruntu mało rozległej. — Rozpalono pochodnie, zdjęto trupów, opatrzone rany, i zasnęliśmy potem, kiedy Xaramillo, niezmordowany muzyk, brząkał na mandolinie, i dał całemu towarzystwu małą serenadę. — Nazajutrz o godzinie piątej niebo było spokojne; kilka poruszeń ziemi, kilka zawaleń skał, oznajmywały tylko wstrząśnienie jakie miało miejsce. — Udaliliśmy się znowu w drogę. — Około osmej godziny, jakiś człowiek szczególny którego ubiór

nie przedstawiał żadnej skazówki dokładnej o jego pochodzeniu albo zajęciu się, pokazał się za kilką drzewami, i znikł.

— To Watchinango! zawołał Cornejo; czy P. Gerbier życzy abyśmy poszli za nim? On się skierował w stronę Goyavy, między Boca Grande i Bahia.

— Zapewne, ruszajmy, galopem!

Cała gromada ruszyła galopem. — Miałem czas uważać tego człowieka którego nazywano imieniem tak dziwacznie, i na którego ściganie udano się z taką gwałtownością. — Miał najdziwaczniejszy ubiór jaki można sobie wyobrazić; mantyla kobiety hiszpańskiej na rękach z atłasu złotego, nogi i ręce nagie, na ramionach także nagich dwie szlify na kształt ozdoby, a na głowie pyszny wieniec z kwiatów papużych. — Mowa jego, jak się później dowiedziałem, była hiszpańska nadzwyczajna, złączona z mieszaniną dźwięków jego narodowego języka, i złagodzona zwrotami niesłyszanych frazesów. — Sztylet katalanski i *bowtie-knife* amerykański, utrzymywane pewnym rodzajem paska z kory drewnianej, ściskającego jego kibić i podtrzymującego majtki złote atłasowe, dziwnie odbijały od zielonych wstążek i błękitnych różyczek, zapewne wziętych z jakiegoś znoszonego żeńskiego odzienia, któremi podobno mu się je ozdobić. — Biedny Watchinango! jemu to, jak to później zobaczymy, winienem los mój. — Bez jego trzydziestu tysięcy dolla-

rów, niewiem doprawdy jakiby obrót wzięło życie moje.— Za to co mi pozostało, kupiłem, po dolarze za akr, te posiadłości Wisconsin, które odprzedałem z taką korzyścią, i gdzie sześć miast zbudowano od 1815. roku.— Ale idźmy dalej.

Po półgodzinnym galopie, P. Gerbier kazał się zatrzymać i polecił Xaramillowi iść za nim samemu jednemu, ścieżką w lesie będącą na brzegu pagórka wzniesłego, skąd mógł łatwo odkryć poruszenia Watchinanga, i wrócić dla zdania sprawy do głównej kwatery.— Zatrzymaliśmy się więc, a ja spytałem naszego gospodarza co to wszystko ma znaczyć.

— Ten Watchinango, odpowiedział mi, jestto Meksykanin pokolenia niezależnego, który się pokazuje bardzo rzadko, i w opinii ludu, posiadaczem jest miny złota, którą ukrywa przed wszystkimi.— Mniemanie to utworzyło się takim sposobem: chodził on i wracał, według swego widzi mi się, z Yucatan do okolic Kuby, i był bardzo lubiony za swoją łagodność; widziano go zawsze klęczącego jak chrześcianin przed *Virgen del Cobre*, ołtarzem który jest, jak wiadomo, przedmiotem pobożnych pielgrzymek.— Przed dwóma laty, widziano jak przybył do San-Yago z małym paczkiem, który rozwinął.— Paczek ten zawierał sztabki złota grubo odlane, które Watchinango starał się sprzedać, i które kupiono u niego w samej rzeczy za bardzo niską cenę.— Zkąd mógł on dostać tego złota?

Ztąd wszystkie wyobraźnie się obudziły. — Sledzono Indyanina aż do morza, widziano go jak wsiadł do łodzi, potem znikł i zginął wśród skał. — W kilka tygodni potem, w jednej wsi bardzo odległej od San-Yago, pokazał się jeszcze, i odegrał tę samą rolę; Hawańczycy, których jednem z najulubieńszych mniemaniem jest to, że ich wyspa jest położona na łożysku złota, które jeszcze nie jest wydobywane, zaczęli marzyć o wyprawach niesłychanie bogatych co do złota; więcej sta osób rozpierchnęło się w lasy i na płaszczyzny, z młotem i motyką w rękę, łamiąc kawały wszystkich skał napotykanych na drodze, w nadziei znalezienia sławniej kopalni złota Watchinanga...

— A cóż? zapytał P. Gerbier u Xaramilla, który wrócił zadyszany, cóż nowego?

— Usiadł przy wydrażeniu utworzonem w skałach Boca Grande. — Idźmy powoli zwróćmy się w las bananów, a zejdziemy łatwo jego i schronienie jego.

— Bardzo dobrze; milczenie i w drogę. —

Plan Xaramilla był wyborny. — Pierwsze konie nasze były już tylko o sążeń od Indyanina uspięnego między dwoma ułamkami skał pod starém drzewem, kiedy szelest przybliżającej się gromady go obudził. — Powstał na nogi, a widząc żeśmy byli w znacznej liczbie i dobrze uzbrojeni, miał chwilkę wahania się. — Obok niego był rodzaj lejka albo rozpadliny od

ośmiu do dziesięciu stop szerokięj; rzucił się tam głową naprzód i znikł.

Powiększył się interes naszej wyprawy; zsiadliśmy z koni, prawie wszystkie głowy jednocześnie zwiesiły się ku wnętrzu ciemnej jaskini w łonie której znikł Watchinango jak Curtius.— Zadne światło tam nie błyszczało; ale wkrótce wystrzał z karabinu czy ze strzelby dał się słyszeć; biedny Cornejo, wybrany losem na ofiarę, zabity został na miejscu.— Nacierający byli, jak tego się łatwo domyśleć, rozjątrzeni.— Zrobiono radę, nabito wszystkie pistolety; i wszyscy, wyjąwszy P. Gerbier i mnie, otoczyli naokoło jaskinię skąd wypadły jeszcze dwa strzały ogniste które nie tknęły nikogo.— Wtedy wszystkie wystrzały z fuzij i pistoletów padły w jaskinię, i więcej dwudziestu kul tam przeniknęło.

Krzyk przeraźliwy wymknął się wtedy z tego otworu czarnego i rozwartego, i natychmiast nowy wystrzał dał się słyszeć, w towarzystwie dwóch kul, które przeszły między mojami nogami i trafiły w głowę jednego konia ze straży.— Poszukiwacze złota cofnęli się; widocznie było tam wiele niebezpieczeństwa.— Wkrótce jednakże, oburzeni i rozjątrzeni oporem, i sądząc że zdobycz tak broniona musi być warta a by być śledzoną do ostatka, rzucili w wydrążenie gałęzie i chrust zapalony, których dym, według nich, powinien był zmusić załogę jaskini do proszenia o miłosierdzie i łaskę.— Jedyna odpowiedź jaką dał Watchinango, był to jeszcze

podwójny wystrzał, którego pociski trafiły jednocześnie dwóch oblegających, murzyna i Hiszpana, którzy jeden i drugi zwiesili się nad otworem jaskini.— Odniesiono dwóch rannych, u których krew płynęła, i z których jeden miał udo przestrzelone, a drugi środek piersi.— Ten ostatni skonał natychmiast.

Zaden szelest nie dawał się więcej słyszeć: w ponurém milczeniu oblegający zbliżyli się z ostrożnością; potem zawieszając nad ciemnym otworem pochodnie które zapalili, odkryli tam szczególny widok podobny raczej do jakiej dekoracyi z opery aniżeli do naturalnej jaskini.— Blask pochodni uderzył w nierówne słupy i fantastyczne kolumnady kwarcu z miką który okrywał ściany, i którego kąty dziwacznie z przyrodzenia pościnane błyszcząły jak ścianki pryzmatu; w pewnego rodzaju kącie czy alkwie obszerny dywan zawieszony tworzył gatunek przepierzenia; z drugiej strony widać było kuchnię na której zgasł ogień, i której wszystkie narzędzia rozrzucone były na nierównej posadzce. Trzy czy cztery stopnie grubo wyrobione z kwarcu prowadziły do tego pieca; przedmioty zbytkowne, szable hiszpańskie i pistolety amerykańskie były zawieszone tu i ówdzie; wielki *hamak* meykański, z kory i ozdobiony piórami ptasiemi, wahał się na prawo w skutek powiewu wiatru, który zdawał się wychodzić z jakiegoś odległego przejścia.— Wyjście to było właśnie na jezioro *los Caballones*, i w głębi,

na macie meksykańskiej, postrześliśmy niebawem leżącą młodą kobietę.

Za pomocą sznurów i kijów, spuściliśmy się do tego szczególnego mieszkania.—Młoda dziewczyna podniosła się z wolna i wskazała nam że była ranioną w lewe ramie, przez jedną z kul naszych Hiszpanów.—Kula ta przeszła ciało i zaszkodziła muszkułom bez złamania kości.—Poznaliśmy najadę która nas zachwyciła, Ondynę jeziora *los Caballones*.—Cechy szczególne ją odznaczające dowodziły że była z pokolenia peruwiańskiego, biust szeroki i kibić nadzwyczajnej giętkości, rozwinięcie biodr bardzo wydatne, a ręce i nogi najdelikatniejsze jak można sobie wyobrazić.—Las czarnych włosów spadał na jej ramiona.—Ubiór jej prosty i w bardzo dobrym smaku, był dość podobnym do ubioru mulatek hiszpańskich: chusta albo spodnica w pasy czarne i żółte ścigała się w pasie; mała chusteczka żółta zawiązana była na szyi, ozdobionej także drobnymi szkiełkami i naszyjnikami różnych kolorów.—Oczy jej prześliczne, wylewały łzy obfite; u nóg jej rozciągnięty był człowiek umarły, ogromny i dobrze zbudowany, którego ręka ścisnęła jeszcze z siłą pistolet z łęku, a którego członki brunatno-różowe zdradzały pochodzenie indyjskie.—Podnieśliśmy go; już nie żył.—Był to ojciec najady.

P. Gerbier odkrył pod pewnego rodzaju, kryjówką źródło bogactw Watchinanga.—Był to dawny skarb korsarzy, składający się ze

sztab bardzo grubo wybitych, który Watchinango odkrył w swoich pielgrzymkach dzikich.— Kiedy potrzebował pieniędzy wybijanych, przemieniał to złoto w pierwiastkowym stanie na monetę.— P. Gerbier kazał zanieść do siebie i leczyć młodą córkę, którą Watchinango miał z żony hiszpanki, chrześcianki jak i on, i której połowa skarbu jej ojca była zapewniona jako posag.— Przepędziliśmy jeszcze piętnaście dni u poczciwego korsarza, wraz z Serafitą i córką Watchinanga.— Nadzwyczajna piękność młodej ranionej zrobiła tak żywe wrażenie na O'Neilu i na mnie, żeśmy bliscy byli do sporu, w walce pojedynczej, o jej rękę i serce.

Wybór młodej Teresy Wah-minga, co nazwy *kuropatwa złota* skłonił się na moją korzyść, i zostałem panem, w obec ołtarza w Trinidad, jej ręki i sztab korsarzy.— Był to rzeczywiście najdziwniejszy posag jaki może narzeczona wnieść swemu mężowi.— Sztaby Watchinanga, przemienione na monetę, przyniosły mi prawie trzydzieści tysięcy dollarów, których mniej więcej trzecia część wystarczyła na podróż naszą, urządzoną i popieraną przez naszego gospodarza, a którego dwie trzecie części złożyły kapitał któremu nie dozwoliłem spoczywać w mojem ręku.

Jak Romeo Szekspira, zacząłem mój dramat hawański miłością w sercu, a zakończyłem poważnie i weselę, przez porwanie i małżeństwo z inną bohaterką.— Córka Watchinanga,

przez swą niewinną piękność, miły charakter i roztropną żywość, warta była bohaterki Szekspira;— najada jeziora *los Caballones* była istotą najczystsze go poświęcenia pełną i najmiłszą z kobiet.— Nauczyła się czytać i mówić bardzo poprawnie po hiszpańsku i po angielsku.— Nie mogłem jęj tylko nigdy nauczyć, pomimo długiego pobytu naszego w Ameryce północnej, w Europie i w Antyllach, sztuki pisania;— miała wstręt do pióra.— W zamian, jęj zdolność muzyczna bardzo rozwinięta uczyniła z niej wyborną śpiewaczkę.

Takie są przygody moje na wyspie Kuba.

Z ŻYCIA TASMAŃSKIEGO I AUSTRALIJSKIEGO.

I.

Australia.—Widok kraju.—Podróżni Europejscy w Australii.—Klimat.—Płody.—Mieszkańcy.—Czyści i Nieczyści.—Dzienniki i towarzystwo w Sidney.—Konwikty.

Nowa-Hollandya czyli Australia, to ostatnie dziecko stałego lądu, i najdziwniejsze.—Wszystko jest paradoksalnem w tym kraju, wiecznej sprzeczności z Europą.—W królestwie roślinnym są to eukalipty, czyli drzewa gummowe, których olbrzymie kolumnady uzbrajają się liśćmi pionowemi a nie poziomemi; akacye bez liści, których liczne gatunki różnią się między sobą organizacją i oddalają się zarówno w trybie wegetacyi od czterech innych części świata.—Botanik angielski, P. Brown, który podróżował po Australii ażeby stać się panem kompletnej

Flory tego kraju, był zadziwiony i zasmucony widokiem dziwaczny i żałośnym lasów i pola; Wszędzie odcień oliwkowy i jednostajny, którego wiosna nie zieleni, który nie żółknieje w jesieni, który męczy wzrok na ogromnej linii wzgórków i któremu brakuje największej ozdoby przyrodzenia, różnaitości.— W *Prodromie* swojej Flory Nowej-Hollandyi, botanik ten wyraża przykre uczucie które wzbudza w podróżnym postać niema i głucha krajobrazu, i tłumaczy to następnym sposobem:

«Budowa liści powiada, jest jednokształtna prawie na wszystkich drzewach i krzakach Australii.— Ich położenie prostopadłe, zupełna jednostajność, kończyny ostre, proste i równo położone; nadają postać twardą, dziwną, niegościnną lasóm Nowej-Hollandyi i ziemi Van-Diemen — Są to lasy ponure ale nie malownicze, i jałowej jakiejś smętności.— Dziwnym zbiegiem, albo raczej z przyrodzonego przeznaczenia, Anglia okrywa te przeraźliwe wybrzeża tłuszczą swojej ludności biednej i występnej.— Jakkolwiek wielka jest śmiałość przedsiębiorczości, cechująca, tych nowych osadników udało się im jednak zaledwie zająć bardzo słabą częśćkę pasa ziemi rozciągającego się po za wybrzeżem; wewnątrz jest prawie nieznanne.— Corocznie nowe wyprawy kierują się ku tym opuszczonym pustyniom; jednak tracą konie, ludzi, muły, i powracają wycieńczone, nie dopełniwszy żadnego większego odkrycia.— Oxley i inni

badacze przedstawiają stopy które przebyli jako strasznie smutne; niema w nich wielkich rzek, płaszczyny bez końca, pokryte olbrzymiem sitowiem, między którym krążą leniwie wody czarne które nie są ani rzekami ani błotem.— W porze wielkich wód zaledwo podróżny spotyka wzgórek ziemi na którym może rozłożyć swój obóz.— Opływanie brzegów przedstawia już to rzeczywiste niebezpieczeństwa, już to straszliwą nieplodność.— Obszerne wybrzeża płaskie i w prostej linii rozciągają się jak wzrok sięga, i rozpościerają w dali aż do widnokregu gdzie giną, piaski białe na słońcu błyszczące, które nie mają śladu roślinności.— Nic smutniejszego dla oka.— To nie stopniowa nieplodność do której się przyzwyczajasz powoli, jak się oswaja z nieprzyjacielem który następuje; to jest zupełna pustynia, śmierć, zupełna jałowość, powszechna, nie do pokonania, nieskończona.— Żadnego śladu zwierzyny, ani nawet fok morskich uspionych na brzegu; ani jednego ptaszka któryby składał gniazdo w piasku ruchomym; życie ustąpiło; a okręt płynący brzegiem nie ma nawet nadziei schronienia jeżeli przerażające burze tych okolic rzuca go na skały.— Czystość powietrza czyni jeszcze bardziej dotkliwem to spustoszenie bez granic.

Niekiedy potrzegasz w dali mały dym który się zakrzywia i ulatnia; to zwiastuje że jeden albo dwóch krajowców założyło namiot tam

gdzie żadna żyjąca istota nie będzie śmiała ich niepokoić.

W krótkce obraz ten jednokształtny i żałobny zmienia się szczególnym sposobem.— Znika już jednostajność; ustępuje ona miejsca chaosowi.— Z głębi morza występują dzikie skały jak ruiny; przechodzisz pod arkadami z ogromnemi sklepieniami, potem idziesz wzdłuż murów ściętych prostopadłe w niezmierzonej wysokości.— Tak przerażający jest przewrót w niektórych częściach kraju, że majtek zabłąkany w tych przestrzeniach nie wie czy to jest dzień czy noc.— Wyziwy i mgły kręcą się nad jego głową; woda, ścieśniana i rozbijana tysiącem przeszkód rzuca się, wre i huczy; morze nie jest nigdy spokojne, niebo nie jest nigdy czyste, wiatr dmie bez końca.— Czarne i burzliwe bałwany toczą się w olbrzymich wąwozach; pokłady bazaltyczne pokazują się ukośnie jak ostrogi uzbrojone kółkami, i zwieszają się nad przepaściami.— Nurty i bieg przeciwny wody, spotykające się w wiecznej walce, pchną i odpychają szczątki okrętów rozbitych.— Tam niema, właściwie mówiąc, brzegu; ale zbiór skał nagromadzonych bez porządku, w których woda wre i wpada w ziemię.— Ścieżki urwiste, jedyne któremi iść można, prowadzą do stałego lądu, to jest do dróg w wąwozach zagłębiających się w labiryntach, gdzie nie jeden znikł żeglarz angielski.— «Zstąpienie nawet w te otchłanie jest niebezpiecznym, powiada jeden polski podró-

żny P. Strzelecki; co do wyjścia ztąd to jest prawie niepodobne: te straszne rozdarcia, wązkie i głębokie, są zamknięte; często nawet zakryte masami skał wapiennych, które niekiedy się oddalają a niekiedy zbliżają do łożyska potoków i do ich milczących głębin.— Miałem nieszczęście wpaść jednego dnia w te pustynie podziemne i zaledwo zdołałem wydobyć siebie i ludzi moich z tych zawiłych zakrętów, po kilku dniach trudu, głodu i nieustannego niebezpieczeństwa.» Jeśli się uniknie tych niebezpieczeństw i dojdzie do środka ładu, znaleźć można tylko, nadewszystko ku brzegóm wschodnim Australii, bardzo mało roślin trawiastych i korzeni pożywnych; wszędzie krzewy z liśćmi lancowatymi ciernistymi rzekłbyś surowość żelaza zastępujące świeżość wegetacyjną. — Zaledwo kilka rozpierzchłych drzew figowych i kilka psianek przypominają w pewnych odległościach wdzięk i wspaniałą wytworność lasów naszej półkuli.— Kangury są największemi czworonożnemi zwierzętami jakie się spotykają; za to mrówki ogromnej wielkości i węże uzbrojone najsubtelniejszą trucizną zamieszkują skały nagie i pnie myrtoidów.— Klęski szczególniejszego rodzaju pochodzą z przyrodzenia tych miejscowości.— Wiatr straszliwy obwiewa swojemi gorącemi powiewami i uderza niepłodnością wszystko co się znajduje na jego przejściu; pewien podróżny tegoczesny, sławny badacz, tak opisuje jego skutki:

«Kiedyśmy płynęli, powiada, z Nowej Zelandyi do Sidney, byliśmy porwani, o sześćdziesiąt mil od brzegu, powiewem wiatru gorącego wielkiej gwałtowności, którego temperatura była 60, stopni.— Przez dwa dni niepodobna nam było dobić się portu Jackson.— Wiatr nakoniec uspokoił się, i kiedyśmy już mogli wylądować, ujrzeliśmy wszystkie nasze powrozy, żagle, liny okrętowe, maszty, okryte popiołem czerwonym i bardzo delikatnym, który poddany rozbiorowi, pokazało się że był pyłem metalicznym zmieszany z glinki i krzemienia sproszkowanego.— Wiatr, przechodząc przez obszerne okolice nieuprawne wnętrza Australii (strony które zapewne są tylko pustyniami piasku i skał granitowych) zmiata niektóre części składowe tych skał.— Wędrując potem w powietrzu, te atomata nabierają przez tarcie się siły elektrycznej.— Wtedy to niszczą życie i pożerają wegetacyą w swoim przejściu; winogrona nikną; groszkowe i trawiaste rośliny więdną; wodniste części szczepu winnego schną natychmiast; pola całkowite kartofli i zboża tracą zbiór; liście zielone żółkną.— Oddychanie staje się trudnym; krew przypływa do głowy; ustanie transpiracyi, trudność oddychania, choroby wzroku, często olśnienie, przedstawiają u człowieka oznaki podobne do tych jakie w innych szerokościach geograficznych sprawiają *siroko* albo *simum*.— Za zbliżeniem się tego wiatru, pierzchają mgły i obłoki; powietrze go-

zące i suche cięży nad ziemią,— Widać jak latają w powietrzu, albo raczej uderzają się wzajemnie, niekiedy prostopadle, gałęzie i kawałki roślin które pęd poruszył.— Rzekłbyś, że to olbrzymia elektryczna bateria.— W istocie elektryczności, rozwiniętej przez zbliżenie się i tarcie wszystkich tych cząstek oderwanych od skał australijskich i wstrząsanych gwałtownie w powietrzu, postrzegacze najbystrzejsi, jak na przykład P. Humbolt, przyznali to zjawisko: «Powietrze ciągle jest napełnione, powiada on, małemi ziarnkami ziemnistemi lub metalicznemi, które się gwałtownie rozgrzewają, a ich promienie nie podnosi temperaturę niższych warstw atmosfery.»

Oświata i geniusz człowieka, nie będą miały trudniejszej zdobyczy do dokonania jak ten kraj tak obszerny, obdarzony tak małą ilością środków, a usiany tyloma niebezpieczeństwami i zawadami.— Rośliny europejskie, przyswojone przez osadników angielskich w Nowej Galii południowej, wyrodziłyby się prędko, gdyby się niestarano poddawać je ciągłemu zwilżaniu i uprawie staranniejszej.

Nowa społeczność która się przeniosła i przyswoiła w kilku punktach tego wybrzeża, w okolicach wschodnich, w Sidnej i w Paramatta, jest zupełnie godną ram, w których jest umieszczoną; nic podobnego nie można widzieć w innych częściach świata.— Dwie jakby narodowości je rozdzielają, *czystych*, i *nieczystych*;

karmią one jedna przeciw drugiej silną nienawiść, zwiększającą się z laty.— Osadnicy albo *czyści* nazywają się *baranami białymi*; nie mają oni żadnego towarzyskiego stosunku z synami albo krewnymi *zestanych* czyli *czarnych baranów*, którzy płacą nienawiścią za pogardę im okazywaną.—Podwójny prąd zasila te dwie ludności: wolnych osadników, których liczba wzrasta, i nowoskaszanych których się nabiera w jaskiniach i szynkach Anglii.— Jeżeli *barany białe* odpychają wszelkiego rodzaju połączenie albo handel z *baranami czarnymi*, ci ostatni odpłacają im to dobrze.— Już się utworzyła arystokracja złodziejska, szlachta rozbojników i synów rozbójników, która chce mieć stosunki tylko z podobnymi sobie.— Są tam wszystkie przesady szlachty.— Pewne kluby wymagają aby dowiedziono genealogią łotrowską i zaświadczone ją herbem w całej formie; trzeba mieć w żyłach krew człowieka który kradł chustki w Londynie, albo który był skazany na wygnanie za występki fałszerstwa.— Ponieważ dość często można widzieć skazanych wzbogacających się potęgą swęj energii i zręczności, ta szczególniejsza arystokracja nie jest bez wpływu; często nawet ma przewagę nad czystą szlachtą, nad moralną arystokracją osadników; ludźmi porządniejszymi, cnotliwszemi, gospodarniejszemi, lecz mniej czynnemi i posiadającemi mniej środków intelligencyi i energii.— Przyszłość rozwiąże jak się później urządzi sto-

sunki tych dwóch ludów; dotąd było niepodobna nie tylko je złączyć albo zbliżyć, ale zapobiedz ciągłemu postępowi ich nienawiści; napróżno dawano usamowolnionym, znajomym pod nazwiskiem *ludzi rządowych*, też same prawa co i nowym kolonistóm; napróżno rząd chciał zawrzeć a przynajmniej przygotować traktat przymierza między dwiema klassami; wszystko się rozbiło przeciw podwójnemu przesądowi. — Występek dziedziczny okazał się również upoczywy jak i dziedziczna cnota.

Ostatnie usiłowanie którego próbował Gubernator w Sidney miało coś romantycznego i tkliwego. — Szukano sposobów obalenia a przynajmniej zniżenia tej przegrody: jeden młody człowiek, syn nowego osadnika wolnego, a zatem dość ograniczony w środkach pieniężnych, był zakochany w młodej panience lat ośmnastu ładnej i prowadzenia się nienagannego; chociaż była córką jednego z najsławniejszych łotrów stolicy angielskiej. — Ten ostatni skazany na wygnanie za jeden z tych grzechów powszednich którego się stał winnym, wołał, kiedy uderzyła godzina jego uwolnienia, zostać w nowej ojczyźnie swojej gdzie zrobił majątek; wypadek ten jest dość częsty. — Pan znacznych posiadłości, wybornych pastwisk i wielkich trzod, stał się jedną z osob ważnych i bogatych skazanej ludności. — Córka jego, wychowana starannie, nie mogłaby pójść za mąż tylko za syna lub

pochodzącego od skazanego, jeśliby sam gubernator nie wziął tego do serca.— Znakomity posag był przez ojca zapewniony; posada rządowa dana była narzeczonemu przez gubernatora, i ten ostatni nie tylko że był świadkiem i przybranym ojcem przy obrzędzie ślubnym, ale nawet zaprosił oboje nowożeńców na obiad do zamku.

Wszystko szło dobrze; młodzieniec był piękny, narzeczona prześliczna i godna jego, sądzono przez chwilę że udała się sztuka; było to złudzeniem. Nowożeńcy chcieli oddać wizyty zwyczajne; przyjęto ich ozięble.— Jedna przyjaciółka gubernatora, za jego namową, próbowała przebić lody i wprowadzić ich do towarzystwa w Sidney dając na ich cześć bal wielki. Skoro tylko weszła młoda żona, oparta na ramieniu męża swego, widziała jak się oddalali od niej wszyscy *ludzie porządni* napełniający salon.

«Wachlarze się rozpostarły, mówi opowiadacz świadek naoczny téj sceny; usłyszano szeszczenie atłasu, suknie ruszające się; i wkrótce potem zamieniające się spojrzenia pogardy, wznaszania ramion, i marszczenia powiek, zwiastowały powszechną ucieczkę.— Zaproszeni znikli jedni za drugimi, i salony zostały próżne. Gospodyni domu, która się naraziła tak szlachetnie tém zaproszeniem, zawstydzona, zmartwiona oddaliła się do swego buduaru (w Sidney są

buduary) i zostawiła młodych małżonków jedynych w sali balowej.

Tak to pruderya angielska i wyłączność *May-fair* są przeniesione do antypodów. — Parodia ta odnosi się do wszystkiego. — Cztery czy pięć miast stołecznych, albo które się sądzą być takimi, każde ma swój dziennik, i sprawy osadnicze są tam rozbiegane ze swobodą, żółcią i gwałtownością. — Odbijają tam bardzo dokładnie ton i kształt dzienników politycznych takich jak *Times* i *Morning Chronicle*; naśladują nawet, co jest bardziej szczegółu, pretensye *Dziennika Dworu* i gazet modnych. — Towarzystwo to osadników-dzierżawców i wygnanych łotrów, ma nadzwyczajny pociąg do strojów, mody, i etykiety. — Dzienniki publiczne w *Paramatta* i *Hobart-Town* zawierają opisanie balów, ubiorów i *rautów* otwartych bądź dla osadników przez synów dzierżawców i lokajów, bądź dla wygnanych przez wygnańców; opowiadania te obudziłyby zazdrość najwykwintniejszego wydawcy *Court-Circular* albo *Gazette of the Fashion*.

«Pani Stubbs weszła, powiada jeden z tych artykułów wraz z córką, panią Theodoriną Amelią Teodorowną Scrubbs, mającą na sobie suknię muślinową z wielkimi falbanami»... które dziennik opisuje szczegółowie w długim artykule, i dalej mówi: «Przy nich znajdowała się panna Maria Elfrida Jarvis, której szal kaszemirowy był przedmiotem uwielbienia całego

zebrania.» I ten szal kaszemirowy, ze swemi palmami i palmeczkami, zajmuje dwanaście wierszy drobnym drukiem, które damy z Paramatta czytają z wielką przyjemnością.

Ta karykatura osadnicza metropolji angielskiej ma zresztą swoją stronę poważniejszą.— Dzięki temu zapamiętałem uporowi plemienia anglo-saskiego, tradycye wolne i działalność Europy wzrastają w karnych osadach, pomimo odległości i tylu żywiołów sprzeciwiających się stałemu rozwinięciu zasad wolnych.— 4. Sierpnia 1843. posiedzenie otwarcia Rady prawodawczej w Sidney było ogłoszone przez dziennik téj osady; rzekłbyś że to otwarcie parlamentu angielskiego, tak zwykłe formuły politycznego języka były ściśle naśladowane przez dziennikarza osad:

«Zawczasu, mówił ten ostatni, Izba (sala wapnem pobielona, ze stołem białym drewnianym na środku i drewnianemi na około ławkami) przedstawiała widok najświetniejszy i najbardziej ożywiony.— Największa część krzesel (ławek drewnianych) zajęta była od samego rana przez damy wytwornie ubrane, między innemi lady Gipps i lady Trounell; straż honorowa oczekiwała gubernatora w dziedzińcu (sześciu milicyantów) i prezentowała broń Jego Wysokości, który był spotkany u drzwi przez prezydenta czyli *speaker*.— Galeria cudzoziemców napełniona była publicznością i wszystkie korytarze były natłoczone.»

Widać że parodia jest zupełna; ten parlament na małą stopę posiada, jak w Londynie swoją galerią cudzoziemców, swoich odzwierciedlonych, i swych *Lobbies*.

Nie można się wstrzymać od podziwiania, pomimo całej śmieszności tej parodi, nadzwyczajnego rozszerzania się ducha wolności, i tych zebrań obradujących, na wzór dawniejszych zgromadzeń saksońskich i *wittenagemotów*, które kolejno dziś świat cały obiegają.— Niedawno, misسیونarze angielscy zmuszali dzikich z Otaity do tworzenia małych parlamentów improwizowanych, i do zasiadania na piętach na pół odzianym, dla nauczania zastosowania się do dzwonka prezydenta politycznego.— Jest to naśladownictwo bardzo dziecinne formuł europejskich; tak jednak postępowały Stany Zjednoczone, tak się rozszerza po całym świecie nasienie oświaty.— Tu się poznaje wszakże ten rys nader charakterystyczny rozsądku angielskiego, albo, jeśli się podoba, anglo-saksońskiego, przywiązanie do zwyczaju, zachowanie dawnych obyczajów.— Poeci Southey i Thomas Hood, bawili się jeszcze przed kilką laty pisaniem wierszy podobnie brzmiących jak je lubiono w Saksonii pod Karolem Wielkim i w Skandynawii przed Karolem Wielkim. Chociaż Amerykanie Północni są ciągle opanowywani, sciskani, i jakby zalewani wszelkiego rodzaju obcimi plemionami; to wszakże tłumy sławiańskie i galijskie, iberyjskie i irlandzkie, okrywające

brzegi Meschasebe i Ohio, nie mogą zatrzeć śladu dawniejszego narodowego geniuszu.— Każda kobieta amerykańska lub angielska, która idzie za swoim mężem w głąb pustyni Illinois lub w wąwozy Punjaub hindostańskiego, spowija swoje dziecko jak w Londynie, pije herbatę jak w May-Fair albo Holborn, o tej samej godzinie i z tą samą ilością szczypt herbaty, zawsze bardzo dokładnie, i bez omylenia się ani na jedną minutę.— Tacyt zauważał już to głębokie przywiązanie Saksonów do zwyczajów swoich, tak jak Cezar zauważał łatwą zmienność charakteru galijskiego; dwa plemiona zachowały wiernie podwójne swoje piętno.— Przywiązanie narodowości germańskiej do starych podań swoich nie zmieniło się, równie jak dumy hiszpańska i giętkość francuzka; Anglia, przez swój charakter wyspiarski i odosobniony, okazała się między plemionami teutońskimi, najbardziej niezachwianą w zachowaniu zwyczajów swoich; nic ją nie odmienia: pod biegunem czy pod zwrótnikiem, zawsze jest taż sama.— W Australii, gdzie nic nie przypomina Europy, tworzy się, jakeśmy to widzieli podwójna arystokracja; i łotry nie są mniej ściśli jak drudzy w etykiecie.— Oświata brytańska tak przesiedlona nie zmienia się w żadnym odcieniu; nie traci przyzwyczajenia, nie czyni ustępstwa. Wówczas kiedy wszystko się zmieniło co otacza łotra lub osadnika, oni tylko jedni nie chcą się zmienić.

Oberże w Botany-Bay są zupełnie podobne do Londyńskich; język złodziejski jest ten sam w Paramatta co i w Cheapside, występki fałszerstwa, zbrodnie i łotrstwa wykonywają się z temiż okolicznościami w norach sprosności kraju australijskiego, jak w Grosvenor-square i w Hay-Market. — Napróżno usiłują ukrócić lub łagodzić zwyczaj *konwiktów*; oni prowadzą dalej uprzecznie życie swoje, rozbijają, zarzynają, rabują i uciekają jak tylko mogą. — Chwytają ich dla wykonania praw surowszych i skruszenia ich upor; nic to nie pomaga; związani łańcuchem po dwóch, wystawieni na zmiany przykre powietrza, poddani ciągłemu trudowi który ich wycieńcza, pozostają temiż samemi; są to ci ludzie zatwardziali na wszystkie męki i wszelkie występki, którzy unikając tyranii swoich *overseers*, zamieszkują i zaludniają te płaszczyny i przepaści, te wysepki i skały straszne ciąsniny Bass, któreśmy wyżej opisali, a do których dojść nikt nie ma odwagi. — Opowiadanie ucieczki trzech tych ludzi, użytych, z *łańcuchem* ich towarzyszków biedy i występku, do rozbijania kamieni blisko Port-Essington, w jednem z najsmutniejszych miejsc tych okolic, zasługuje abyśmy je powtórzyli zawiera ono bowiem kilka charakterystycznych szczegółów:

. «Cóż nam znaczy zresztą, powiada jeden z bohaterów przygody, żyć albo umrzeć? Czegóż moglibyśmy się lękać? — Nasza porcja nędznego jęczmiennego chleba, razy

bykowca rozdzielane przez naszych *overseers* (nadzorców,) nogi nasze rozmokłe w bagnach któreśmy zmuszeni byli osuszać dla rządu, gorączka od której drżeliśmy, i wiatr gorący (*hot wind*) który nas oślepiał, napełniając oczy nasze czerwonym pyłem podobnym do opiłków;— ani odpoczynku, ani snu (kazano nam spać pod drzewami, gdzie owady z żądłami i kleszczykami kąsały nas bez litości); żadnej nadziei pociechy; żadnych wiadomości z kraju rodzinnego; wszystko to było piekłem, a co jeszcze gorzej, nudnym piekłem.— Zmienić takie położenie na śmierć, to była wygrana.— Aby znosić z przyjemnością albo z odwagą ten sposób istnienia, trzeba było być podłym; mało kto z nas zasługiwał na to nazwanie.

«Nie chcę chwalić tych od których towarzystwo się oswobadza, jak zapewne ma do tego i prawo; ale to pewna że w ich liczbie znajdują się charaktery bardzo energiczne, ludzie odważni, ciała żelazne, ludzie którzy jeśliby się znaleźli w innych okolicznościach, mogliby być użytecznymi i mówionoby o nich.— Takimi byli dwaj towarzysze moi, John Anderson z Londynu, i Thomas O'Briar, Irlandczyk, z Tipperary.— John Anderson, pochodzenia szkockiego, odrodził się bardzo od wzorów przodków swoich i od zwyczajów rodu oszczędnego i spokojnego do którego należał.— Człowiek ten muskularny, z włosami czerwonymi, którego kości

ze wszech stron wydatne, zapowiadały nadzwyczajną siłę, rozbijał sztabę żelaza pięścią swoją i złamałby ściśniętymi kolanami, boki konia na którymby siedział.— Zresztą dzielny, gwałtowny, a nawet dość szlachetny kiedy nie pił za wiele; wielkiem jego nieszczęściem było to, że życie ludzkie mniej ważył niż my muchy.— Miał towarzysza i przyjaciela, jeśli słowo to może być użytém, małego Tomasza O'Briar, chudego, czarnego, z twarzą jak ostrze noża, z nosem zaostrzonym, chytrego jak lis, i zdolnego do rozszarpania cię na szczątki dla zarobienia 2 pensów.— O'Briar był kamerdynerem, i bardzo podejrzany o podpalenie domu pana swego, aby go zrabować dogodniejszym sposobem.— Nie mógł być przekonany w tym występku; inne grzeszki wystarczały na wygnanie go a ponieważ nie mógł wstrzymać się, przybywszy do Sydney, od swoich dawnych przywyknień, został natychmiast przymuszony do zajęcia miejsca w łańcuchu albo *gang* którego część składałem, który rozbijał kamienie, wycinał drzewa, i wysuszał bagna w pobliżu Port-Essington.— Dwaj ci ludzie zdawali mi się być najmniej znikczemni z naszej gromady: jeden był siły fizycznej przerażającej; drugi miał zręczność i łatwość niemniej odznaczającą się.— Zachowałem sobie rolę dyrektora tych dwóch potęg, i miałem nadzieję zostać głową ich ramion.— Da się zaraz widzieć jak wykonałem mój zamiar, i jak doszedłem do te-

go, zem umknął z tego obrzydliwego grobu w głębi którego jęczeliśmy.

«Co do mnie, zasłużyłem bardzo na karę.— Mieszkaniec Londynu, Seven-Dials, skazany na wygnanie na dwa lata tylko, i traktowany z wielką łagodnością przez moich naczelników, którzy umieścili mię w biurach rządowych i polecili potem nadzor nad składem powrozów, lin okrętowych, i kotwic, dozwoliłem opanować się nadziei nagłego zrobienia majątku; korzystając ze stosunków moich, z jednej strony z majtkami przybywającymi z Europy, a z drugiej z krajowcami, nadzwyczaj zakochanymi w araku i w wódce, urządziłem systemat kontrabandy odnoszącej się do napojów spirytualnych, której obróty szczęśliwe przez sześć czy siedem miesięcy, miały mię z bogacić, kiedy zostałem odkryty.— Ukarano mię srogo.— Posłano z kajdanami na nogach, zająć miejsce w tych smutnych rzędach ludzi związanych łańcuchami jedni z drugimi, i podległych od rana do wieczora i od wieczora do rana straszliwemu męczeństwu.— Tasmania jest nimi napełniona, i to ztamtąd właśnie uciekają na wszystkie strony korsarze i *sealers* którzy przebiegają morza i okolice sąsiednie.— Aby się wykraść z téj służby, niemasz niebezpieczeństwa którémby nie wzgardzili i rzeczy którychby nie przedsiębrali.— Widziano ich wypływających na pniach drzew niewydrążonych nawet, i tak pływających po morzach które najśmielsi

kapitani ze strachem tylko przebywają.— Często, dla braku zręczności wybawienia siebie, zabijają towarzysza, aby z kolei samym być zabitymi.— Jestto jedyny ich sposób ucieczki, i używają go.— Skoro tylko zostanie kto stowarzyszonym z takimi kolegami, staje się wkrótce zrospaczonym jak i oni.— Większa część traci rozum w tém życiu zwierzęcém; ci którzy zachowują używanie rozsądku, nabywają nadzwyczajną moc wytrwałości, śmiałości i przebiegłości.— «W godzinach obiadowych, godzinach bardzo krótkich i poświęconych na kruszenie między zębami tego nędznego chleba zmieszanego z piaskiem, naszego jedynego pożywienia, znalazłem sposób porozumienia się z Anderso-
nem i O'Briarem; było postanowiono, że podczas pierwszego snu naszych towarzyszków, jeden z nas, O'Briar, odwiąże się, wstanie powoli, i że umieści o trzy czy cztery sążnie odległości, między gałęziami akacyi, pistolet nabity, który tam tego przymocuje.— Oto jaki miał być i jaki był rzeczywiście użytek z tego pistoletu: noc była ciemna; sznurek przywiązany do kurka tak że mógł pocisnąć cyngiel, dochodził aż do mnie.— Kiedy O'Briar wykonał swoje poruszenie i umieścił pistolet, pociągnąłem za sznurek, pistolet wystrzelił nie raniąc nikogo, jakśmy to przewidzieli; i jak przewidzieliśmy także, wszystko wnet było w ruchu i nieładzie.— Właśnie z tego poruszenia nagłego i zadziwienia dwóch *overseers*, chcieliśmy skorzystać, An-

derson, O'Briar, i ja. — Dozorcy i *convicts*, pobiegli w stronę gdzie wystrzał dał się słyszeć; a ja razem z O'Briarém, pełzając po trawie, i dosięgnąwszy wkrótce brzegu parowu który zauważaliśmy, zacząłem złazić po ścianie jego za pomocą krzaków i korzeni które ją okrywały. — Tam zatrzymaliśmy się aby rozpiłować żelaza nasze, co natychmiast nastąpiło. — Anderson, zamiast urządzenia swojej ucieczki powoli i cichaczem jak my, zaczął biedz z taką gwałtownością po brzegu, wawozu że sam odgłos jego oków wystarczyłby na zwrócenie uwagi dozorców w jego stronę. — W istocie, trzy czy cztery wystrzały z karabinów do uciekającego, sprawiły że kule ich przeleciały nad naszymi głowami; a ponieważ skuliliśmy się i przysiedli w jednym zakręcie zarosłym drzewami w urwistym parowie nas osłaniającym, usłyszeliśmy jak upadło, potem się potoczyło w suchach przez gałęzie nas okrywające, i nakoniec zatopiło się z hałasem w wodzie bieżącej w głębi parowu, ciało które było ciałem Andersona. — W głębokiej ciemności nas otaczającej, odbicia sprawione tym upadkiem oszukały tych którzy się udali na ściganie nas; sądzili oni że trafili dwóch uciekających; i nie domyślając się żeśmy byli tam, skurczeni prawie pod ich nogami, oddalili się rzucając nam te tylko litościwe słowa:

— Łotry spadli. — Słyszałem dwa ciała jak upadały jedno po drugim.

- Ja słyshałem je bardzo wyraźnie.
- Hultaje!
- Dobry ubytek kłopotu!
- Anderson był tam?
- Tak, i O'Briar także.— Dobra noc.

Było to jedyne pożegnanie które nasi dozorczy nam przesłali.



II.

Konwikty uciekający.— Co kosztuje kobieta w Australji.— Korsarz Michał Howe.— Pałac James Munroe. Kapitan King — Wychowanie w Australji.

Naówczas wszystko się uspokoiło, cisza powróciła, lekki szelest tylko wgłębi parowu zdradzał poruszenia człowieka rannego, śmiertelnie lub nie, który jednak ruszał się jeszcze.— Godzina upłynęła nim jego dwaj towarzysze opuścili przykre schronienie które ich zasłaniało i okrywało.— Nakoniec kiedy sądzili się być w bezpieczeństwie, wyczołgali się zewnątrz kryjóWKi.— Poszarpani i skrwawieni, zleźli na kolanach, i zaczęli się aż na brzegi potoku, który powiększony deszczem pędził gwałtownie w parowie.— Jeden z nich, opowiadacz i naczelnik przedsięwzięcia, miał w ręku *dirk* czyli małą szpadkę majtka, z klingą bardzo szeroką; drugi uzbroił kością kanguru zaostrzoną kli-

nowato koniec kija z akacyi kolczastej.— Skierowali się tak, wśród cierni i kamieni będących na brzegach potoku i nakoniec dostali się do brodu, o którego bytności wiedzieli, i na który liczyli.— Ludzie ci których prawo prześladuje, których ciśnie potrzeba, spaleni od słońca, zahartowani lodem nabywają szczególnej organizacji.— Ciała ich stają się jakby z brązu i skóry. Znoszą głód, pragnienie, zimno i gorąco, i zdają się utracać wraz z uczuciami moralnemi wszelką czułość fizyczną.— Wkrótce jeden z tych potopów zwrótnikowych tworzących z pól najjałowszych improwizowany ocean, napadł uciekających.— Mogli spać tylko na przemokłym gruncie, żyć tylko korzeniami, jaszczurkami, i gumną która ciekła z pnia drzewa ją wydającego.— Inniby zginęli; oni mieli się bardzo dobrze, i tak doszli nakoniec do rzeki Wielkiego-Pope; ponieważ imię wytwornego poety, szczególnie wynarodowionego, nadane było przez kaprys angielski jednej ze smutnych rzek tych jałowych i dzikich pustyń.— Przebyli ją wpław, i zatrzymali się w lesie eukalyptów dość gęstym. Nagle, o piętnaście czy dwadzieścia sążni odległości, dwóch ludzi znalazło się przed nimi; jednego z nich guziki metalowe lśniły się przeciw promieni zachodzącego słońca.

Blask tych guzików sprawił że wzięto go za *overseer* czyli dozorcę; rzeczywiście na mundurach *overseerów* są podobne guziki.— W ręku tegoż człowieka błyszczał karabin ma-

łego kalibru; czoło miał otoczone kawałkiem sukna zakrwawionego, a łańchmany jego spodni podartych były w przeciwieństwie z nowym mundurem okrywającym część wyższą jego ciała.— Obok niego był młody chłopak bardzo małej urody, cery oliwkowej, odziany w kurtkę błękitną majtki i mający małą siekierkę za pasem.

Dwie te pary, złożone, jedna z dwóch zbiegów, druga z dwóch nieznanomych; zatrzymały się jedna przeciw drugiej.— Z kim uciekający mieli do czynienia? Z przyjaciółmi lub nieprzyjaciółmi? Niewiedzieli tego.— Człowiek z karabinem przymierzył broń swoją, i krzyknął mocnym głosem:

— Chwilę! niewiem kto jesteście.

Potem lufa karabinu podniosła się w kierunku równoległym, i rzekł znowu:

— Wyjdźcie ze swojej jamy, i powiedźcie kto jesteście, albo wystrzelę.

Strzelaj kiedy chcesz! krzyknął mały Irlandczyk.— Kula świsnęła Irlandczyk padł.— Towarzysz jego poddał się natychmiast.— Pozwólmymy mówić temu, który przeżył wszystkie te wydarzenia, i który miał przyjemność naprzód je opowiedzieć, a następnie wydrukować.— «Trzeba było ustąpić, powiada.— Opor z moim *dirk*, o krótkiej klindze byłby zupełnie bezużytecznym.— Przystąpiłem więc ciało Irlandczyka który był uderzony wyżej lewego oka i który nie dawał znaku życia, i udałem się ku mojemu zwycięzcy; ten ocierając spokojnie ka-

rabin, przyszedł także ku mnie ze swojej strony.—Spotkał mię w małej odległości od trupa»...

—«Ah, ba! rzekł do mnie, to ty! Sądziłem zdaleka że jesteście dwaj *overseers*, i wziąłem ciebie za tego przekłętego Gillheada. A tak, to więc towarzysza Irlandczyka powaliłem na ziemię.

— Tak.

«Mój zwycięzca nie był kim innym, jak tylko naszym towarzyszem uciezki; kiedy wpadł do parowu, jedna kula urwała mu ucho, druga trafiła go w biodro; w upadku uszkodził sobie czaszkę, ale żył zawsze.—Spotkawszy dozorcę nazajutrz po naszej ucieczce, zabił go, zabrał jego odzienie, a za fajkę będącą w tém odzieniu, kupił dziką kobietę ubraną jak majtek, którą mu sprzedało jedne pokolenie z tych okolic.—W istocie, ten mniemany majtek miał na swojej brązowej twarzy liczne znaki tego tatuowania które zalotność ludów pierwotnych uważa za najpiękniejszą ozdobę swoją.

«Podaliśmy więc sobie ręce nad zabitym towarzyszem.—Była to jedyna po nim mowa żalobna,—potém udaliśmy się razem w drogę.—Australka, dobrze zbudowana, z twarzą obrzydliwą z powodu nosa spłaszczonego w którego chrząstkach tkwił dumnie olbrzymi pierścień mosiężny, była domowém zwierzęciem najposłuszniejszém, najużyteczniejszém, i najzwinniejszém jak tylko można sobie wyobrazić.—Gotowała jeść, co zależało na zapaleniu ognia z su-

chych gałęzi i na pieczeniu wszystkiego co się znalazło pod ręką, węzów, jaszczurek, i korzeni; czynności, które spełniała ze szczególniejszą zręcznością.»

Osobliwsza odysseja tych trzech osób trwała, dni piętnaście, w ciągu których doszli do brzegu południowo-wschodniego Australji.— Nad rankiem dnia szesnastego, postrzegli z radością łódź rybacką przywiązaną do brzegu.— Dwóch Malajczyków spało tam spokojnie.— Nasi uciekający poszli do nich; z karabinem w rękę, zmusili ich siłą do służenia sobie, i kazali zawieść się w ich łódce aż do wyspy w cieśninie Banks.— Siedmiu rybaków łowiących cieleta morskie czyli *sealers* mieszkało na téj wyspie.— Nie mieli broni.— Podbici, mimo wyższości liczby, przez siłę woli i broń palną dwóch *Konviktów*, *Sealero wie* wozili ich z wyspy na wyspę, i nareszcie wysadzili naszych złoczyńców na brzeg na przyładku Wilson, gdzie ich panowie raczyli ich pożegnać.— Wszedłszy potem w gęste lesiste zarośle nieznanne, które się ciągną od brzegu do stop Alp australijskich, uszli pieszo więcej czterech set mil w pięciu miesiącach, i rozdzielili się w okolicach Sydney, gdzie opowiadający tę historją został przyjęty i ukryty przez przyjaciela.— Jego towarzysz podróży dalej prowadził ten sam rodzaj życia, stał się rozbojnikiem morskim pod sławném i straszliwém imieniem Michała Howe, i nakoniec był naczelnikiem licznój bandy tych zbiegłych złoczyńców z roz-

maitych osad karnych, którzy przebiegają obszerne i dzikie okolice, obiecujące im bezkarność. Niezwalczony charakter i dzika odwaga Michała Howe zapewniały mu posiadanie tej krwawej niezależności, którą sobie przywłaszczał.— Zawsze razem z kobietą tuziemką kupioną za fajkę, które zdawała mu się odpłacać przywiązanie jakiego miał dla niej, wybudował w gęstwinie lasu, na południe Nowej-Holandyi, chatkę gdzie się z nią ukrywał, i gdzie pewnego dnia dał się zejść.— Na pierwszy szelest łamanych gałęzi i kroków nieprzyjacielskich, straszny Howe, bojąc się aby jego towarzyszka nie wpadła żywcem w ręce tych którzy go ścigali, zagłębił swój *dirk* w serce nieszczęśliwej kobiety i umknął.— Przez lat siedm go nie widziano.— Dostał się w głąb doliny okrytej bukszpanami i akacyami, gdzie żaden krok ludzki nie przeniknął, wytrzebił tam polankę, wybudował chatę, zasiał naokoło nieco zboża które z sobą unosił, i żył sam jeden.— Pewnego dnia jednak wyszedł ze swego schronienia, i popełnił grabież, która odkryła jego bytność tam i schronienie.— Trzech osadników poszło za jego śladem, osoczyli go i zabili jak dzikie zwierzę. — Znalezione w jego chatce pewien rodzaj Apokalipsy czyli Marzeń wrękopismie, nakreślonych krwią jego, ozdobionych tu i ówdzie niekształtnemi rysunkami, który zaświadczał zarazem o straszliwem znudzeniu, rozpaczcy nieuleczonej i gwałtowném usiłowaniu samotnego mordecy dla uniknienia jednej i drugiego.

Zresztą, to zamiłowanie życia samotnego nie jest wyjątkowym udziałem występku, wyrzutow sumienia, albo rozpaczy.— Wielu wolnych Anglików, nie będących ani osądzonymi ani *convictami*, osiedliło się, nie mając czego lękać się sprawiedliwości, w najsmutniejszych schronieniach tych wyseppek, które się cisną jedna przy drugiej w ciałninach Bass i Banks.— *Ochrona*, mała wyspa położona na wschód, jest jeszcze rządzoną przez starca imieniem James Munroe, którego pałac, składający się z kilku ułamów skał zasłoniętych od wiatrów przez wzgórki granitowe, wznosi się na tarasie dość wspaniałym.— On rozkazuje rybakóm i *sealeróm* téj części ciałniny; zamiast straży i dworu przybocznego, ma ósm czy dziesięć psów, kozy, koguty i kury, ósm kobiet krajowych i jednego Anglika.

Ci którym się najlepiej udaje w takich położeniach nie są ani melancholicy ani odludki, ale ludzie czynni, krzepcy, weseli, odważni, przezorni, zdolni do rozkazywania, jak Munroe.— Przed pięcią czy sześcią laty, Kapitan King, zmęczony światem i ruchem towarzyskim, wpadł na myśl rzucić służbę i udać się z żoną, czterema synami i córką, na wyspę niezamieszkałą w ciałninie Bass, nad wrzącemi bałwanami rozdzierającemi te skały nagie, które rozdzielają Tasmanią od King-Island, bo dał téj wyspie imię swoje.— Przyzwyczajony do zbytku i wygod, zrobił on z życia dzikiego poetyczny ideał.—

Pod kamienném sklepieniem jego smętnej chaty, wybudowanej ze szczątków skał umieszczonej między zaspami piasku czerwonego i falami wirowatemi rzucającemi pianę zdaleka, widząc nadzieję agronomii swojej niweczoną bezprze-stannie przez grunt nieurodzajny albo niszczo-ną wiatrami zachodniemi, szukał próżnej pociechy w wyborniej bibliotece którą z sobą przy-wiózł i w muzyce którą znał dobrze.— Niekie-dy żeglarz, znajdujący się na wodach Franklin-Rod, słyszał z zadziwieniem żałośne dźwięki angielskiego fletu, którego smutny odgłos łączył się z oddalonymi westchnieniami wiatru morskiego.— Był to biedny kapitan King, który od-dalał nudy jak mógł najlepiej.— Nakoniec wpadł w smutek tak gorzki, że rząd osad, którego ma-łe statki dochodziły niekiedy do King-Island, ulitował się nad nim, zachęcił go aby się osie-dlił w Tasmanii, i wspierał jego usiłowania które się też powiodły.— Dziś kapitan King, który zaprzestał grać rolę Robinsona Kruzoe i opuścił swoją wyspę, jest jednym z bogatych osadników Nowej Hollandyi.— Złoczyńcy zbiegli od karnych kajdan, radzi bardzo kiedy mo-gą znaleźć położenie które kapitanowi King tak przykrem się wydawało.— Smiali ci ludzie opa-nowują nie raz najbardziej niedostępne wierz-chołki skał.— Najstraszniejsza skała ciałniny, *piramida czarna*, winna swoje nazwanie kształ-towi swemu i wzburzonemu zawsze falom biją-cym u jój stóp, była nawet zajęta w dniu po-

godnym przez jednego *sealera* któryby zginął tam niechybnie, gdyby się w czas nie wycofał.— Największe wysepki pokryte są ziemią roślinną, której płody, zamiast wznoszenia się prostopadle jak w innych sferach, zmuszone są rozciągać się wszerek przez wieczną gwałtowność wiatrów ciałniny.— Dla tego roślinność karłowata ale silna, tworzy tam płataninę zgęszczoną, labirynt i sploty gałęzi ściśniętych i obrosłych, wśród których trzeba torować sobie drogę siekierą.— Ogrody angielskie, zasłonięte wielkimi ścianami wysadzanymi kamyczkami, chatki niskie okryte powojem jak w hrabstwie Kent, stajnie zawierające wieprze i inne domowe zwierzęta, przypominają Anglię w tych stronach tak oddalonych i tak dzikich, i świadczą o niezatartem przywiązaniu Anglików do zwyczajów brytańskich.— Ci ludzie z ciałniny (*straitsmen*) za biedni aby nie być wstrzemięźliwymi, i zanadto wstrzemięźliwi aby nie być krzepkimi, posyłają co rok kilku z tych którzy nie są *convictami* na targ do Lannceston (stolica Tasmanii czyli ziemi Van-Diemen) dla sprzedania tam znacznej ilości piór ptaków morskich, które im przynoszą wszakże mało pieniędzy.— Oskubanie tysiąca ośmiuset ptaków waży mniej więcej sześćdziesiąt funtów, i napełnia trzydzieści worków które się ładują na dwa statki; jest to cały skarb powstającej rzeczypospolitej.— Częstokroć ci silni rybacy przychodzą w pomoc okrętom ginącym albo zagrożonym burzą w niebezpiecznych przejściach

ciaśniny. Jeżeli się ich ludność pomnoży, jeżeli dążności przedwczesnego prawodawstwa nie będą mięszały przyrodzonego postępu ich rozwoju, prawdopodobnym jest że znajdą w ratowaniu okrętów, nowe źródła i sposoby dobrego bytu.

Wybierają żony pomiędzy Tasmaniankami i Australkami; i oto już w krótkce będzie lat dziesięć jak się przygotowuje nowa rasa mieszana ze krwi najbardziej cywilizowanej w Europie ze krwią najdziksza jaka jest znana na kuli ziemskiej.

To ciągle zjawisko krzyżowania rass daje dzisiaj wyniki godne uwagi.— W Indostanie krew anglo-saksońska miesza się ze krwią krajową; w Algierze rasa arabska i francuzka, pomimo przeciwiństw stawionych przez mahometanizm, zaczynają się mieszać; i w strasznych pustyniach któreśmy opisali, dzikie córki pokoleń miejscowych, sprzedane przez swoich ojców lub uprowadzone przez majtków i wygnańców angielskich, stają się matkami nowej rodziny która będzie grać swą rolę w przeznaczeniach ludzkości.— Prawo godne uwagi przewodniczy w tych związkach i urządza ich dalszy postęp.— Rasy mocne pochłaniają rasy słabe; wszędzie charakter europejski odnosi w organizacyi fizycznej i typie moralnym nowe korzyści; zdaje się że potrzeba nieprzewyciężona postępu, skazuje na wyniszczanie ludy pierwotne i daje panowanie energicznym przymiotom nowych po-

koleń.— Skóry-czerwone z brzegów Meschacebé znikają i unikczemniają się przed oświatą purytańską. Pomimo ogromnej różnicy ilości, słabi potomkowie brahmanów dają się powodować kilku ludziom z północy; w Madras i Kalkucie całe pokolenie anglo-indyjskie młodych urzędników zdolnych, zręcznych i czynnych, napęlnia bióra Kompanii Indyjskiej i przedłuża panowanie ich ojców anglików; nareszcie widzimy tworzące się w Nowej Galji na Południu te osady mieszkańców które zdają się być przeznaczonemi do zaludnienia wysp ciążyny.

Są to ludzie śmiali, mocno zbudowani, z ogromnemi ramionami, z giętkimi łędźwiami, z okiem w ogólności błękitnem i żywym, którzy mają po matkach swoich tylko skórę czerwoną i twarde włosy.— Wyborni majtkowie, zręczni i śmiali poławiacze wielorybów, tworzą już ludność od trzech do czterech set dusz, która nie przestaje wzrastać.— Ojcowie ich dają im pewien rodzaj wychowania prostego, uczą ich języka angielskiego przedmieść Londyńskich, narzeczają łódzijskiego z Botany-Bay, czytać, pisać, nienawidzieć policyi, prócz tego polowania, rybołówstwa, i co jest szczególne wśród takich obyczajów, poszanowania dla biblii.— Matki ich, te Tasmanianki których położenie nie jest lepsze jak Squaw'ów w Ameryce Północnej, i które posiadają przymioty jakie daje przyzwyczajenie do cierpienia i poddania się, okazują dzieciom swoim nadzwyczajną czułość i udzie-

lają im swoich rodzinnych przesądów, a mianowicie wiarę wspólną wszystkich dzikich ludów, wiarę w przechodzenie dusz.

Postać tych kobiet nie jest bez przyjemności; u niektórych delikatność kształtów i regularność rozmiarów naprawiają ujemność skóry czarnej lub brązowej.— Ich łagodność jest ujmująca, ich czynność często użyteczna i roztropna.— Uwiedzione powiększej części jak Sabinki przez tych nowych Rzymian ciążniny, albo kupione za kilka skór cieląt morskich lub bobrów, nie oczekują niczego w życiu skąd inąd, jak od łaskawości swoich panów; i nie zaniedbują żadnego środka dla uzyskania tej przychylności.— Wielożeństwo, bardzo upowszechnione w Tasmanii, bo jest dowodem bogactwa, nie odstręcza ich poświęcenia się.— Niektórzy z wygnanców ciążniny żyją sami, otoczeni ośmią lub dzieściami Tasmaniankami, i są królami bez innych poddanych na swojej małej dzikiej wyspie.— Co jest najdziwniejsza, że związki tego rodzaju, nie tylko rozprawdzają krew angielską w tych odległych pustyniach i tworzą nową ludność która się tam prędko i nagle nagromadza, ale niszczą na przyszłość wszelką możliwość rozprawdzaniu rasy krajowej.— Jeśli należy wierzyć terazniejszym postrzegaczóm, między innymi kapitanowi Stokes i P. Strzeleckiemu, których wiadomości w historii naturalnej i fizyologii są bardzo rozległe, kobiety tego kraju, skoro raz dają życie dzieciom angielskim czyli europej-

skim, stają się niezdolnemi do wydawania na świat plemienia krajowego do którego należą i są dotknięte niepłodnością w związkach któreby mogły zawierać nadal z ludźmi ich gatunku.— Ten fakt szczególny jest nadzwyczajnej ważności; on się zgadza z innemi postrzeżeniami tegoczesnej fizyologii i zdaje się wzmacniać teorią, według której plemiona dzielniejsze mają pochłonąć i zniszczyć niższe rasy.

W samej rzeczy, codziem mały koń dziki ze stepów tatarskich, pies-wilk tak chudy i tak wąły z lasów niemieckich, nikną stopniowo z powierzchni ziemi; a ten sam wpływ daje się uczuć w królestwie roślinném, gdzie piękne gatunki, uprawiane i powiększane staraniem człowieka, upowszechniają się na całej przestrzeni, i grożą pochłonięciem gatunków dzikich i pierwotnych.

III.

**Australia szczęśliwa.— Kwakier w Australii.— Sielan-
ka.— Pożary i potopy.— Kopalnie w Kapounda.—
Obecne położenie plemion krajowych.**

Uskarżają się na trudności i ofiary w ludziach i pieniądzach które Francuzi ponosić muszą na kolonizacyą algierską.— Prawda; ale ci którzy zanoszą te skargi i ci co je powtarzają, powin- niby dodawać że w żadnym czasie, w żadnej

epoce przemian społecznych, dla żadnego narodu, postępy kolonizacyi, nawet w krajach dziewiczych i wśród ludności niższej i bezsilnej, nie były wolne od trudów niepowodzeń i udręczeń.— Bóg to wie ile Anglicy wydali funtów sterlingów i poświęcili ludzi i kapitałów w błotach ich *szczęśliwej* Australii, która jest nią tylko z imienia jeszcze; w ich Tasmanii nieujarzmionej i okrytej pustemi wydymami nie do użycia, nawet w Sidney i Paramatta gdzie śmiertelność powiększyła się przez występne zwyczaje *convicts* i przez rozpacz a nudę które ogarnia osadników poczciwych! Pomimo tylu przeciwności oświata postępuje, pustynia się cofa, nowe miasta wzrastają.— Najniepoprawniejsi złoczyńcy stają się wybornymi pionierami dla tej ciężkiej kolonizacyi.— Uciekają oni, jakieśmy to powiedzieli, i zaludniają skały których nikt nie śmiał zwiedzać przed nimi.— Co się tyczy kolonizacyi i odkryć, oni robią więcej niż podróżacze i podróżni *ex professo*.— Geografowie mieli subtelne powody że nie przypuszczali istnienia zatok albo rzek w pewnych miejscowościach gdzie znaleziono miasta osnowane w zaczątku przez *convictów*.— Kapitan Sturt był przyjmowany o sto pięćdziesiąt mil od brzegów przez złoczyńcę, który tam żył spokojnie z żoną z pokolenia miejscowego dzikich, prowadząc wojnę z alligatorami, z których dał wyborny beafsteack z kartoflami temu zdziwionemu podróżnemu.— P. Strzelecki, Polak który u-

szedł w siedmiu latach dwa tysiące pięćset mil pieszo naokoło Australii, spotykał nie tylko rzeki, ale chaty należące do wygnańców dobrowolnych, zbiegłych z więzień australijskich, pobudowane w głębi ciemnych dolin, ze wszech stron zasłoniętych massami skał.

Co do osadników słabszego usposobienia, przyrodzenia łagodniejszego, i przyzwyczajonych do życia mniej awanturniczego i spokojniejszego, znajdują oni nawet w *Australia felix*, części położonej ku północy, powód do ćwiczenia się w cierpliwości i powiększania masy cnot swoich.

Ta Australia, nazwana *szczęśliwą*, sama jedyna większa jest od całej Anglii; ci którzy wylądowują na jej brzegach i co ją zwiedzają po raz pierwszy nie wyczerpani są w pochwałach jej przyrodzonej żyzności i uderzającej piękności; chwalą i opisują z rokoszą schronienia z liści, i kwieciami okryte ustronie tych obszer-nych okolic.— Zapominają wszakże dodawać, albo i nie wiedzą, że podwójna czynność równokowego skwaru i obfitych deszczów nadaje krajowi pozór uśmiechający się i żyźny który ich omamił, i że latem pożary naturalne niszczą do razu i zdrowie człowieka i nadzieję jego zbiorów.— Pożary te są jedną ze szczególnych klęsk w Australii.

«Takie jest gorąco słońca, mówi jeden podróżny, takie jest przytęm przyrodzenie ziemi, że pomimo wielkich dżdżów w jesieni i w zimie,

są pory w roku gdzie kora drzew, liście, mchy, rośliny pasożytne, stają się suche jak hupka, i gdzie najmniejsze starcie się dwóch suchych liści sprawia spalanie się całego lasu, krzaków go otaczających, i nareszcie zbóż, pastwisk i domów należących do osadników.— Widziałem przestrzenie na kilka mil rozległe, gdzie się znajdowały drzewa gummowe od stu pięćdziesięciu do dwóchset stóp wysokości, również mieszkania i chaty, które tylko były popiołem po przejściu klęski.— Nieszczęśliwy osadnik traci zarazem przez te pożary swój kapitał zniszczony, swoje trzody rozpierzchające się, na około wszystko aż do ogniska przy którym składał swą głowę, aż do dachu, który go okrywał.»

W Europie nie wiedzą zgoła o tej prawdzie; dzienniki angielskie, a nawet mieszkańcy Nowej-Holandyi mają w tém interes żeby nie osłabiać kraju, który ma się utworzyć, a który przedstawia płodom angielskim wyborny odbyt.— Każdy emigrujący do Nowej Gallii Południowej albo do Tasmanii płaci matce-ojczyźnie rocznie wartość siedmiu funtów sterlingów w wyrobach rękodzielnych które kupuje; oto jest powód dla czego prawda o stanie osad i ich uprawy z trudnością się wyjawia.

Pewni podróżni naiwni i szczerzy, kiedy ogłaszają sprawozdania swoich przedsięwzięć albo prób kolonizacyi, nie ukrywają bynajmniej przykrości i trudów fizycznych którym są poddani; inni, którzy mają cel sprzyjania emigra-

cyi dla nadania większej wartości kapitałowi poświęconemu przez nich na to przedsięwzięcie, starają się ukryć i przekształcić niedogodności i przykrości klimatu.

Najzabawniejszym z tych podróźnych, jest jeden poeta tkliwy i elegiacki, który z melancholią muzy swojej błąkał się po antypodach.— Richard Howitt członek jak się zdaje rodziny kwakrów, do której należy wiele osób utalentowanych, noszących tóż samo nazwisko, wrócił bardzo prędko.— Trzeba słyszeć tego przyjemnego poetę i marzyciela opowiadającego nam jak walczył z węzami, małpami, pożarem, ulewą, szarańczą, górami piasku, i najgorszą ziemią do uprawy jaka tylko jest na świecie; jak on widział się zmuszonym do walczenia z kangurami i dzikimi ludźmi wówczas, kiedy się spodziewał przyjemności życia pierwotnego i dziewiczego. Jest to osoba dość ciekawa.— Dotknięty reumatyzmem, opisuje i ogłasza swoją podróż przyjemnemi wierszami i prozą trochę smutną.— Jego nadzieje zniweczone, wrażenia, pamiątki, i przykrości są bardzo wymowne:

«Czyliż to nie dla zażartowania z nas, powiada on, podobało się pewnemu podróżnemu nazwać ten punkt brzegu, na którym wylądowałem, *ziemią obiecaną*, a tę część Australii *Australią szczęśliwą*? Nieszczęśliwy kto na przyszłość zaufa takim obietnicóm!— Nie mogłem nawet zaprowadzić w tym kraju kartofli, która się wszędzie udaje.— W pierwszym roku powódź

wszystko zniszczyła; w drugim susza pożarła wszystko; w trzecim, małe moje szeregi roślinne pokazały główki dla tego tylko aby zostać zniszczonemi przez liczne szeregi owadów i robaków które nie zostawiły ani źdźbła zieloności.— Ta ziemia obiecana powinna się raczej nazywać ziemią zawodów, ponieważ to jest dowiedzionem, że ten pozór zieleniejących akacyj i drzew gummowych do niczego nie doprowadza; oko widzi je wiecznie zielonemi i bezużytecznemi; osadnik, w niemożności nadania wzrostu żadnemu gatunkowi roślinności płodnej i soczystej, wpada w najstraszniejsze i zniechęcenie i zrażenie.

«Nigdy poeta, mówi jeszcze, nie znajdował się w położeniu bardziej niesprzyjającym uprawie poezji i ideału.— Według podróźnych, a nadewszystko podług opowiadań owych kapitanów okrętowych, którzy postrzegają zdaleka ląd i brzegi i przemieniają w rzeczywistość żywność zwodnicze piękności odległych krajobrazów, wymarzyłem sobie Eden spokojny, na łonie którego ja i rodzina moja moglibyśmy spędzać dni tkane ze złota i z jedwabiu.— Idylla Gessnera utworzyła się w moim umyśle; nie obawiałem się pracy; i sądziłem że nabędę przez moje usiłowania to szczęście, którego wyobrażenie pieściłem.— Wybraliśmy w najpiękniejszej miejscowości, a przynajmniej najbardziej uśmiechającej się na pozór, w okolicach Melbourne, przestrzeń ziemi która się zdawała żyzną,

i którą okrywała najbogatsza roślinność.— Ja, którego ojciec wychował w folwarku angielskim, i który umiałem doskonale używać wszystkich narzędzi rolnika i drwala, znalazłem się twarzą w twarz z mnóstwem olbrzymów leśnych, złączonych jedne z drugimi mchem i roślinami dzikimi, tworzącymi szaniec nieprzerwany gęstości powikłanej.— Wojna którą im wydałem trwała długo; zdawały się zagłębiać aż do wnętrzości ziemi.— Bywajcie zdrowe elegie i marzenia poetyczne; trzeba było robić wielkie otwory w ziemi aby ogołocić korzenie, zwalić pień toporem, obrobić na użytek drzewa, kiedy były na ziemi; potem następowały palisady, i belki do ciosania, aby z nich zrobić budulec naszego przyszłego mieszkania.— Przyrodzenie pierwotne piękne jest do opisywania, ale trudne do zwyciężenia.— Jakie drzewa! najgrubsze miały ośm stop obwodu.— Jakie korzenie! były one twarde jak żelazo, topór nie rozcinał ich, a pół dnia wystarczało zaledwie na ich przepiłowanie.— Jeden z tych potworów pustyni wystarczał na całe piętnaście dni do palenia.— Pęknięcie i łoskot drzew upadających, uderzenia przyspieszone siekiery i młota obudzały echa uspione od wieków tych pustyni pierwotnych.— Tłumy zwierząt nieznanych i dziwnych: wiewiórka latająca, olbrzymia jaszczurka, gromady małych kotów czarnych z białymi centkami, *opossum* z workiem napełnionym małymi, węże czarne i błękitne, nieto-

perze różnych kolorów, kręciły się i latały nad naszymi głowami, jak gdyby nam wymawiały żeśmy przybyli niszczyć; i rujnować ich dawne siedliska.— Kiedyśmy byli bardzo zmordowani robotą siekierą, szturmowaliśmy ogniem głębokość tych starych lasów, gdzie pożar stwarzał wkrótce obszerne amfiteatra straszego widoku.— Drzewo któreśmy tak palili, przyniosłoby nam znaczny majątek w Europie.— Nareszcie pewnego dnia, jak gdyby dla pomszczenia się, grube drzewo upadając, uderzyło mię w ramie jedną ze swych gałęzi, i położyło w łóżko na trzy miesiące.

«Po tylu trudnych pracach, spodziewaliśmy się nareszcie użyć owoców naszych starań. Przestrzeń, gdzieśmy wycięli tę pasiekę, otoczona była palisadą, i zaczęliśmy przygotowywać rolę.— Ale tysiące małych korzonków było tam splecionych tak że nie zostawiały miejsca żadnej wegetacyi.— Trzeba było na nowo zacząć z rydlem, toporem, i motyką w ręku.— Wschodzące słońce widziało już nas schylonych ku ziemi i prowadzących dalszą walkę z zapałem.— W południe wielkie stopy gorejących korzeni powiększały upał dzienny; a słońce zachodzące za fale zachodnie znajdowało nas jeszcze przy pracy.— Nareszcie zaczęliśmy siać kartofle; zaledwie pierwsze rostki się pokazały, aż jednego wieczora deszcz, jeden z tych jakie padają tylko pod zwrótnikiem, uniosł i zniszczył wszystko.— Zbudowaliśmy z grubych dy-

łów i z kory drzew dwie chatki dla dwóch skazanych, którzy nam mieli pomagać w naszych pracach.— Były one obie położone nad brzegiem rzeki.— Szczególne to były dwunożne zwierzęta ci nasi pomocnicy; wypiliby dwie beczki wina w dzień nie upijając się, i wycięliby cały las uderzeniami siekiery bez zmęczenia się.— Ręce ich stały się twarde jak z rogu.— Ich skóra była grubsza i bardziej nieprzenikliwa jak skóra wyprawna.— Znajdowali się w tedy w lesie, przy swojej robocie, kiedy ulewa się zaczęła.— Zona czy gospodyni jednego z nich została była w chacie z jedną ze swych przyjaciółek, która przyszła z Melbourne ją odwiedzić.— O północy, śniegi z gór stopniały i zmieszwały się z deszczem który padał; rzeka zniknęła, i było już to tylko wielkie jezioro na dwie mile szerokości, na którym błyszczał księżyc: Z naszego okna, postrzegliśmy powódź wzrastającą i obie chatki zagarnięte i uniesione.— Przeszywające krzyki dwóch kobiet które wlażyły na dach dochodziły aż do nas, ale nie mogliśmy im nieść żadnej pomocy.— W krótkce jednak nasi drwale, którzy się zapoznili w mieście przybiegli i rzucili się w pław i okazali, nie bez trudności tego, że ocalili kobiety, i właśnie w chwili kiedy je porwali, dach się zawalił; a chaty, łóżka, pościel czepki, i sprzęty gospodarskie, płynęły pomieszane i pociągnięte potokiem.»

Nasz osadnik, poeta i kwakier winien temu

rozpaczliwemu położeniu elegie i strofy które wydał wespół z opowiadaniem swoich przygod, Dziełko to przyniosło mu daleko więcej niż ferma i gospodarka założona przez niego z wielkim kłopotem w lasach Australji *szcześliwej*.

«Jestem znużony, powiada, tą wieczną zielenością antypodów; dajcie mi dęby moje Europejskie i ich liście żółkniejące w jesieni.— Niech ujrzę te piękne odcienia roku umierającego, pomarańczowe, szare, ciemne i szkarłatne; kiedyż zobaczę mały listek oderwany od drzewa kasztanowego kręcący się i unoszony w powietrzu lub lekko spadający ze swęj gałązki pod nogi zamysłonego przechodnia podczas pięknego i spokojnego wieczora października.— Ja pragnąłbym kwiatów krajowych i starego cmentarza ze ścianą szarą, małej sikorki z centką czerwoną na piersiach, i kosa z głosem krzykliwym i ostrym; i nasze pola skromne, bez obszernych widnokręgów, ze swemi pierwsnkami i stokrotkami białemi; ale nadewszystko, o! nadewszystko melodyą smutną i radośną lasów ruszających się powiewem wiatru.»

Tenże Howitt opowiada z boleścią, jak przez trzy lata następne, burze zniszczyły jego siedzibę. W istocie burze w Australji są jeżeli nie straszniejsze, to przynajmniej niebezpieczniejsze aniżeli gdzie indziej; podróżni znajdujący się na tych obszernych płaszczynach nieraz są bardzo zagrożeni; powierzchnia bowiem płaska gruntu nagle

bywa zatopiona pod wodą, tak że nikną drogi i ścieżki.

«Widziałem, powiada inny podróżny, płaszczyznę szesnaście mil szeroką przemienioną niespodziewanie w jezioro, a koń mój miał wody aż po łopatki, wówczas kiedy mój pies próbował iść wpław za nami.— Czterdzieści baranów czy owiec zostało zabitych na miejscu przez grad towarzyszący jednej z tych powodzi australijskich, a pasterz obowiązany czuwać nad trzodą, wrócił do siebie, cały krwią zlany. Po nocy takiej burzy, zadziwiłem się zobaczywszy cały las ogołocony z liści, jak żeby długa zima wysuszyła jego gałęzie; potrójna tęcza rysowała się od jednego punktu widnokregu do drugiego, dzięki potrójnemu złamaniu światła sprawionemu przez te płaszczyzny zatopione pod wodą, przez morze oddalone i przez potoki które wylewały chmury.— Do tych klęsk łączą się jeszcze żarłoczne węże, jadowite alligatory, i stada małych olbrzymich i ogromnych hipopotamów.

«Niekiedy, powiada tenże pisarz, kiedyśmy usiedli spokojnie do śniadania, lekki szelest i jakby drzenie dawało się słyszeć nad naszymi głowami; pewien rodzaj rzemienia czarnego i trzesącego się, który się kiwa nad naszym stołem wydaje straszliwy krzyk śmierci: *kaw! kaw! kaw!*— Jestto wąż z dzwonkami, którego ukąszenie jest śmiertelne.— Trzeba w tejże chwili zdjąć strzelbę ze ściany i dobrze celo-

- wać, bo straszliwe to zwierzę nie oszczędzało-
by nas bynajmniej.

Anglicy wszakże nie zrażają się tak łatwo.— Kiedy się im nie udało w jednej miejscowości, przenoszą swe namioty na drugi punkt.— Niekiedy ich wytrwałość bywa wynagrodzoną.— I tak, w srodku r. 1843, źródło bogactw niespodziewanych otworzyło się nagle posiadaczóm i osadnikóm téj ziemi wyklętej którą nazywają Australią Południową.— Dawno już temu, pewien lekarz niemiecki nazwiskiem Menge, wnosząc z przyrodzenia ziemi i z pozoru okolicy, wyciągnął wniosek z tych uwag teoretycznych i ogólnych, któremi zawsze pogardzają ludzie praktyczni, że góry otaczające były metaliczne. Zartowano z teoretyka.— Osadnicy nie chcieli porzucić swoich zwyczajów i żadnego czynić doświadczenia; dość im było na tem że wypalili trawy i krzaki im zawadzające i że mogli paść swoje trzody, jak dawniej, na pastwiskach dość chudych.— Nareszcie jedno młode dziecko, bawiąc się między kwiatami dzikimi, weszło na małe wzniesienie, na wierzchołku którego znalazło kamień brunatny, zielonawy pomieszany z cząstkami metalicznými i błyszczącými: była to ruda miedziana; ojciec jego, kapitan Bagot, któremu odniosło tę próbkę, nie omylił się na tém.— Zbadano grunt, przekonano się w istocie że wzgóрки i płaszczyny otaczające spoczywały na pokładzie rudy miedzianej, która przebijała ziemię w pewnych miejscach.

było jeszcze użyć do tego, równie jak i do prac w kopalniach, pokoleń miejscowych; są one dość trudne do zbadania, z powodu niechęci do tej oświaty która opanowała już ich smutne okolice.— Jedno tylko nie ulega wątpliwości, że te rozmaite plemiona nie odnoszą się do wspólnego szczepu.— Ku brzegowi północnemu, niektóre przesady podobne albo zgodne z temi jakie panują na archipelagu Indyjskim kazałyby wnosić że pochodzenie mieszkańców jest toż samo, jak pokoleń zamieszkujących te wyspy; zdawałoby się że pomieszanie z krwią polinezyjską zmieniło nieco ich rasę.— Wszyscy malują sobie ciało, a skóra jest pokryta nacięciami umyślnie zrobionemi w kształcie ozdób.— Chodzą nadzy, a okrywają się tylko odzieżą w dni świąteczne i w ważnych okolicznościach.— Przedział nosowy jest przekłóty u wszystkich prawie mężczyzn.— Różni powierzchownością pojęciem i zwyczajami, mają po większej części jakąś obawę względem Europejczyków; a u bardzo niewielu pokoleń przestrach ten łączy się z uczuciem sympatyi i uszanowania.— Liczue ich narzecza nie mają między sobą wyraźnego podobieństwa.— Tylko na północy, tak jak i na południu nie wymawiają ani *f* ani *s*, i *h* jest im nieznanne.— Dwie trzecie słów kończą się spółgłoskami, często podwójnemi jak *alk*, *srt*, *urt*, *orf*.— Dźwięk nosowy *ng* jest bardzo zwyczajny:

Wielkie pokolenie wewnątrz kraju, którego

naczelnik nosi tytuł Radża, (słowo wzięte z ustanowien administracyjnych archipelagu Indyjskiego), podniosło się pod względem cywilizacyi, wyżej od innych pokoleń. Radża najwyższy rozkazuje hierarchii radżów niższych będących każdy na czele swego plemienia.— Uczucie wstydlivości, które zdaje się być obcém wszystkim innym mieszkańcóm tego kraju, objawia się sposobem dość wyraźnym w tém pokoleniu.— Kobiety noszą chustki, a mężczyźni kładą do włosów pióra papug albo futra zwierzątka *opossum*.— Zbierają pewien gatunek zboża dojrzewający w stanie dzikim, mielą je między kamieniami, robią z tego ciasto, i pieką w popiele.— Żyją tym gatunkiem chleba, owocami *yam*, korzeniami pożywnemi i zwierzyną ze swego polowania.— Bronią ich są lance i dzidy, zakończone jakby pieszniami bardzo ostremi, wyrobionemi starannie z kwarcu lub łupka.— Pokolenia dziksze zaludniające okolice, zachowują wielki szacunek dla tej początkowej oświaty; i jeżeliby Anglicy nie opanowali tej ziemi, niewątpliwie pokolenie środkowe stałoby się panem i rozjemcą wszystkich innych.— Ludność rozsiana na wysepkach i skałach okolicznych znacznie więcej jest dziką, a nadzwyczajna drapieżność niektórych, miesza się ze zdrażliwością. Pierwsze zasady towarzyskiego skupienia, a nawet jakieś wyobrazenie sztuk, okazują się w niektórych plemionach; inne są tak nieokrzeseane i ciemne, że nie potrafią zbić nawet tratwy.— Rozma-

itość ich fizycznego składu, zdaje się nawet przekonywać że z Polinezyi, Malezyi, i otaczających innych krain, przybyły w różnych epokach, te rodziny różnorodne, które musiały koniecznie zniszczyć w położeniu tak mało sprzyjającym wszelkiemu rodzajowi społecznego rozwoju i postępu.

W stosunkach z krajowcami, Anglicy, jak większa część ludów europejskich, okazali się twardymi, nierozważnymi, niedbałymi, i okrutnymi.— Trochę więcej zręczności, taktu i życzliwości, a nie trudno byłoby uniknąć napadu, a nawet pozyskać sobie dobrą chęć tych istot zaledwie nieco wyższych od instynktu zwierzęcego.— Ostatni poszukiwacz (w 1846) kapitan Stokes, przytacza ciekawy przykład łatwości z jaką można się zabezpieczyć, przy zachowaniu zimnej krwi i taktu, od najstraszniejszych napadów.

«Potrzebowaliśmy, powiada, zorientować się w miejscowości; ale znaczna ilość żelaza zawierająca się w górach nas otaczających sprawiała nam obawę żebyśmy się nieomylili.— P. Fitz Maurice i ja wybraliśmy dla porównania naszych punktów podstawę skały granitowej tworzącą rodzaj pochyłości w kształcie koła, która nas ze wszech stron zasłaniała.— Zaledwieśmy zaczęli to działanie, kiedy głośne krzyki rozległy się; nad nami na wierzchołku skały, dwudziestu ludzi czarnych i nagich, chwiało swojemi pociskami, gotowych nas niemi uderzyć.—

W rodzaju poławki, w jakiej byliśmy zamknięci, niepodobna było nam się bronić.— Bili oni w ziemię nogami, powiewali swemi długimi włosami na prawo i na lewo, gryzli brody z wściekłością, wyobrażając kółko szatanów gotowych nas zniszczyć.— Nie było co żartować; strzelby nasze były na piasku dość daleko.— Zeby nie przytomność umysłu P. Fitz-Maurice, kości nasze których by nikt nie zebrał i nie rozpoznał, bieliłyby się przez kilka wieków na téj nieznanéj ziemi.— Zaczął on nócić spiew angielski z całej siły głosem basowym, potem skakać i tańcować jak opętaniec.— Jego arlekińskie kontorsye zadziwiły z początku dzikich, których broń pozostała zawieszoną.— P. Keys, pomocnik jego, naśladował go, i w krótcie było to kółko tak wesołe i tak szalone, że dzicy, rozbawieni tym widokiem, nie myśleli już nikogo zabijać.— Tylko, kiedy jeden z nas chciał oddzielić się od koła aby schwycić karabiny nasze złożone w pewnej odległości na piasku, groty i włócznie znowu się poruszały. To dziwne położenie ciągnęło się dwie czy trzy minuty, poczem pokazał się w zatoce nasz statek na którym znajdowało się pięciu ludzi, a ich obecność była dla krajowców hasłem do ucieczki.— Nie mogę wspomnieć nigdy bez wesołości połączonej ze strachem tego śmiesznego zdarzenia, tego tańca między życiem a śmiercią przy którym tak dziwnie wyglądaliśmy, na brzegach australijskich.»

Chcieć wnioskować z nienawiści krajowców przeciw Europejczykom albo z kilku dowodów ich szlachetności i wdzięczności, o ogólnym charakterze tych nieszczęśliwych istot nie byłoby słusznym i właściwym.— Uczucia ich zemsty są bardzo usprawiedliwione postępowaniem osadników, którzy w wielu miejscach, uważają że każdy czarny może być zabitym jak dzikie zwierzę.— Kangury które ich żywiły, pouciekały; inne też zwierzęta zniknęły; osadnik szczuje tych dzikich najzjadlejszemi psami.— Tak przyciśnięty, zgłodniały i prześladowany, nieszczęśliwy mści się jak może; i w ostatnich czasach rzeź więcej sta osadników była skutkiem téj niegodnej polityki.

Pewien kwakier, nazwiskiem Bailey, zaczął postępować wcale inaczej niż inni osadnicy.— Postanowił wykonywać wszelkie cnoty chrześcijańskie i miłosierne uczynki względem tych nieszczęsnych bez chleba, bez przytułku, bez odzienia.— Miał on stosunki z dzikimi wybrzeży najtrudniejszymi do zjednania ze wszystkich; rozdzielanie broni, i odzieży, niekiedy żywności, zyskały dla niego tak serce tych biednych pokoleń, że uczyniły go po prostu swoim królem i prawie bożkiem.— Uznając wyższość jego rozumu, przekładali mu swoje zajścia i sprzeczki, prosili go o rady co się tyczy polowania i rybołówstwa, i chcieli nawet postawić go na czele swoich wypraw wojennych, co się wszakże nie zgadzało ze zwyczajami spokojne-

mi i przekonaniem kwakra.— Pewnego dnia wdarto się do fermy i skradziono mu dwie czy trzy kołdry.— Poszedł sam jeden do obozu dzikich, zwiedził ich namioty, odkrył złodzieja, i odebrał przedmioty skradzione.— Nikt mu tego nie wzbronił.

Pojęcia religijne większej części istot ludzkich błakających się w stosunku nieskończenie małym względnie do przestrzeni płaszczyzn i okolic wybrzeży australijskich, tak są ciasne, jak ich umysł w ogólności jest ograniczonym; nadewszystko odnosi się to do ludności wybrzeży.— Pokazanie się komety w marcu 1843, nabawiło ich wielkiego strachu.— Oto jest tłumaczenie wynalezione przez nich dla wytłumaczenia sobie ogona ognistego sięgającego aż do widnokręgu.— Wielki szatan czyli *kajour*, mówili, postawił tę drabinę aby pozwolić wojakóm i bohateróm opuścić kraj za zbliżeniem się cudzoziemców i pójść do nieba.— «Towarzyszyłem wczoraj (powiada jeden z licznych podróźnych ogłaszających od lat dziesięciu wrażenia swoje o Australji) pogrzebowi wojownika krajowca, i zauważałem jak przesąd i fanatyzm przyrodzone są rodzajowi ludzkiemu, jak on jest samowładnie opanowany myślą o świecie niewidomym, i jak szczególną poezją wymyślają plemiona najmniej oświecone dla zadość uczynienia téj koniecznej potrzebie wyobraźni.— Ku wieczorowi starsi z pokolenia zebrali broń, odzienie, i wszystkie przedmioty które służyły

do użytku zmarłemu wojownikowi, i złożyły je dla utworzenia pewnego rodzaju stosu dość artystycznie ustawionego.— Na tym stosie złożono ciało; potem mężczyźni utworzyli krąg naokoło, kapłan wszedł do środka i oczekiwano w milczeniu aż noc zapadnie.— Kiedy słońce zniknęło z widnokregu, kapłan umieścił pochodnię zapaloną w ręku zmarłego, podłożył ogień pod stos, i wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niebu.— Skoro broń i trup zostały objęte i ostatnia iskra zwiastowała zupełne zniszczenie śmiertelnych szczątków, pierwsza gwiazda która się zjawiła na firmamencie, pozdrowioną była wykrzykami dzikich, a kapłan zawołał: «Patrzcie to on się zbliża ze swoją łaską ognistą!»

Dla wytłumaczenia, różności kształtów, zwyczajów, języków, wiar, i charakterów rozróżniających jedno od drugich każde plemię dzikich rozsianych w krajach Australji, dość jest przyjąć jedyny domysł, podług którego byli oni zniewoleni do przybycia przez morze. w epokach nader rozmaitych, ze wszystkich punktów otaczających ten wielki ląd zaledwo zamieszkały.

Są w tej wielkiej liczbie plemiona i ludy chciwych obrzezańców jak Mahometanie; inne mówiące narzeczem pomieszaném z japońskiem; niektóre oddane przesądom Polinezyi, a mianowicie *Morai* czyli poświęceniu zmarłych.— Niektóre pokolenia są dzikie i przebiegłe, jak Malajczycy, inne łagodne i tkliwe, jak ludność lubieżna wysp polinezyjskich; wszędzie ona jest

spodlona, skażona, i zepsuta, zapewne dla jałowej nieurodzajności gruntów, nędzy pożywienia, i trudności zebrania się w gromady towarzyskie nieco znaczniejsze.— Małżeństwo nie istnieje; czystość a nawet wierność są nieznane; kobieta, uważana jako zwierzę juczne i własność, nie ma ani praw ani powinności.— Wszakże wielkie pokolenie środkowe, trochę posunięte naprzód, tworząc grupę ściślejszą, uznaje naczelników i ma pierwsze zarysy oświaty; ale to tylko jedno.

K O N I E C.

Spis Rzeczy

Stronica.

Obyczaje i nowe Plemiona w Ameryce północnej.

- | | |
|--|----|
| I. Sześćset mil parą.— Alabamczyk i Mormon.— Prospekt końca świata.— Socjaliści biblijni w Nauvoù. | 5 |
| II. Nowe miasta.— Skutki kredytu.— Żegluga po Mississipi.— Życie dzikie w życiu oświeconém.— Jaki jest stan duszy twojej? | 23 |
| III. Texas.— Wnętrze oberży.— General Antiochus i Sędzia Peters.— Gościnność don José Morella.— Hotel pod czerwonym orłem.— Jeszcze Sędzia Peters.— Jak się podróżuje w Texas. | 38 |
| IV. Przygoda w Texas.— oblężenie domu w lesie.— Don Ramon de Vigueyra.— Markiz i księżna.— Śmierć sędziego Patersa. | 55 |
| V. Czarnoksiężnik z Hufeisein-Bucht.— Van Putten z Amsterdamu.— Drugi Robinson.— Obyczaje domowe Nowej-Szkocyi.— Jak żyją w Lunenbourg. | 72 |

- VI. Koniec opowiadania don Ramona Vigueyra.— Kramarz zamordowany.— Odjazd.— Podróż po Stepach.— Komansze.— Saint-Louis.— Step spalony.— Stan terazniejszy, ludność, przemysł i przyszłość Saint-Louis. . . . 89
- VII. Podróż po Ohio.— Osoby.— Typy.— Olbrzym Zachodni.— Niecywilizowany.— Pięciu zbiegów Francuzów.— Majtkowie ministrami.— Jak się rozszerza oświata. . . 107
- VIII. Z Louisville do jeziora Ontario.— Działalność amerykańska.— Inżynier.— Pittsburgh.— Lwy czarne.— Scena w wagonie.— Konduktor.— Zmarła z urojenia.— Attak Galwestna. 126
- IX. Niagara.— Wykruszanie się skał—dwa wodospady—sklepienie kryształowe.— Z Syrakuzy do Utyki przez Rzym—jak się płynie w dół prądu S-go Wawrzyńca «Abskwantilatować się.»— Wiadomości—lokacje, obrachowania.— Smieszna rozmowa.— Francuz z czasów Ludwika XIV.— Kanada straszna.— Przypadek wydarzony sir Franciszkowi Head. 147
- X. Opowiadanie o Fenimorze Cooper.— Z Montreal do Shelburn i z Shelburn do Waszyngtonu.— Historia Wilhelma Canandegua.— Karawana w Kalifornii.— Kapitolium.— Posiedzenie Izby Reprezentantów.— Odjazd do Europy. 168

Trzydzieści ośm dni w Sawanach na wyspie Kuba.

- I. Odjazd z Nowego Orleanu.— O'Neil i dona Seraphita.— Postać Kuby.— Jak się unika Kwarantanny.— Gubernador.— Jedediah Gibson. 193
- II. Burza w Hawannie.— Wolny murzyn.— Z Kuby do Jamaiki.— Gniazdo Piratów.— Najada indyjska. 215
- III. Przez Sawany.— Kopalnie złota na wyspie Kuba.— Teniente.— Francuz z St. Domingo.— Gdzieśmy wynaleźli

Strenica.

Serafitę.—Trzęsienie ziemi.—Skarb Watchinango.—
 Jeszcze najada Indyjska. 234

Obrazy z Życia Tasmańskiego i Australiańskiego.

- I. Australia.—Widok kraju.—Podróżni Europejcy w Australii.—Klimat.—Plody.—Mieszkańcy.—*Czyści i Nieczyści*.—Dzienniki i towarzystwo w Sidnej.—Konwikty. 260
- II. *Konwikty* uciekający.—Co kosztuje kobieta w Australii.—Korsarz Michał Howe.—Palac James Munroe.—Kapitan King.—Wychowanie w Australii. 260
- III. Australia szczęśliwa.—Kwakier w Australii.—Sielanka.—Pożary i potopy.—Kopalnie w Kapounda.—Rzeczywiste położenie plemion krajowych. 292

—•••••



11589

W Y P I S

NIEKTÓRYCH DZIEŁ

wydanych nakładem i drukiem Księgarni pod firmą: **JÓZEF
ZAWADZKIEGO** w Wilnie.

- Dwie Sceny z pożyicia wlejskiego**, przez Jana-Kantego Grego-
wieza, in 16.
- Dwie Konwersacye z przeszłości**, przez Ignacego Chodzkę, Au-
ra Obrazów Litewskich. 12mo.
- Dwie koronacye Sasów**, Augusta II. i Augusta III. królów P-
skich. Ze współczesnych rękopismów ogłosił z przedmową i kil-
ko objaśnieniami Władysław Syrokomla; in 12.
- Dyrektor Ambrożewicz**. Gawędy Michała Kątkowskiego. 3
działy, 16.
- Historya Naturalna** w celniejszych wiadomościach zebrana i do-
jęcia młodzieży zastosowana. Z 8mią tablicami kolorow: rycin.
- Historya** o Pra-pra-pra Wnuku i o Pra-pra-pra . . . : Dziad
Powieść we dwóch Częściach, przez Teod. Tom. Jeża.
- Listopad**. Romans historyczny z drugiej połowy XVIII wieku. Pr-
Autora „Pamiętek Starego Szlachcica.“ Wydanie trzecie popraw
We 2ch tomach, in 12.
- Młody Mąż**. Komedyja we 3ch aktach, wierszem.— **Gentile Bell**
Obraz dramatyczny, przez Józefa Korzeniowskiego. 12mo.
- Mozalka Kontraktowa**. Pamiętnik z roku 1851. Przez Alexan-
Grozę. 16
- Małe a prawdziwe opowiadania**, przez Autorkę w Imie Bożem!
- Opowiadania i Powieści**. Czarna wstążka i Kachucha, przez W-
dzimierza Wolskiego.
- Podróż do Włoch**. Napisał Józef Kremer. Tomów V, ze 162 d-
worytami; in 8vo.
- Skarbożyk** Chronologiczny Historji Polskiej, przez X. U. R. we
Częściach.
- Stara Panna**, przez Kazimierza Bujnickiego. Powieść społeczna.
- Trzy Palmi**. Powieść ze Wschodu. Alexandra Grozy. 16.
- Wędrowki po królestwie Zwierzęcóm**, tłómaczone z niemieckie
w malowniczych opowiadaniach, z kilkudziesięciu przepyszanemi d-
worytami czarnemi i kolorowanemi w tekście i osobno, na pięk-
welinie. 2 tomy in 8vo maj.
- Wędrowki po moich niegdys okolicach**. Wspomnienia. Stu-
historyczne i obyczajowe, przez Władysława Syrokomli. Z pięć
litografowanymi na tyncie widkiem Zamku Mirskiego; in 8vo
pięknym welinie.
- Wybór najolekawszych Podróży i Odkryć** w różnych częścią
świata, dla nauki i zabawy młodzieży. 6 tomów z rycinami na stu
in 12mo.

-1899 0000-

